

MARIA  
RODZIEWICZÓWNA

*Klasyka Literatury Kobiecej tom 3*



MAGNAT

MARIA  
RODZIEWICZÓWNA  
*Klasyka Literatury Kobiecej tom 3*



1

**MARIA RODZIEWICZÓWNA**

**MAGNAT**

2

**WYDANIE PIERWSZE: WARSZAWA 1899 S. LEWENTAL**

**WYDANIE VI: POZNAŃ 1931 WYDAWNICTWO POLSKIE R.**

**WEGNER,**

**(„PISMA” T. 10)**

3

**I**

Marzec z deszczem, śniegiem i wichrem szalał nad dworem kuhackim. Drzewa się gięły i jęczały, dachy skrzypiały na oborach, wszystko, co żyło, ludzie i bydła, pozaszywało się w pościel lub słomę, nawet suka rządcy, najczujniejsza, nie szczekała pod oficyną, ale tuląc się do drzwi leżała przerażona szaleem przyrody. Noc była okropna i trzeba było bohaterstwa, by się za próg wychylić.

Jednakże, gdy zegar w izbie wybił dwunastą, rządcą się przebudził i zaraz zerwał się z łóżka.

Chwilę walczył ze snem i ze zmęczeniem dnia poprzedniego, potem się wzdrygnął, słysząc wycie wichru, wreszcie zrezygnowany do obowiązku, począł się odziewać po ciemku, by nie zbudzić matki, śpiącej w sąsiedniej stancji.

Naciągnął buty, jeszcze mokre od wieczora, kożuszek, poszukał czapki, latarni, wyjął spod poduszki pęk kluczków i na palcach wyszedł do sieni.

Tu już wichur hulał w najlepsze, ledwie mu dozwolił

zapalić świecę w latarni. Za drzwiami suka, usłyszawszy pana, zapiszczała radośnie i gdy otworzył, wpadła mu pod nogi. Razem, z nią pęd wichru zatamował mu prawie oddech.

— Idź do stancji, Warta! — rzekł łagodnie do suki, czując, że drży cała.

Ale gdzieżby Warta odstąpiła swego chlebowodawcę.

Polizała mu rękę i wybiegła pierwsza.

Wyszedł i on na swą zwykłą codzienną inspekcję i przede wszystkim zagwizdał na nocnego stróża. Odpowiedział mu wichur szyderczym chichotem.

Naiwny też rządcą, aby mniemać, że stróż na taką porę jest gdzie indziej niż w kuchni, przy piecu.

Światełko latarni 4  
ruszyło przez podwórze, do obór, skrzypnęły drzwi, rządcą zajrzał w słomę, pastucha nie było. Już chciał wracać i szukać go w czworakach, gdy jakiś jęk bydłocy rzucił go w stronę.

Tam zaplątana w łańcuchach, dusiła się krowa. Odmotał ją, pomógł wstać, przeszedł z końca w koniec oborę, obejrzał

każdą sztukę uważnie i wyszedł. Mijając spichlerz usłyszał

jakiś łoskot i ujrzał drzwi tylne nie zamknięte. Ruszył tedy na górę, brząkając kluczami, zamknął je. Obszedł wkoło stodołę, obejrzał zamki bram, wstąpił do stajni i owczarni, i wszędzie znalazł mniejszy lub większy niedozór. Gniew jego wzbierał.

Tak okrążywszy całe gumno, skierował się ku czworakom.

Wszystko spało, nigdzie światła. Otworzył jedne drzwi na prawo i krzyknął:

— Michał, do obory mi zaraz! Bedrycha omal się nie udusiła. Niech no się trafi jaki wypadek, będę wiedział, kto winien, piecuchu jeden! Marsz!

Zwrócił się do drzwi lewych i dalej ciągnął:

— Marek! Stróżujesz ty dobrze pieca! Nie wyniosą go, jestem pewny! Ale twoją pensję stróżowską wyniosą ci z księgi sztrafy! Czemu brama od szopy nie zamknięta?

Zaruszało się na prawo i lewo, a on dalej szedł korytarzem i znowu drzwi otworzył.

— Panie Owskiński, czemu to drzwi od spichlerza stoją otworem? Zamknąłem je sam tym razem, ale drugi raz nie zamknę.

Senny głos odpowiedział ze środka:

— Musiał je wicher otworzyć. Ja zamknąłem, jak Boga kocham!

— Tak też pan Boga kochasz! A wy, Ćwiartuki, dlaczego wydajecie fernalom owies nie wiany, bez miary? W stajni pełne żłoby!

— A dalibóg nie dawałem! — odparł drugi głos.

5

— Więc wam ukradli. Jeszcze lepiej. Po to stoicie jak wiecha w stodole?

Zatrzasnął drzwi i wyszedł z czworaków.

Za nim pogoniły z czterech ust pobożne życzenia:

— Bodaj cię najjaśniejsze pioruny! Bodajś ręce i nogi pokręcił! Bodaj cię tak po śmierci czart nosił! Bodajś oślepl!

Pomimo szczerości tych życzeń rządcą zdrów i cały stanął

na swym ganku.

Z czworaków wyszedł pastuch i stróż, a dążąc ku oborom, wylewali resztę żółci.

— A pies przeklęty! Siedem skór by z człowieka obdarł i jeszcze mu byłoby mało. Niech no pani umrze, to weźmie zapłatę.

Będzie mu za wszystko! Niech no starej nie stanie, psami go synowiec wyszczuje.

— A stara podobno źle — mówił lokaj.

— Niedługo naszej męki. Przebędziemy przybędę.

— Onże podobno też krewny starej.

— Przypisał się do bogaczki. Z łaski wzięła, bo zdychał z głodu z matką. A teraz, jak się wypasł, pana udaje. Synowiec go nie cierpi! Schudnie bestia prędko, jak trzeba będzie na chleb zarobić samemu, zamiast nami orać!

Zniknęli za węglem. W czworakach, w stacji pisarza i gumienego rozległa się też rozmowa:

— Dalibóg zamknąłem! Ten łotr pewnie łże, byle mieć okazję I do łajania.

— Diabeł go nosi w taki psi czas — dodał gumienny.

— Pewnie się wcale nie kładł, ino się włóczył od Marcysi do Małgosi. Porządny człowiek, jak się w dzień napracuje, śpi jak kamień, ale jak się kto na szpiega i szelmę urodzi, to diabeł w nim siedzi i gna! Wychowaliśmy sobie dopiero dręczyciela!

6

— Dosłuży się on nagrody. Stara ledwie żyje, a sukcesor wyżenie go natychmiast.

— Może mu stara co zapisze.

— Chyba, toć liże jej nogi i pełza jak pies.

— A nas traktuje jak chamów. Choć my takie same sługi płatne jak on.

— Oho, fanaberia hrabska, a goły jak bicz!

— Żeby mu kto raz za nas oddał, toby spokorniał. Ale wszyscy tchórze.

— To czemu pan nie spróbujesz pierwszy? — szyderczo wtrącił gumienny. — Pan też szlachcic.

— Właśnie dlatego nie chcę na takim szpiegu rąk walać.

— I jeszcze pytanie, czyby mu pan dosięgnął do twarzy.

Pisarz umilkł i po chwili obadwa zasnęli.

Rządca tymczasem wrócił do stacji, zawołał za sobą Wartę i zabierał się do odpoczynku. Obudziła się jednak matka, zakaszła stękając:

— Czy to ty, Olek?

— Ja. Na gumno chodziłem.

— A co słyhać w pałacu?

— Nie wiem. Zapewne spokojnie, kiedy mała nie przyszła.

Niech mama śpi!

Zapanowała cisza. Wicher na dworze szalał i śnieg z deszczem bił o szyby, słyhać było niekiedy trzask łamiących się gałęzi. Rządca zasnął snem kamiennym, spokojny teraz do rana. Śniło mu się jakieś polowanie, krzyki, naganki, granie ogarów, strzały. Wtem się ocknął.

To Warta ujadła u okna, w które ktoś stukał, a matka wołała:

— Olek! Olek! Wstawaj! Ktoś się dobija.

Zerwał się, przystąpił do okna. Drobna postać tuliła się do ściany, stukając w szybę.

7

— To mała z pałacu — rzekł.

— Otwórz jej żywo! Mój Boże, pewnie, nieszczęście! —

odparła matka zapalając zapalstkę.

Rządca odział się znowu, mruczając:

— Jak ma być koniec, niech będzie. Już mam dosyć tego życia. Cicho, Warta! Swój!

Otworzył drzwi i wpuścił do stancji dziewczynkę drobną, czarną, otuloną szalem.

— Cóż tam? Pani gorzej? — spytał.

Ale dziewczynka biegła do drugiej stancji, chlpiąc i dysząc.

— Pani Kalinowska! Pani umiera! Kazała posłać po księdza zaraz i panią woła! Niech pani zaraz idzie! Ja się boję sama wracać!

Dziecko się trzęsło ze strachu i zmęczenia; usiadła w progu na kuferku, chlpiąc.

Kalinowska ubierała się prędko. Syn wyszedł, by wyprawić bryczkę po księdza.

— Jakże się to stało? Mów! Toć z wieczora dobrze zjadła i zasnęła.

— Ja nie wiem! Ja spałam przy łóżku na ziemi. Aż tu czuję, że mnie pani uderza pantoflem po twarzy, więc się zerwałam. Kazała zapalić świecę. Siedziała w łóżku bardzo straszna i woła: „Poślij po księdza, zawołaj Kalinowską, prędzej, ja zaraz umrę!” Więc poleciałam.

Kalinowska już była gotowa. Otuliła się szalem i wyszły.

Na progu spotkała syna,

— Wyślę zarazem depeszę do Wojewódzkich — rzekł.

— A toć zabroniła ci wczoraj.

— To i cóż? Kiedy umiera, to mój obowiązek uprzedzić spadkobierców. Po śmierci nie przemówi, że to ona broniła, a żywi powiedzą, że ja intrygowałam.

— A jak się jej polepszy, to się jej narazisz i nic ci nie da.

Zobaczysz!

— A niech tam! Krzyw chodzić nie umiem, a nie da, to i owszem. Będę wykwitowany z długu wdzięczności i wolny.

— I nędzarz — mruknęła stara.

— A niech tam! — powtórzył swoje zwykłe słowo z zuchwalstwem wielkiej siły i młodości.

Kobieta nic nie rzekła więcej, bo się wkoło poczęli ludzie budzić i wychodzić; poszła w stronę pałacu, a za nią; jak cień, dreptała dziewczynka.

Generałowa Wojewódzka, magnatka, dziedziczka dóbr i kapitałów, wdowa bezdzietna, umierała.

Żyła za długo dla synowca, który się postarzał, oczekując w Warszawie, na miernej posadce — milionów.

Generałowa nienawidziła w ogóle wszystkich ludzi, a w szczególności rodziny męża, jak jego nienawidziła za życia, nie mogąc mu darować mnogich niewierności i marnotrawstwa jej własnej fortuny.

Wiedziała, że ubóstwiał bratową, że się z nią naśmiewał z żony, że majątkiem jej opłacał fantazje i zbytki tamtej. Gdy umarł, rozpoczęła zemstę.

Patrzyła z radością, jak brat mężowski zbankrutował, daremnie błagając ją o pomoc; cieszyła się, gdy syn jego w ciągłym niedostatku wegetował na marnej posadce, nie dała im nigdy szeląga, nie przyjęła nawet w gościnę.

Rozwinął się w niej egoizm i sknerstwo, podejrzliwość i niewiara. Nie miała faworytów ani przyjaciół, rządziła wszystkim sama.

Z czasem jednak poczuła starość, bezsilność i wtedy sprowadziła do Kuhacza daleką ubogą krewną wdowę, z synem wyrostkiem. Dla wdowy zdało się to szczęściem i przyszłością świetną dla syna. Istotnie, generałowa posyłała 9

go do szkół, potem na praktykę agronomiczną za granicę i wreszcie uczyniła go rządcą swych rozległych dóbr. Wdowa tymczasem wysługiwał się ile sił, znosząc złe humory, wypominanie dobrodziejstw i służebne stanowisko.

Wilgotną miała stancję w oficynie i ordynarię\*[1](#) niewielką, sama uprawiała ogród, sama doiła krowę, kupioną za oszczędzone przez wiele lat pieniądze.

A jednak niegdyś Kalinowska była też dziedziczką i panią, tylko wielka pożoga uczyniła ją nędzarką—

wdową, z synaczką kilkomiesięcznym.

Z pożogi tej wyniosła siłę bohaterstwa i cześć u ludzi.

Szczyliła się swą biedą i dobrze wychowała syna, żeby się i nim mogła szczylić.

Aleksander Kalinowski miał teraz dwadzieścia pięć lat i wypłacał się generałowej za koszt nauki, służąc, jak on to pojmował, uczciwie.

Przed kilku laty generałowa sprowadziła jeszcze jedną krewną ubogą, sierotę, dziecko.

Biedactwu temu najcięższy los przypadł w udziale, bo ciągle towarzystwo nieznośnej dziwaczki. Bywała bezustannie gderana, musztrowana, często bita, używana do wszelkich posyłek, posług, kozioł ofiarny złych humorów, kaprysów i dolegliwości magnatki. Musiała znosić, bo nie miała nikogo na świecie, nikt nawet dobrze nie wiedział, skąd przybyła, a była za mała i słaba, by uciec, za harda, by się poskarżyć.

W pałacu, oprócz niej i starego lokaja, nikt nie mieszkał, generałowa nie znosiła innej służby, dziwaczała z każdym dniem gorzej.

Od pewnego czasu co dzień pisała i paliła testamenty, zatroskana jednym, by synowiec nic nie dostał; wzywała 1\* ordynaria — część zarobków pracujących w majątku ziemskim wypłacana w naturze.

10

nawet rady prawnika.

Ten radził rozdać kapitały za życia, dobra obciążyć bankowym długiem, aby stały się ciężarem spadkobiercom.

Na to generałowa nie mogła się zdecydować. Rozstać się z pieniędzmi było nad jej siły. Miała przeświadczenie, że obdarowani opuściliby ją natychmiast na pastwę choroby i śmierci, i z niczym odprawiła doradcę.

Raz zawołała do siebie Aleksandra Kalinowskiego i grożąc mu laską, którą się podpierała, rzekła:

— Jestem coraz słabsza, prędko umrę, nie chcę nic dać Wojewódzkim, nie chcę ich widzieć, ty tego pilnuj, bo jeśli się ośmielisz ich uwiadomić, nie dam i tobie nic, i wyklnę.

Rządca, chłopak smukły, piękny, silny, o twarzy zuchwałej i śmiałej, jeden tylko śmiał jej czasem zaprzeczyć lub wypowiedzieć własne zdanie. Patrzył jej w oczy nieustraszenie, obraz siły i szlachetności wobec niedołęstwa i uosobienia złości.

— Pani rozkazywać, mnie słuchać — odparł. — Nie dlatego to uczynię, aby mi pani co dała, ale dlatego, że w domu pani ja nie gospodarz. Ale ani się lękam, że mi pani cofnie łaskę, ani się kłatw boję, bom prawy. Moja rzecz dobytku i roli pilnować, poza tym niczym się nie zajmuję.



Rzecz dziwna; generałowa zносиła jego zuchwałą mowę.

Sierota drżała słuchając, Kalinowska bladła, magnatka się uśmiechała. Może ją te szorstkie słowa bawiły jak coś rzadkiego. Ona słyszała tylko pochlebstwa lub lęklive potakiwania. I oto zachorowała i miała umrzeć.

Rządca, wyprawivszy depeszę i konie po księdza, już się nie kładł spać, siedział na zydelku pod piecem i gotów na każde wezwanie z pałacu, rozmyślał nad swoją dolą.

Marzeniem tego ptaka, z gniazda wyrzuconego, był własny kęs ziemi i powrót do sfery, w której się urodził. Nie używać 11

mu się chciało, nie panować, ale wrócić do towarzystwa i stosunków, z których wyszedł, odzyskać swe miejsce w świecie. Nie pogardzał, nie wstydział się swej biedy i podrzędnego stanowiska, ale nie uważał go za własne.

Był jak przechodzień w przydrożnej oberży, nie żył ze współoficjalistami, nie obcował z nimi, bo czuł, że tu nie pozostanie ani się z nimi zżyje i że są tak zdemoralizowani, iż nie zdołałby ich do siebie podnieść. Nie zrozumieliby go nawet.

Do wyzwolenia rachował po trosze na legat Wojewódzkiej zapewne, ale przede wszystkim rachował na siebie. Opętany swą ideą, stał się skąpcem, z pensji składał grosz do grosza, obywatel się bez tytoniu, bez cieńszego ubrania, bez najmniejszej fantazji i marzył na początek o małej dzierżawie.

W okolicy znał wszystkie folwarki, obrachował je, ocenił, o jeden już nawet traktował z właścicielem.

Teraz już targu dobije. Żeby mu Wojewódzka zapisała trzy tysiące rubli, więcej nie żądał, i dnia by jednego tu nie pozostał. Poszedłby na swoje! Na swoje! I uśmiech ogarniał

mu twarz surową.

Matka by znowu gniazdo miała na stare lata, jego by nie stawiano na równi ze wszystkimi złodziejami ekonomami, nie wstydziliby się za kolegów, nie wymawiano by mu łaski, za którą płacił pracą i płacił a był posądzony, że czyni to przez pochlebstwo i rachunek.

Żeby najkrwawsza bieda na swoim, lżej będzie niż tu, w takiej fałszywej pozycji.

Rachował swoje zasoby. Posiadał na zdobycie świata pięćset rubli, dwie krowy, klacz, Wartę, trochę statków i silne postanowienie zwycięstwa. Uspokoiło go marzenie, aż ramionami ruszył lekceważąco.

12

A gdyby nawet Wojewódzka nic nie dała! Niechta!

Poradzę sobie i sam. Nawet lepiej. Nie będą mi ludzie kłuć w oczy spadkiem.

Wnet jednak się zastanowił. A matka?

Jej czas odpocząć. Dla matki trzeba legatu.

Tymczasem rano się uczynił, wicher nieco zwolnił, na podwórzu ruch się rozpoczął. Rządca wziął klucze i wyszedł.

A właśnie i ksiądz wjeżdżał we wrota.

Gdy rządca wrócił do mieszkania na śniadanie, zdziwił się, widząc matkę w kuchence.

— Cóż tam słyhać? — zagadnął.

— Lepiej. Po Sakramentach zasnęła. Zostawiłam małą Józję na straży i przyszłam ciebie nakarmić.

— To mozem za wczesnie depeszę wysłać?!

— Wysłałeś? Po co? Czyś oszalał?

— Mała mówiła, że umiera, posłali po księdza. Myślałem, że czas.

— Cóżes uczynił? Co będzie, gdy oni zjadą? Co ona powie? Kto się ośmieli ją o tym uwiadomić? Ach, Olek!

— Kto? Ja jej powiem. Zaraz pójde i powiem. Wielka rzecz. Wstyd czy hańba? Ja nie chcę na koniec mojej tu służby dostać nazwę intryganta i złodzieja. Ona niech pilnuje swoich pieniędzy, a ja swego honoru.

Nie chciał jeść ni czekać, cały wzburzony. Zmusił matkę, że poszła z nim natychmiast do pałacu dowiedzieć się, czy generałowa śpi i czy może go przyjąć.

Generałowa obudziła się rzeźwiejsza, zażądała rosołu i nawet niezwykle uprzejmie zagadła do Józi. Właśnie wtedy Kalinowska weszła.

— A, dzień dobry! Przychodzisz mnie nawiedzić już, otóż nie, żyję jeszcze. Poczekajcie trochę — rzekła chora z grymasem szyderyczym.

13

— Syn mój chciałby się z panią widzieć — odparła Kalinowska.

— A on czego może chcieć? Niech wejdzie. Ciekawy pewnie, czy wyglądam konająco.

Warto się było proboszczowi fatygować dla takiej poprawy, pomyślał Aleksander wchodząc. Generałowa popatrzyła na niego.

— No i cóż tam? — spytała szorstko. — Pewnie potrzebujesz pieniędzy?

— Nie. Tylko muszę oznajmić, że wysłałem depeszę o chorobie pani do pana Wojewódzkiego.

Generałowa, jak ruszona sprężyną, siadła na posłaniu ze strasznie wykrzywioną twarzą, odtrąciła talerz i Józię klęczącą przy łóżku.

— Kruków sprowadzasz, żeby moje zwłoki dziobały! Za życia chcecie rozpocząć ucztę! Ty, ty! Ile ci obiecali za to, za coś mnie sprzedał? Macie mnie już za trupa, mój dom za swój! Poczekaj, ja ci za to zapłacę! Ja jeszcze nie trup! Ja tu pani! Józia, daj mi pugilares z szuflady. Prędeż, słyszysz!

Świecę zapali Daj tu, trzymaj!

Ręce jej drżące, twarz zmieniona złością, oczy zabiegłe krwią były przerażające.

Kalinowscy patrzyli, zdjęci wstrętem i zgrozą.

Stara otworzyła pugilares, dobyła dwa arkusze papieru i urągliwie im pokazała.

— Patrzcie, to mój ostatni testament, wasze legaty ot, macie! I przytknęła do świecy.

Płomień ogarnął papier, trzymała go, aż się zwęglił, i cisnęła im pod nogi.

Potem porwała drugi arkusz i potrząsnęła nim w stronę Aleksandra.

— A to, wiesz co? Informacja dla Aleksandra 14

Kalinowskiego. A wewnątrz: schowanko, gdzie umieściła moją gotówkę! O, tu ono wskazane! Masz, ty nic nie dostaniesz, a tamci niech szukają. Mieli być na twojej łasce, teraz ty będziesz na ich łasce, jakieś sobie wybrał. A oni niech szukają, niech szukają! A teraz precz z moich oczu, zdrajcy!

Idźcie do swoich nowych dobrodziejów! Jak z głodu pomrzecie pod płotem, będę się w grobie cieszyć. Precz! Ja jeszcze nie trup! Ja tu pani! Józia, daj mi kropel! Oni mnie dobili!

I upadła na poduszki, wyczerpaną wybuchem. Kalinowska chciała ratować, ale syn wziął ją za rękę i pociągnął.

— Chodźmy, rachunki tu nasze skończone. Pokwitowano nas, jesteśmy wolni — rzekł dość głośno, aby generałowa mogła słyszeć.

I wyszli, zostawiając magnatkę samą.

15

## II

Wojewódzcy, otrzymawszy depeszę, pożyczili u znajomych kilkadziesiąt rubli i wyjechali pierwszym pociągiem wszyscy, to jest mąż, żona, córka i syn.

— Nareszcie! — było ich pierwsze słowo i zaraz potem:

— Jedźmy wszyscy co rychlej, żeby dopilnować całości. Ten Kalinowski tymczasem kradnie, co sam może, i innym kraść pozwala, by go nie wydali.

I pani, bardzo praktyczna, każdemu wydzielała robotę.

— Ty, mężu, zajmiesz się prawnymi formalnościami; ty, Stasiu, obejmiesz nadzór nad inwentarzami, spichlerzami; my z Kostusią dopilnujemy domu.

Staś najmniej chciwy i żartowniś z natury, jeden bez zapału jechał i rolę swą się nie zachwycał.

— To dopiero będzie niespodzianka, gdy wieść okaże się przedwczesną, i ta *quasi-nieboszczka* spotka nas żywa na progu, z laską w ręku!

— Jak możesz żartować w ten sposób? Ten Kalinowski nie bez racji do nas się odzywa. Czuje, gdzie jest wschodzące słońce — wtrącił ojciec.

— No, to nie racja. Jeśli obrał generałową, to tak bardzo o nas się nie troszczy. No i testamentu pewnie też się nie boi.

Dopilnuje swego interesu.

— Z tym się porachuję! — mruknął Wojewódzki zajadle.

Jednakże żart Stasia rzucił cień na ich szczęście. A jeśli generałowa wyzdrowiała...

Ale już po drodze otrzymali pocieszającą wiadomość.

O śmierci milionerki wiadano już na trzy powiaty wokoło. Na ostatniej stacji spotkali konnego z Kuhacza, który wysyłał do nich drugą depezę.

16

Najęli pocztę, obrażeni mocno, że nie znaleźli koni, i ruszyli po złote runo.

W pałacu generałowa spoczywała na katafalku w wielkiej sieni wchodowej, wśród zieleni i światła. Śmierć i jej nawet wygładziła i uspokoiła twarz, Starła złość, wyszlachetniła rysy.

Kilka kobiet czuwało przy zwłokach, na drzwiach do dalszych pokojów błyszczały pieczęcie.

Wojewódzki ledwie spojrzał na zwłoki, obejrzał się, szukając, komu by się przedstawił.

Właśnie w progu stanął Kalinowski, którego dzwonek pocztowy objaśnił, kto jedzie.

— Jestem Wojewódzki, synowiec nieboszczki. Chciałbym się widzieć z rządcą tutejszym.

— Ja jestem. Co pan rozkaże?

— Proszę mi dom otworzyć.

— Posłałem po wójta. Natychmiast przyjedzie. Zaraz po zgonie, w obecności dwóch świadków, popieczętować kazałem sprzęty, spisać inwentarz i zamknąłem dom. Oto są klucze.

— Więc mam tu czekać na wójta?

— Nie inaczej. Państwo się chwilę pomodlą.

Staś, pomimo katafalku, uśmiechnął się na widok obrażonej miny rodziców. Wojewódzki spojrzał pogardliwie na rządcę i rzekł do żony:

— Wyjdźmy do ogrodu.

Pani zacięła usta i, przechodząc obok Kalinowskiego, rzuciła wzgardliwie:

— Mogliście rachować, że przyjedziemy, i przygotować trochę uprzejmiejsze przyjęcie. Byłoby to dyplomatyczniej.

Na opaloną twarz Kalinowskiego uderzyła krew.

— Ja tu już nie służę, ani dyplomacji nie potrzebuję! —

17

odparł zmienionym głosem. — Strzegę prawa, a nie uprzejmości.

— Ja wolę tu czekać niż szukać kataru po błocie — rzekł

Staś zostając na ganku.

O parę kroków od niego stał Kalinowski, patrząc na drogę ku wsi. Staś, po chwili wahania, zbliżył się do niego.

— Pan pozwoli się przedstawić — rzekł grzecznie, uchylając kapelusza. Wymienił nazwisko. Rządca dotknął

czapki, powiadając swoje.

— Może pan krewny Adama Kalinowskiego — ironicznie wymienił Staś — znanego sportsmena i bogatego panicza w Warszawie?

— To mój stryjeczny brat — odparł spokojnie Aleksander.

— Dziwna rzecz, że on mi o panu nie wspominał — równie ironicznie ciągnął tamten.

— Bo należę do takich ubogich krewnych, co nie szukają bogatych ani ich potrzebują. Nie zna mnie, ale będzie wiedział, kto jestem, gdy go pan spyta. Ojciec jego wyniósł

się za Bug i tam dobra nabył. Mój ojciec został z tej strony i stracił dobra i nawet życie. Nazywał się jak ja, Aleksander.

Patrzył wciąż na drogę, mówił obojętnie. Nie chodziło mu o przekonanie tego panicza.

— A pan już tu od dawna? — zagadnął Staś.

— Jestem od dwunastu lat, służę od pięciu.

— Podobno, że generałowa była straszna baba.

— Nie mnie ją sądzić. Była moją dobrodziejką.

— A wójta ani śladu. A te pokoje nie opalane od kilku dni.

Kobiety i stary się rozchorują. A mnie, licho wie, po co tu wlekli. Mógłby mnie pan ugościć u siebie, na folwarku.

— Mam matkę, a dwa tylko pokoje. Nie chciałem nawet proponować, matka słaba.

— Dużo też tu znajdziemy inwentarza? — trochę urażony, 18

urzędowym tonem spytał Stanisław.

— Pięćset sześćdziesiąt sztuk, wedle ostatniego obrachunku z wójtem po śmierci pani generałowej.

— Pan bardzo przezornie postąpił, ale taka ścisłość na stemplu nam się odbije. Czy pan już ma inną posadę?

— Nie, już służyć więcej nie będę.

— Ano, zapewne. Stara musiała pana zabezpieczyć.

— Nie, legatu żadnego nie dostał. Należy mi się tylko półroczna pensja.

— Oho, jeszcze są zaległości?

— Nawet spore, bo ostatnimi czasy grosza nie można było ubłagać, a krescencje\* sprzedała na pniu i wzięła z góry pieniądze.

— Ładny spadek. Starzy się ucieszą, jak się dowiedzą. No, ale gotówka gruba być musi.

— Zapewne; nie wiem. Nieboszczka trzymała kasę sama.

— Wyobrażam sobie, jak ją musieli okradać.

— Któżby? Nawet służby przy sobie nie trzymała. Stary, głuchy lokaj i dziewczynka sierota, wychowanka.

— Że też jej nie zarznęli! — roześmiał się panicz.

— Otóż i wójt jedzie — odetchnął z ulgą Kalinowski.

Zeszedł z ganku na spotkanie urzędnika i posłał gapiącego się chłopca do ogrodu po nowych dziedziców.

Rozpoczęły się urzędowe formalności, legitymacje, prawne ceregiele. Z wyżyn katafalku uczestniczyła temu zapomniana już generałowa.

Znienawidzeni spadkobiercy zajęli jej dom, rozgościli się, dawali rozkazy, ona czekała cierpliwie, aż się nacieszą, wszystko obejrzą, posilą się, wypoczną i na końcu pomyślą, by jej dać grób, gdzie już nikt o niej nie wspomni.

Kalinowski, pożegnawszy wójta, wrócił do sieni, rozbudził

\* krescencja — zbiory, urodzaj.

19

drzemiące stróżownice zwłok, poprawił świece i, słuchając głosów z głębi domu, z goryczą pomyślał. Coraz większy ogarniał go wstręt do tych Wojewódzkich, którzy nawet nie zachowali pozorów ludzkich elementarnej delikatności.

Za drzwiami pierwsza była jadalnia, tam się posilano, wcale się sąsiedztwem zwłok nie krępując; słyhać było brzęk porcelany i szkła, gniewne wybuchy pani, śmiech Stasia, rozkazy pana. Służby już się znalazło— pełno, każdy biegł skarbie sobie łaski na przyszłość. Rządcy już nikt nie słuchał, w gospodarstwie był bunt i rozprzężenie. Żeby nie pieczęcie, strach prawa, rozkradziono by gumna i obory.

Do wszystkich poprzednich niechęci do Kalinowskiego przybyła ostatnia, że im kraść nie dopuścił. On, o uszak\*

wsparty, pasował się sam z sobą.

Iść tam do nich, nie wołany, przypomnieć pogrzeb czy odejść do mieszkania i zbierać graty do przeprowadzki?

Plany jego przyszłości zupełnie się zmieniły, nie było legatu, nie będzie dzierżawy. Jego zasobów nie było dość na mały folwarczek. Postanowił tymczasem wynieść się do miasteczka, matkę umieścić na kwaterze, a samemu szukać czegokolwiek po świecie. Niewesołe miał przed sobą jutro —

z łaski generałowej.

Tu się wzdrygnął, bo go tknęło sumienie, że nie był lepszy od tych za drzwiami, myślał tylko o sobie.

Ruszył się, drzwi otworzył, wszedł do jadalni.

Rodzina właśnie skończyła przekąski, pili herbatę.

Wojewódzki, gdy go ujrzał, skinął głową.

— A co tam? Może pan jeszcze co nam ma zabronić? —

rzekł rozdrażniony.

— Chcę spytać, co będzie z pogrzebem?

— No a cóż? Zapewne i za to trzeba płacić?

\* uszak — umocowna w ścianie rama drzwi albo okna.

20

— Kupiliśmy już jaj i mleka — wtrąciła pani. —

Zgotowaliście nam miłuchne przyjęcie. Nie ma co mówić.

Dziękuję i nie zapomnę.

— Trumnę obstalowałam. Wieczorem będzie gotowa —

rzekł rządcą nie podnosząc rękawicy i hamując się całą siłą.

— Będzie kosztowała siedemdziesiąt rubli.

— Siedemdziesiąt rubli? Któż pana upoważniał do takich wydatków? Za sześćdziesiąt można mieć metalową z Warszawy, Może pan tę zachować dla siebie, ja w tej chwili do Warszawy telegrafuję.

— A zanim przyjdzie, upłynie trzy dni! — Wtrącił Staś. —

Nie wiem jak kto, ale ja w tym domu nie zostanę.

Wojewódzki się opamiętał.

— To są warunki! Być na łasce rozboju rzemieślników!

No i ileż pan jeszcze narachuje kosztów?

Ale w Kalinowskim zagrała krew karmazynów.

— Nic nie porachuję. Zapłacę sam za pogrzeb. Jutro o dziewiątej będzie eksportacja. Proboszcz uprzedzony — rzekł

drżącym głosem i wyszedł.



Był pijany z oburzenia. W gardle dławiała go niezmierna wściekłość, a zarazem paliły go oczy krwawymi łzami za krzywdę, o którą nie mógł się upomnieć, on, płatny sługa.

Wyszedł na ganek oficyny czując żądzę mordy, odwetu.

Już nie panował nad sobą. Drzwi rozwarł kolaniem, kopnął

nogą wielki baniak gliniany, rozbił go, wodą zalał stancję i dopiero na krzyk żałosny spojrzął przed siebie.

Na zydelku w kącie siedziała Józia sierota.

Ona to krzyknęła, uderzona czerepem garnka w samo czoło. Ostry kant rozciął głęboko, krew trysnęła, natychmiast zalewając twarz. Z drugiej stancji wypadła Kalinowska przerażona.

— Co się stało? Józiu, co tobie?

21

Dziewczyna zwinęła się w kłębek na ziemię i zemdląła.

Tedy Kalinowski nagle ostygł, opamiętał się, rzucił do dziecka, porwał je na ręce i położył na łóżku. Chwilę w milczeniu ratowali ją, cucili, dopiero obejrzawszy, że rana nieciężka, Kalinowska spojrzała na syna. Znała go, zgadła, co zaszło.

— Ty wiesz, że możesz się stać mordercą. Ojciec twój siedział i umarł w więzieniu, chwalebny. A ty, jeśli się nie poprawisz, w jakim będziesz? Ty wiesz, coś mi przysiągł, jakieś omal nie zakatował złodzieja w spichrzu! Tak dotrzymujesz?

— Matko, oni mnie złodziejem nazwali! Oplwany jestem, opoliczkowany, zhańbiony! Bodajem się był nie rodził, bodaj przeklęty był ten dzień, gdyś mnie tu przywiozła! Ja, ja nie wytrzymam!

Załamano ręce na głowie, aż trzasnęły stawy, obłęd rozpaczy miał w oczach.

Tedy Kalinowska wzięła go za ramię i pociągnęła za sobą do drugiego pokoju, zamknęła drzwi, przyprowadziła go do ściany, gdzie wisiał krzyż, gromnica i blacha, ryngraf ze starej zbroi, i z siłą, dziwną na jej wiek, zgięła go na kolana.

— Ojczy nasz, któryś jest w niebiesiech — zaczęła powoli.

Odpowiedział jej głuchy jęk tylko:

— Święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje!

Kalinowski rękami zakrył twarz, do ziemi się pochylił i zapłakał. Nad łkającym skończyła modlitwę.

Potem zdjęła ze ściany krzyż, jakiś dziwny, czarny, trochę krzywy, niezgrabny.

— Masz, pocałuj go! To wszystko, coś dostał w spadku po ojcu. Z chleba więziennego ulepił. I na niego też plwali i policzkowali go, i ze wszystkiego odarli. Byłeś tylko, tak jak on, był czysty. Dostyc ci.

22

Pomilczała chwilę i rzekła już spokojniej:

— A bądź przygotowany, że to dopiero początek. Stokroć gorsze cię czeka, jeśli kapitałów nieboszczki nie znajdą.

Podejrzenie padnie na ciebie niezawodnie, możesz być nawet sądownie zaskarżony. Spodziewaj się śledztwa, rewizji, może więzienia, Za tobą może tylko świadczyć Bóg, bo ani ja, ani to dziecko nic nie znaczymy wobec prawa. Na to moc zbieraj! Osłupiałymi oczyma popatrzył na nią.

— Mój Boże! To okropne! Może się znajdą te pieniądze.

Józia może kiedy widziała, gdzie je schowała.

— O Józii zapomniałam — szepnęła z wyrzutem Kalinowska, wychodząc.

Dziewczynka już znowu siedziała na zydelku w kącie, chusteczką obwiązawszy czoło, cichutka, wylękała jak psiak przywykły do razów i nędzy.

— Boli? — spytała ją troskliwie Kalinowska.

— Nie, nie boli — szepnęła połykając łzy.

Wszystko zniesie, byle jej stąd nie wypędzono, nie kazano wracać do pałacu, gdzie leży umarła pani.

Zaraz po zgonie tu się schroniła, za mała, by się troskać, co dalej będzie, co z nią się stanie.

Kalinowska też o tym nie myślała, ale że litościwa była, nakarmiła ją, napoiła, posłała jej na kanapce i nawet ubrała ją we własny kaftan, bo ubranie, które jej dała generałowa, było w łachmanach.

Jako mienie przyniosła z sobą Józia tekturowe pudełko, gdzie chowała dary swej opiekunki. Były tam wstążeczki od płótna, pudełka od pastylek, kilka kłębków włóczki czerwonej, stary skórzany pasek z klamerką i tym podobne graty, które dzieci rade zbierają.

Kalinowski, zajęty nową troską, stanął przed nią i znienacka zagadnął:

23

— Czyś ty nie widziała, gdzie pani chowała pieniądze?

Dziewczynka bała się go od dawna, teraz j jeszcze bardziej poczęła się trząść i płakać.

— Daj jej spokój! Ja sama wybadam — rzekła matka. —

Ty zjedz cośkolwiek i zaśnij. Trzecią noc czuwasz.

— Nie mam czasu. Niech mi mama da dwieście rubli.

Zaraz jadę do proboszcza.

Kalinowska otworzyła kufer i dobywszy stary pugilares, dała mu dwie setki.

— Czy chcesz z góry tak dużo dać za kwaterę? — spytała.

— Za kwaterę dla generałowej — odparł gorzko.

— Jak to?

— Powiedzieli mi, że nie byłem upoważniony przez nich do wydatków na pogrzeb, że ich okradł na wspólną z księdzem i stolarzem. Tedy wziąłem pogrzeb na swój koszt.

— To ileż na to wydasz? — spytała przerażona.

— Albo ja wiem, może wszystko, co mam.

Stara kobieta spuściła głowę i chwilę pasowała się z sobą, wreszcie rzekła:

— Ano, cóż robić! Nadzysmy przyszli, nadzy odejdziemy.

Tylko szkoda tylu lat i moich sił, i twojej pracy. Jeśliś tak postąpił, to znać honor ci tak kazał, trzeba znieść. Ale ci ludzie to chyba przebrane chamy. Fe, wstyd! To i pensji twej półrocznej nie zapłacą, zobaczysz. Żeby choć prędzej stąd wyjechać.

— Jużem najął fury na graty. Jutro mama może wyjechać, ja muszę zdać wszystko. Parę dni zostanę, Boże, jak ja wytrzymam!

Ubrał się i pocałował matkę w rękę, wyszedł ku stajniom.

Po chwili wyjechał za wrota, do miasteczka.

Proboszcz był to staruszek jowialny, dobrego serca, 24

niechciwy, więc Kalinowski rachował, że więcej stu rubli za pogrzeb nie weźmie.

Śmiało też poszedł na plebanię, zostawiwszy konia u pana Prota Sucheńca, mieszczanina, u którego wynajął oficynkę dla matki.

Pan Prot był zamożny masarz i handlarz nierogacizny, ojciec licznej rodziny i potentat miasteczkowy.

Proboszcz przyjął Kalinowskiego z zajęciem.

Wieść się już rozeszła, że do Kuhacza przybyli nowi dziedzice, więc ksiądz chciał od naocznego świadka dowiedzieć się, co zaszło.

Ale Kalinowski wzburzenie swoje już pohamował, niegodnym mu się zdało mówić, co o nich myślał

— Ledwie ich widział — rzekł. — Byli nieradzi, znalazłszy dom opieczętowany. Chciałem ustrzec ich dobro przed grabieżą, a oni się obrazili. Proszę księdza proboszcza o pogrzeb na jutro i ile mam zań zapłacić?

Proboszcz się roześmiał, zażył tabaczki i odparł:

— To tak, widzisz. Generałowa całe życie nic nie dawała na kościół, niech da po śmierci. Tak myślę, tysiączek uszczerbku nie uczyni.

Kalinowski drgnął, a proboszcz rzecz rozwijał:

.— To tak, widzisz. Za stu biedaków, których chowam darmo, chrzczę darmo, śluby daję darmo, jeden bogacz musi mi wrócić. To sprawiedliwie; z czegoż utrzymam kościół, cmentarz, służbę. Nieprawdaż? Powiedz to ode mnie tym nowym dziedzicom. Niech pierwszy grosz spadkowy dadzą na nieboszczkę, straszyć ich nie będzie.

I śmiał się jowialny proboszcz.

Tedy Kalinowski musiał wyznać prawdę.

— Ja im tego nie powiem, bo oni wcale nie chcą za pogrzeb płacić; ja grzebię generałową za swoje, a że mam 25

całego kapitału pięćset rubli, więc jakże mogę dać tysiąc?

Proboszcz nagle spoważniał i poczerwieniał.

— Jak to? Oni się targują o pogrzeb swej dobrodziejki?

Tak? Ano, to się potargujemy. Ja od ciebie pieniędzy brać nie będę, ani z tobą o to się układać. Przyjechali spadkobiercy, niech do mnie się udają. To takie ptaszki! No to ci radzę od nich z życiem uciekać, bo cię ograbią i jeszcze oszkalują.

Jakże to było? Opowiedz.

Kalinowski powtórzył rozmowę. Proboszcz biegał po pokoju i sapał.

— Wracajże i powiedz, że ja czekam na nich — zawołał

zacierając ręce. — Beze mnie się nie obejdą. No a cóż ty dostaniesz? Jeszcze nie wiadomo?

— Owszem, nic nie dostanę.

— Jakże? Skąd wiesz? Testament już czytali?

— Nie. I testamentu nie ma, i matka mi przepowiada śledztwo i więzienie. Ale co miałem robić?

I powiedział rzecz całą. Proboszcz się za głowę chwycił.

— Wariacie, coś uczynił! Bój się Boga, toć tam może był

legat i na kościół! Tyś gorzej niż wariat! Ja rachowałem na pewno, że organy nowe zrobię! Pewnie był legat! Ty jesteś osioł dardanelski!

— Co miałem robić? Musiałem depeszę wysłać, a potem jej się polepszyło, więc musiałem wyznać. Zresztą, niechta!

Sumienie mi nic nie wyrzuca.

— Osioł jesteś! — powtórzył oburzony proboszcz. —

Czemu twoje sumienie nie pomyśli, iluś ty swym wyskokiem biednych ludzi pokrzywdził? Wszystkie legaty przepadły!

Rozumiesz ty to?

Wszystkie! Ty masz naturę bezczelnie dumną, tylko honor, ambicja, a zastanowienia ani za grosz. Magnacka tradycja, antenaty, królewia! Podepce małych, byle honor swój 26

karmazynowy uchował. Oho, czyta się o takich. No, wpadniesz ty w moje ręce do spowiedzi! Rozsierdzony, pogroził mu ręką.

— A o matki starości pomyślałeś?

— Matka mi przyznała rację.

— Pewnie. Ona jest święta, ona najgorsze bez szemrania zniesie, ale twoja rzecz dać jej najlepsze. A cóż z tą małą sierotą będzie? Pomyślałeś, jeśli i jej legat się spalił?

— Przecie Wojewódzcy spadek biorą. A oniż nie biorą z tym żadnych obowiązków? Ksiądz proboszcz tylko mnie chłoszcze.

— Ja chłoszczę zawsze obecnych. Im też pewnie złego nie pochwalę, bądź pewny. No a z sobą cóż myślisz teraz robić?

Służbę inną masz?

— Nie chcę już więcej służyć i kolegować ze zgrają oficjalistów, złodziei! Czy ksiądz proboszcz myśli, że gdybym sługą nie był, oni by się ośmielili mnie tak oszkalować? Być na równi z tą klasą płatnych złodziei, to być do śmierci napiętnowanym, zabić swą cześć i honor albo, upomniawszy się

o krzywdę, być wyrzuconym za drzwi jako zuchwały sługa. W mojej kołysce nie legli się ekonomy i pisarze, i jam na to się nie rodził.

— No więc zapewne kupisz dobra albo pójdiesz na Tatarów, a może będziesz hetmanem. Wariat jesteś i źle skończysz, jeśli się nie opamiętasz. A matka?

Kalinowski ponuro milczał.

Ksiądz zażył znowu tabaczki i kichnął.

— Ot, widzisz, co ci powiem. Fanaberiom daj pokój, ja ci naraję posadę. Piszesz dobrze? Zarekomenduję cię do mego stryja w konsystorzu\* za pisarza. Oficjalistą tedy nie będziesz.

Ale Kalinowski wstał i wziął za czapkę.

\* konsystorz — urząd podległy biskupowi załatwiający sprawy sądownictwa i. administracji kościelnej.

27

— Dziękuję księdzu proboszczowi, alem nie miejski ptak, ani wytrzymam nad biuram. Będzie, co będzie. Weźmiemy się za łby z dolą i albo wydrę jej szmatek ziemi na własność i miejsce między sobie równymi, albo ksiądz mi da darmo kilka łokci gruntu i odśpiewa mi raz ostatni, żem był osioł.

Pocałował księdza w ramię i wyszedł.

Gdy wstąpił po konia do Sucheńca, zastał w stajni gospodarza, który go właśnie oglądał.

— Ja jestem kupiec na pańską klacz — rzekł. — Daję panu od słowa za nią sto rubli.

— Macie, panie gospodarzu, dobre oko, a ciasną kieszeń.

Zresztą ona nie na sprzedaż.

— A po co ona teraz panu? Przecie pan weźmie po pani generałowej najmniej dziesięć tysięcy, majątek kupi, gdzie daleko może?

— A, ba! A jak nie wezmę ni grosza, to pojedę w świat szukać szczęścia. A na mojej Zozuli najdalej i najprędzej zajadę.

Śmiał się zakładając wędzidło.

— Jutro już się matka do was sprowadzi — dodał kładąc nogę w strzemień. — Kaźcie w piecu napalić.

— Będzie ciepło. Dziewczęta jej posłużą i wyręcżą. Bądź

pan spokojny; Ale to słyse, prawdziwe dziedzice generałowej zjechali, bo dali poczylionowi dwa złote na piwo. Nie wysokiego rodu całe to gniazdo.

Ralinowski poczerwieniał.

— Co po tytule, gdy pusto w szkatule — odparł. — I ja z rodu magnatów, a nędzarz—sługa.

— Pan to co innego. Pan służy, to prawda, ale w panu fantazja pańska. Ho, ho, z pana jeszcze nikt nie drwił, a z nich już się śmieją.

Kalinowski dotknął prętem czapki i wyjechał za wrota.

28

Patrzyły za nim córki Sucheńca i trącały jedna drugą.

— A ładny gdyby lanszaft! — westchnęła jedna.

— A dumny jak królewicz! — szepnęła druga.

I gapiłyby się i wzdychały dłużej beczynn timer, gdyby ich ojciec do domu nie zapędził.

— Wyglądajcie, Wyglądajcie! — burczał. — Niech no ja którą z nim na romansach złapię, popamięta! To nie dla was kawaler.

Marcysia, starsza i rezolutna, postawiła się śmiało.

— Jak mnie zaczepi, to się wcale na tatusia oglądać nie będę! — Zachichotała umykając do kuchni.

Kalinowski tymczasem, wróciwszy do Kuhacza, poszedł

wprost do pałacu i zameldował się.

Wyszedł do niego Wojewódzki, niecierpliwy, bp właśnie szperali po różnych szufladach i meblach szukając pieniędzy.

— A co tam? — spytał sucho.

— Przyszedłem oznajmić, że wracam z parafii. Proboszcz nie zechciał ze, mną o pogrzeb się układać. Czeka na rozporządzenie pana.

— Znowu będzie rozbój na gładkiej drodze — mruknął

Wojewódzki. — Ale miał rację: ja tu jestem panem. Każ mi pan zaprząć do powozu. Zaraz jadę.

— Niech pan zawoła lokaja. On wie, gdzie stajnia —

odparł Kalinowski i wyszedł.

— To już nie zuchwalec, to zbój! — zawołał Wojewódzki.

Przeszukiwanie biurek i szufladek poprawiło nieco humory rodziny. Znaleźli cenne stare klejnoty, podręczną kasę, a w niej parę tysięcy gotówki i arkusz z wyliczeniem kapitałów.

Suma dwieście tysięcy rubli w najrozmaitszych papierach, akcjach i złocie.

Pod sumą generałowa napisała aforyzm: *Beatus qui tenet\** i

\* Beatus... (łac) — Błogosławiony, który potrafi wytrzymać.

29

swój podpis.

— Tak, sumka okrągła! — zaśmiał się Staś. — Dostanę od ojca jeden folwark i połowę gotówki. Założę stajnię wyścigową, jak Adam Kalinowski, i więcej rodzicom nie będę dokuczał. Ale mi ta łacina się nie podoba. Niesmaczny koncept starej ropuchy. Zdaje się, że ją widzę w tej chwili, jak na nas patrzy i drwiąco się wykrzywia. A jeśli je gdzieś tak schowała, że i czart nie znajdzie?

— No, no, jeśli ich tu nie będzie, to je gdzieś schował

rządca — odparł ojciec. — Bądź spokojny, sąd przydusi ptaszka, wyśpiewa! Szukajcie dalej! Ja pojedę do księdza, żeby raz się tego trupa pozbyć ze swego domu. Dam klesze trzysta rubli. Chyba dosyć?

— Ależ za wiele! — oburzyła się pani. — Daj połowę.

Toć przecie nie miasto!

Wojewódzki pojechał. Oni dalej szuKali i szuKali, ale bez żadnego więcej skutku. Powoli ogarniał ich szal i rozdrażnienie. Roztrząsali papiery, listy, bieliznę, ubrania, graty, przesuKali każdy sprzęt, łóżko, stolik od robótek, fotel, portrety na ścianach — na próżno. Nie było nigdzie pieniędzy ni testamentu, ni świstka papieru ze wskazówką.

Wreszcie zmęczeni, ustali i spojrzeli po sobie, już nawet i Staś się nie śmiał, a panna była bliska mdłości.

— Ot i postawiła baba na swoim! — warknął Staś. — Nie chciała nam dać i nie dała. Boć przecie rządca nie byłby tak głupi, żeby wszystko zabrać i czekać na nas spokojnie.

— Właśnie, że jest mądry. Zabrał, okradł nas, schował w bezpiecznym miejscu i teraz drwi sobie i bezczelnością nadrabia! Ale to mu lekko nie ujdzie. Trzeba go natychmiast zaskarżyć, aresztować i rewidować! Tylko energicznie!

Pani była rozgorączkowana. Chciała natychmiast posyłać po policję. Zaczęła ją mitygować córka.



— Proszę mamy, ażeby o to rozpytać tej dziewczynki, która służyła i nie odstępowała na krok generałowej od dwóch lat. To dziecko podobno, żeby ją łagodnie pytać, powie.

— Może masz rację. Gdzież ona się podziała?

— Lokaj mówił, że boi się umarłej i gdzieś się schowała w oficynie.

— Sprowadźże ją tutaj przez lokaja. Może masz dobre natchnienie.

Posłano po Józię. Dziecko, posłyszawszy, że ma iść do pałacu, oparło się, szlochając i tuląc w najciaśniejszy kąt, ale Kalinowska przekonała ją, że powinna słuchać swych nowych opiekunów.

— Idź, grzecznie się przywitaj, jeśli cię o co pytają, śmiało odpowiedz i zabierz swoje pudełko, bo może cię zatrzymają tam. No, idź, dziecko, idź! Po rękach ich nie całuj, mała, ani proś o co! — dodał Kalinowski.

Dziecko poszło, tym ostatnim rozkazem jakby ośmielone.

Przypomniały jej te słowa sieroctwo i wyzysk, zbudziły na dnie duszy hardość.

Na progu sypialni zostawił ją lokaj.

— Jest mała Józia — oznajmił i odszedł.

Wojewódzcy spojrzeli ciekawie. Dziecko było uosobieniem nędzy i zbiedzenia. Drobna, chuda, śniada, z wielkimi żalnymi oczyma, stała w progu, ginąc cała w kaftanie Kalinowskiej i oburącz trzymając drogocenne swe pudełko.

— Chodźże bliżej, moje dziecko! — rzekła łagodnie Wojewódzka. — Co ty masz w rękach?

— To moje rzeczy — odparł cichutki głosik,

— Złóżże je na dawnym miejscu! Ty tutaj sypiałaś, w pani generałowej pokoju?

— Nie, tu obok, w ubieralni.

— No więc się tam rozgość na powrót i chodźże tu do nas.

Dostaniesz cukierków. Tyś przecie sierota, na wychowaniu byłaś, a teraz u nas będziesz. Nie lękaj się nas, nie skrzywdzimy cię nigdy.

Dziecko zniknęło na chwilę i wróciło już bez pudełka, ale zawsze nieufne i dzikie.

Wojewódzka przyprowadziła ją do stolika i dała garść cukierków.

Tedy Józia rozejrzała się i widząc nieład w pokoju, podniosła oczy na swą nową opiekunkę i spytała:

— Może posprzątać?

— To ty tutaj sprzątałaś dawniej?

— Ja.

— I cały dzień przebywałaś z panią?

— Czasem mnie zamykała w bilardowym pokoju za karę.

— Na długo?

— Ile chciała. Zimą, myślę, że dłużej bywało, bo tam zimno bardzo.

— A pani zawsze przebywała w swoim pokoju?

— Ej, nie. Chodziła po domu, wszędzie, zimą, a latem po ogrodzie. Ja za nią nosiłam krzeselko i robotę.

— No a gdzież ona chowała pieniądze? — spytał

zniecierpliwiony Staś.

— Tutaj — wskazała Józia biurko, gdzie już znaleźli gotówkę.

— A gdzież jeszcze więcej?

— W komódce przy biurku też.

I tam znaleźli też portmonetkę z kilkunastu rublami.

— No a tobie nie dawała pani pieniędzy?

— Nie.

— A Kalinowscy często przychodzili do pani?

32

— Pan Aleksander co tydzień przychodził do kancelarii z papierami, a po panią Kalinowska posyłała mnie pani często, kiedy zachorowała. Dawniej nigdy.

— A jak pani umierała, był tu kto oprócz ciebie?

Kalinowscy pewnie?

— Jak się na pana Aleksandra tak rozgniewała, to potem zabroniła im przychodzić.

— A o cóż się rozgniewała? Jakże tam było?

— On przyszedł, gdy ksiądz odjechał, i powiedział jej, że coś posłał, coś napisał, dobrze nie rozumiałam. Wtedy zaczęła bardzo krzyczeć i kazała mi dać ot tę skórzaną książkę, i świecę, i potem jakieś papiery wyjęła i popaliła, i wypędziła pana Aleksandra i panią Kalinowską, a mnie zakazała ich wpuszczać i powiedziała, że jak nie posłucham, to mnie po śmierci straszyć będzie.

— No a kiedyż umarła?

— Ja nie wiem. Ja zasnęłam na dywaniku przy łóżku, nie budziła mnie, i rano patrzę, a pani jeszcze śpi, ale taka straszna, więc uciekłam do oficyny.

— A Kalinowscy wnet do pałacu poszli?

— Pan Aleksander posłał po wójta, a pani poszła po ogrodnikową i kucharzową.

— I ty z nimi?

— Nie, ja się bałam. Mnie nie wołali.

— Niewieleśmy się dowiedzieli — rzekł Staś i dodał po francusku. — Zresztą, ta mała wygląda mi na marionetkę samychże Kalinowskich. Opowiada bajeczkę, której oni ją nauczyli.

Wojewódzka bystro przyglądała się dziewczynce.

— A ty, maleńka, bardzo żałujesz pani? — spytała.

Józia pomyślała chwilę, poruszyła ustami, ale nic nie odpowiedziała.

33

Roześmiał się szyderczo Staś. — Przynajmniej to milczenie jest wymowne.

— A dawno już tu jesteś? — badała dalej Wojewódzka.

— Okropnie dawno — szepnęło dziecko.

— A gdzież pierwiej byłaś?

— U mamusi — odparła, i widać było, jak jej oczy nabierały łez. — Ale mamusi już nie ma.

Spuściła głowę i poczęły jej łzy kapać na podłogę, bez szlochania, bez jęku. Takie milczące łzy nad wiek dojrzałej istoty.

Wojewódzcy na chwilę zapomnieli o pieniądzach i interesach, poczuli litość dla biedactwa.

Panna zbliżyła się do niej, Wojewódzka podsunęła cukierki, Staś sięgnął do kieszeni i dał jej czterdzieści groszy.

Józia spojrzała na pieniądź i przeraziła się, że może myśla, iż prosi ich o co. Usunęła się.

— Dziękuję panu — rzekła przez łzy. — Ja nie potrzebuję pieniędzy. Dziękuję panu. — I cofała się coraz dalej.

— Patrzcie no, fajła! — roześmiał się. — I czemuż nie chcesz?

— Bo nie zarobiłam — odparła. — Jeszcze jestem za mała, żeby służyć za pieniądze.

W tej chwili turkot się rozległ i zaraz ukazał się Wojewódzki sapiący z gniewu.

— Wyobraźcie sobie, co klecha zaśpiewał: tysiąc rubli.

Szakale, nie ludzie! Powiedziałem mu, co o nim myślę, a on na to ośmielił się dawać mi moralne nauki i wskazywać obowiązki. No, przekonałem go!

— Coś zrobił? — spytała żona.

— Zagroziłem mu policją, jeśli nie pogrzebie jutro, i rzuciłem mu dwieście rubli. Na to obraził się, odrzucił mi pieniądze i powiedział, że czeka, bym groźbę wykonał.

34

Myślał, że mówię na wiatr. A ja ruszyłem na policję i już dostał rozkaz.

— To się dopiero tatko zasypał! — zawołał Staś. —

Książdz ten papier obwiezie po całym obywatelstwie i ładnie ojca umaluje. Uf, jak to było niedyplomatycznie!

— Ja twoich rad nie potrzebuję — ofuknął ojciec, który, już wracając obejrzał się, że palnął głupstwo i teraz zuchwalstwem nadrabiał. — Ja, dzięki Bogu, o opinię nie dbam teraz. Będę miał stosunki, jakie zechcę wybrać.

— Będzie ojciec nos zadzierać, jak się pieniądze znajdą.

Tymczasem nie warto! — szydził syn.

— Jak to? Nie ma? — Wojewódzki pobladł.

— Nie ma i prawdopodobnie nie będzie.

Wobec ironii syna stary wybuchnął:

— Otóż będą! Zaraz wracam do miasteczka i uwiadomię policję. Jestem okradziony, niech prawo

mnie broni przed bandą zbójów. Dajcie mi ten spis!

Porwał papier i wypadł na ganek wołając o konie.

Z wyżyn swego katafalku generałowa uczestniczyła wszystkiemu i wykrzywiła się drwiąco, coraz okropniejsza w miarę ubiegających godzin oczekiwania na spokój grobu.

35

### III

Na pogrzebie generałowej, oprócz dworskich i wiejskich gapiów, był tylko Wojewódzki z synem. Deszcz lał, wicher pogasił świece; zaraz za bramą dziedzice siedli do powozu, ksiądz na bryczkę; ludzie po trosze się rozpełzli i gdy karawan przybył na cmentarz, mała tylko stanęła nad grobem garstka.

Nikt nie zapłakał, ksiądz prędko modlitwę odczytał, trumnę w dole wodą święconą pokropił, grudkę ziemi cisnął i prędko odszedł. Za tą grudką potoczyła się jedna Wojewódzkiego, potem Kalinowski też garść rzucił i zanim organista odśpiewał Anioł Pański, tylko murarze nad grobem zostali.

W Kuhaczu tymczasem rozgościła się policja.

W pałacu pisano protokół, a w drzwiach oficyny zjawili się dwaj strażnicy, jakby wyczekując na hasło do ataku.

Zaledwie Kalinowski wrócił z pogrzebu, oznajmili mu, że ma się stawić w pałacu z rozkazu władzy.

Jemu ze zgrozy poczerniało w oczach, ale szczęściem matka go przygotowała na najgorsze, więc zebrał wszystką moc i poszedł, jak stał, deszczem ociekający, a za nim strażnik. Drugi został na ganku. Wprowadzono go wprost do kancelarii, gdzie za biurkiem nad papierami siedział urzędnik.

Znali się ze sobą, przywitali i urzędnik, markotny, rzecz zagaił:

— Nieprzyjemna sprawa, panie Kalinowski. Oto nigdzie nie znaleziono pieniędzy generałowej.

— Bo je pewnie trzymała w banku — odparł spokojnie.

— Ba, kiedy i na to nie ma żadnego śladu. Jest tylko spis wartości, numera biletów, zresztą nic.

36

— W takim razie muszą być gdzieś w domu ukryte.

— Szukano i szukają wciąż bezskutecznie. Trudno przypuścić, aby stara, niedołężna kobieta odrywała posadzki lub wybijała cegły. Nieprzyjemny interes. Pan mnie w niczym nie może poinformować?

— Nie. Domowym tu nigdy nie byłem, nawet dobrze rozkładu sal nie znam; generałowa przyjmowała mnie co sobotę, tutaj, przy tym biurku, przeglądając raporta gospodarskie podpisywała co trzeba, pieniądze przynosiła z sypialni, zawsze mniej niż się należało, dochody pobierała sama, niewielem miał i widywał gotówki. W księgach zostały zaległości.

— To jest źle, bardzo źle! Pan mi pomóc nie chce. Muszę być szczery. Nowi dziedzice obciążają posądzeniem pana.

— Jakim posądzeniem? Żem ich okradł? Niczegom się lepszego po nich nie spodziewałem. Ale posądzenie trzeba dowieść, bo jeśli nie dowiodą, ja ich do obrachunku pociągnę.

Zamigotały mu oczy tak strasznie, że aż urzędnik się wzdrygnął.

— Ależ panie Kalinowski, trzeba być bezstronnym. Obcy ludzie nie znajdują tak olbrzymiej sumy. Pan tu był rządcą i gospodarzem, krewnym zmarłej. Do kogóż mają mieć pretensję?

— Do chamów sobie podobnych, nie do mnie. Byłem rządcą i gospodarzem, odpowiem za to, ale nie byłem szpiegiem generałowej ani złodziejem. Więc pan na mocy ich podejrzeń pociąga mnie do odpowiedzialności?

— Muszę. Pan daruje. Prawo każe. Oni wymagają rewizji u pana.

Kalinowski się zatrząsł.

— Prawo pozwala im mnie szkalować, hańbę zadać, opinię 37

odebrać na całe życie. A ponieważ tych pieniędzy u mnie nie ma i nie znajdują, czym oni mi za to zapłacą?

— Pan może sędownie swej krzywdy dochodzić, pozwać ich o oszczerstwo; ale i oni swej krzywdy teraz mogą szukać.

Taka masa pieniędzy!

— I pan też wierzy, że ja skradłem?

— Ja jestem maszyna.

— Ano, to nich mnie pan zmiażdży! — rzekł gorzko. —

Czy mam być obecny przy rewizji?

— Będę pana prosić, tak! Postaram się skutecznie jak najprywatniej.

— Wszystko jedno. Już mnie opinia i plotka opiętują na całe życie. Jestem zhańbiony i stracony! Służę panu!

Urzędnik milcząco wyszedł na ganek, odprawił strażnika i we dwóch udali się do oficyny.

Przed gankiem stał już furę najętą pod graty, w izbie Kalinowska zbierała resztę manatków.

Na widok syna pobladła, zrozumiała, co będzie.

— Mamo, pan zrewiduje nasze rzeczy! Daj klucze — rzekł

Aleksander nieswoim głosem.

— Wola Boża! — szepnęła.

Przez okna, przez drzwi zaglądali gapię, dzieci, kobiety; wieść już poszła między ludzi, napełniając oficjalistów radosnym triumfem. Z ust ich pójdzie w świat, przerobiona na potworne rozmiary. Za tydzień o trzydzieści mil już będzie wiadomo, że u Kalinowskiego w kufrze znaleziono pieniądze i że on siedzi w kryminale.

Urzędnik rozpedził gapiów i przystąpił do swej czynności przy pomocy strażnika.

Kalinowska otworzyła dwa kufry, szafę i komodę, więcej nic nie mieli zamczystego. Usiadła potem przy piecu, wzięła syna za rękę i drżącymi ustami mówiła pacierz za niego.

38

On jakby zdrewniał, patrzył bezmyślnie przed siebie i milczał.

Rewizja była nietrudna, tak mało mieli sprzętów i pościeli; krótko trwała, a oni w swej męce przeżyli, zda się, lata. Gdy urzędnik skończył, spojrział na nich i już osobistej rewizji nie śmiał wymagać.

— Przepraszam panią — rzekł. — Człowiek czasem przeklina chleb, który je, akt bywa gorzki. Ale pani mi daruje. Maszyna jestem.

— Czy możemy odjechać? — spytała.

— Pani, tak. Pan Aleksander musi jeszcze zostać.

— Zostanę i ja — rzekła spokojnie.

— Nie, matko, nie chcę! — zawołał syn gwałtownie. —

Jeśli matka mnie kocha, proszę jechać stąd precz. Niech już ja sam znoszę tę hańbę; wyście dosyć się w życiu nacierpieli.

— Właśnie, że cię kocham, więc zostanę. A cierpieć?

Albośmy winni, żeby się wstydzić? Dajże pokój! Odpraw furę i idź z panem. Nie troszcz się o mnie.

— Dobrze pani mówi — potwierdził urzędnik. —

Spokoju, panie Aleksandrze! Zamiast rozpaczać, niech pan pomoże szukać; Jeszcze się te pieniądze znajdą i oni pana przeproszą.

— Ja nie potrzebuję ich przeprosin, ale krwi. Oni mi dadzą satysfakcję szlachecką.

— Oleś! Milcz i opamiętaj się! — zawołała matka.

Urzędnik pokręcił markotnie głową i wyszedł. Aleksander zabrał gospodarskie księgi i ruszył za nim wśród cizby gapiów otaczających ganek.

Kalinowska zawołała chłopów i wyprawiła do miasteczka większą część gratów. Zostawiła niezbędne tylko i w pustce chłodnej czekała na syna. Godziny mijały. Widziała przez okno, jak Aleksander z wójtem i pisarzem prowentowym 39

chodzili po gumnie, zapewne odbierali od niego inventarz i remanenta; potem wrócili do pałacu i zmrok zapadł, a on nie przychodził. Począł ją szarpać coraz gorszy niepokój.

Naprzeciw do kwatery ogrodnika wchodzili ludzie, nosili wieści i plotki, rozlegały się okrzyki, śmiechy, to znów oburzenie, do niej nikt nie przychodził, a ona też pytać nie wychodziła. Nagle zaskrobało coś do drzwi i na progu stanęła mała Józia, wystraszona, oglądając się jakby ją gonili.

Kalinowska drgnęła.

— Co tobie, Józiu?

— Proszę pani, proszę pani. Zabiją pana Aleksandra.

Kalinowska rzuciła się do drzwi i pobiegła do pałacu.

Sama nie pamiętała, jak się znalazła w kancelarii pełnej ludzi nad synem, który zboczony krwią leżał na kanapie.

Urzędnik, dwóch strażników krzątało się koło niego, a przy ścianie, blady jak trup, stał Wojewódzki, którego syn gwałtem ciągnął za drzwi. Na biurku leżał rewolwer, na stosach ksiąg, przy gospodarskich kluczach.

— Oleś! Zabili mi go! Jezu! — jęknęła matka. Urzędnik zwrócił się do niej bardzo blady.

— Nie, nie! Żyje! Niech się pani uspokoi! Pod obojczykiem strzał, tylko krew zbiegła. Pojechali po doktora?

— zwrócił się do strażnika.

— Bazyl konno pojechał.



Kalinowska już umilkła. Pochyliła się nad synem. Łzy jej oblały mu twarz, rozwarł oczy.

— Zabierzcie mnie stąd, matko! — jęknął.

— Zabiorę, biedaku, zabiorę — szepnęła i zwróciła się do urzędnika. — Dajcie mi pomoc, panie! Poślijcie po wóz!

Zawiozę go do miasteczka. Mam tam kwaterę.

— Doktor zaraz będzie. Niebezpiecznie go przewozić bez jego pozwolenia.

40

— Ja, matka, mam prawo. On tu nie zostanie, choćby w drodze miał umrzeć. Dosyć tu był! Dosyć mu wzięli! Dosyć wysłużył.

— Tak! Tego już za wiele! — mruknął urzędnik. —

Marcin! Ruszaj po pod wodę! Żywo!

Kalinowska obejrzała opatrunek syna i przykucnęła na ziemi obok jego głowy. Urzędnik stał bezradny pod piecem gryząc zawzięcie paznokcie.

Nagle kobieta podniosła oczy boleścią rozszerzone i spytała głucho:

— Czy on zasłużył na to, panie? Uniósł się do niepamięci?

— Ostro mówił, prawda! — odparł urzędnik. — Domagał

się wypłaty najmu i pensji zaległych. Wtedy pan Wojewódzki nazwał go złodziejem i oszustem, wodzem szajki łotrów.

Tedy on mu rzucił rękawiczkę w twarz, a ten strzelił, zanim się kto obejrzał, że ma rewolwer. Kulą mu przeszła koło ucha, tuż. Awantura! To są jacyś straszni ludzie! A pewnie pozwolenia na broń nie ma — dodał biorąc rewolwer ze stołu.

Zaturkotało pod gankiem i wszedł strażnik.

— Jest fura — rzekł.

Ranny poruszył się. Objął matkę za szyję.

— Zabierzcie mnie stąd! — powtórzył starając się powstać i znowu zemdlał.

Wzięto go na ręce i ułożono na słomie w wozie. Na progu czatowała Józia i podała Kalinowskiej swą wełnianą chustkę.

Oczy jej błagały, by ją też zabrano stąd, ale Kalinowska nie spojrzała na nią. Usiadła na wóz, wzięła

głowę lyna na kolana i wyjechali za wrota. Dopiero na drodze poczuła Kalinowska, że za nią jeszcze ktoś jest. Była to Warta, która wskoczyła do swego pana i lizała mu bezwładne ręce.

Tymczasem Wojewódzcy opamiętali się poniewczasie.

41

Dziedzictwo rozpoczynało się feralnie, a wielki los zapowiadał się niefortunnie. Krew ostudziła ich, przyszła gorzka rozważa.

Panna dostała dreszczów i gorączki, pani spazmów i migreny, pan upadł w fotel i milczał ponuro, widząc przed sobą sąd i kryminał, jeden tylko syn zachował przytomność umysłu, ale też nie oszczędzał rodziców ani ich pocieszał.

— No, mamy kompletny pasztet! Udały się ojcu oszczędności i z księdzem, i z rządcą! Można powinszować!

— mówił rozdrażniony, chodząc po pokoju. — Ciekawym, jak ojciec teraz wybrnie z tego błota? Brakuje tylko, żeby ten drab umarł. Użyje wtedy ojciec spadku.

— Stasiu! Czy ty masz sumienie tak ojca nękać? —

jęknęła matka. — Przecie ojciec bronił życia.

— Rewolwerem przeciw rękawiczce. Dla mamy to może słuszne, ale sąd inaczej na to patrzy. Wyrok nie podlega kwestii.

— Ależ on nie umrze.

— Daj to Boże, bo ostatecznie za co on dostał? Za to, że pieniądze przepadły?

— On je ukradł! Przysięgnę na to! — zawołała pani.

— A chociażby! Czy to był sposób dobry, aby je odzyskać? Śledztwo, sprawa, rewizja, i cóż z tego?

Ostatecznie my jesteśmy skompromitowani. A kulę dostał, bo się upominał o zaległą pensję. Jeszcze tedy będzie bohaterem i ofiarą.

— On i o swoją się dopominał. Przecie podobna bezczelność przechodzi dozwoloną granicę.

— Człowiek ten jest mi tak antypatyczny, że aż mi ulżyło, gdym palnął — ozwał się Wojewódzki. — Przecie to drab, zbój, zuchwalec! To on temu wszystkiemu jest winien. On do tego doprowadził.

42

— No a dalej co będzie? Wojewódzki odzyskał trochę śmiałości.

— Dalej? Jestem dość bogaty, żeby sprawę zamazać. A jeśli on zechce ze mną wojować, to będzie dowód, że pieniądze ukradł. Wtedy rzecz się wyjaśni.

— Więc ojciec dalej myśli uprawiać swój system? W takim razie ja wracam do Warszawy.

— Jak ci się podoba! — zaciął się Wojewódzki.

Syn ramionami ruszył i poszedł do swego pokoju, gdzie najspokojniej położył się i zasnął.

Rodzice musieli niewiele snu użyć, a dużo rozwagi, bo nazajutrz rano zawołał Wojewódzki pisarza pasowanego na rządcę i wydał następny rozkaz:

— Odeślesz zaraz do miasteczka rzeczy i co należy do Kalinowskich.

— I krowy? I klacz?

— Wszystko. Oddasz posłańcowi tę kopertę i polecisz się dowiedzieć, jak się ma Kalinowski. Przygotujesz także wykaz zaległych pensyj i najmu. Wszystko będzie opłacone.

Staś słuchał i podśmiechiwał triumfująco.

Ale wieczorem Kalinowska odesłała nie rozciętą kopertę z pieniędzmi i kazała powiedzieć, że syn jest już sowicie zapłacony. Posłaniec dowiedział się od Sucheńców, że rządcą ciężko ranny i gorączkuje, ale że doktor ręczy za życie.

Kalinowska przebyła parę ciężkich tygodni, nie odstępując syna. Szczęściem córki Sucheńca okazywały rannemu wielką pieczołowitość i zawsze miała którą do obsługi i pomocy.

Doktor także okazywał jej życzliwość, a i proboszcz wstępował często, pytając, czy czego nie brak.

Wiść o wypadku rozniosła się szybko po okolicy i przechyliła sympatie wszystkich na stronę Aleksandra, więc gdy się ocknął z gorączki, ujrzał się otoczony przyjaznymi.

43

Nawet oficjaliści z Kuhacza, gdy przestał być ich zwierzchnikiem, okazywali mu zajęcie i mówili głośno, że jemu zawdzięczają uregulowanie rachunków. Wszystkich interesowało jedno tylko, czy będzie sprawa sądowa i co się stanie z Wojewódzkim. Ale o tym było cicho. Kalinowscy milczeli.

Gdy Aleksander o tyle był zdrowszy, że mógł wstać z łóżka, zjawił się u niego pewnego wieczora urzędnik, świadek wypadków, i sprawę zagaił:

— Jakże będzie? Pójdzie pan do sądu?

— Tymczasem nie — odparł Kalinowski.

— Bp wie pan, pan Wojewódzki bardzo żałuje swego czynu. Gotów... bardzo by chciał sprawę załagodzić. On proponuje panu, że cofnie swe oskarżenie co do tych zaginionych pieniędzy, byle pan nie poszukiwał swej krzywdy. Tak, jedno za drugie i niech będzie cicho.

Kalinowski począł sapać i oczyma błyskać.

— Ja panu Wojewódzkiemu nic nie daruję, ale po sądach nie będę szukał sprawiedliwości. On mi chciał zbrudzić mój honor i opinię, on mnie nazwał złodziejem, posądził o podłość. Jeszcze życie przed nami do obrachunku. Jeszcze ja jego honor będę trzymał w ręku, a wtedy za swoje zapłacę.

Jestem nędzarz, biedak, płatny sługa, on mnie chciał nogami podeptać. Niechże pamięta, że on u mnie kiedyś będzie pod stopami, on, magnat. A wie pan, dlaczegom taki pewny tego, bo on sam musi być podły i nędznik, gdy drugich o podłość posądza. Już ja go dopilnuję! A teraz może być spokojny, do więzienia go nie wpakuję, ale żadnych umów nie chcę, owszem, niech mnie śledzą i rewidują, niech mnie oskarża! Ja tylko to sobie zanotuję do obrachunku!

Kalinowska położyła mu rękę na głowie i rzekła prosząco do urzędnika:

44

— Ledwie się zwłóknął z pościeli. Niechże mu dadzą spokój.

Bądź pan pewny, że my im nie zamącimy wody ani na oczy nie pokażemy się.

Urzędnik, mocno zakłopotany, wyniósł się z mieszkania.

Aleksander uspokoił się pozornie i rzekł po chwili:

— Trzeba nam się też rozmówić, co dalej będzie. Dużo mama wydała na moją kurację?

— Mało co.

— Jakże? Przecie mama płaciła doktora i aptekę.

— Tak. Pięćdziesiąt rubli przeszło.

— A sto dała mama stolarzowi za trumnę generałowej.

— Dałam.

— Mamy tedy trzysta pięćdziesiąt; mieszkanie mamy zapłacone za rok i kawał ogrodu zadzierżawiony. Trzeba ogród uprawić, zostawię mamie trzysta rubli, a resztę z sobą wezmę i pojedę.

— Dokąd? Przecie nie zaraz. Musisz być zdrów zupełnie.

— Za parę tygodni. Pojadę do kolegi nad granicę galicyjską, do Kazimierza Sochowicza.

— Nie mówiłam ci? Odesłali ci z Kuhacza pieniądze, krowy i klacz.

— Jest klacz? — rozjaśniła się mu twarz i natychmiast spochmurniała. — Ale przecie mama nie wzięła pieniędzy?

— Nie.

Pochylił się i pocałował ją w rękę.

Twardy on był i nieprzystępny sentymentom, ale go przejął i rozczulił jej spokój i ten hart Spartanki.

— A ja, oprócz nędzy, nic mamie nie wysłużyłem —

szepnął miękko.

— Cicho, cicho! Nie ma o czym mówić. Niewinny jesteś, to dosyć. A jak mi kiedyś jednego dnia wszystko przepadło: twój ojciec fundusz, dach nad głową, chleba nawet kawałek, 45

tylko tyś został malutki. Już gorszego dnia nie będzie! I cóż?

Przecie, wytrzymałam, rąk nie opuściłam. Nie dręcz się, byle czystym być w duszy! I to minie! Ale, widzisz, wychowałam cię, jesteś dorosły, rządysz sobą i mną już teraz, ale przecie moją wolę uszanujesz, gdy ci parę rad dam. Zostanę tutaj, jedź spokojny, szukaj doli i szczęścia, o mnie się nie troszcz, nawet nie pytam, po co i gdzie pędzisz, będę czekała na ciebie. Tylko ci każę wziąć wszystkie pieniądze, mnie zostawisz kilkanaście rubli, dalej sama sobie poradzę.

Potrząsnął głową.

— Za nic!

— Ja się ciebie nie pytam, ja każę! — rzekła stanowczo.

— Zresztą pojedziesz za parę tygodni. Jeszcze o tym pomówimy. Tymczasem połów się.

— Chwileczkę, manto; ja bym chciał klacz zobaczyć. Ja już mogę chodzić. Mnie w tej stacji tak duszno! A na dworze ciepło; toć już kwiecień!

Wyjrzała Kalinowska okienkiem; istotnie, wieczór był

ciepły i cichy.

Podąła ramię synowi i wyszli na podwórze.

Cała rodzina Sucheńca odpoczywała przed domem.

Powitali wszyscy radośnie chorego i gromadą ruszyli do stajenki, gdzie przytulono inwentarz lokatorów.

Dziewczęta zachwyciły się krowami, a sam Sucheniec wyprowadził klacz i gładząc jej jedwabną grzywę cmokał:

— Aj, to koń! Gdzie ją pan kupił? To cesarski kąsek! Co to za łopatki! Co za piersi!

Klacz wyciągnęła do Aleksandra głowę i obwąchiwała go, jakby uradowana, że go ma znowu przy sobie.

Złotokasztanowata, z siecią żyłek pod cieniutką skórą, nerwowa, związana wybornie, była istotnie ślicznym zwierzęciem. Na zadniej nodze miała dropiate, bardzo 46

oryginalne znamię.

Kalinowski pogłaskał ją i odparł:

— Dziwnie mi się dostała Pięc lat temu prowadzili przez Kuhacz cztery konie, sprzedane do jakiejś wielkiej stajni. Za Kadłubiem, na moście, co go znacie, jedna klacz łamie nogę w biodrze.

Właśnie nadszedłem, jak jej chcieli w łeb palić. Zacząłem ją targować, masztalerz zażądał stu rubli. Nie miałem tyle, poleciałem do miasteczka, pożyczyłem od Jonasza, no i kupiłem klacz na ziemi leżącą. Cośmy z nią mieli biedy i trudu, zanim przywieźli do Kuhacza! Żyła dwa miesiące i dała źrebkę, tę oto. Wychowała matka mlekiem i chlebem, dlatego taka oswojona.

— To nie dziw, że pan jej sprzedać nie chce — rzekła Mańka Sucheniec podając klaczy kromkę chleba.

— Poniesie mnie w świat — uśmiechnął się Aleksander.

— Alboż pan gdzie jedzie? — spytał Sucheniec.

— Za parę tygodni.

Posmutniały nagle dziewczęta, a mieszczanin głową potakiwał.

— Juści, panu tu nie siedzieć — rzekł. — Panu się patrzy wysokie miejsce na świecie. Mnie tu już od hrabiego zagabywali o pana.

Odprowadził klacz do stajenki i wróciwszy, szedł za nim ku domowi.

— Żeby pan wiedział, co tam za rejwach w Kuhaczu! Ten młody sprowadził ze trzydzieści koni, murują nowe stajnie na folwarku; słyszę, las chcą sprzedać, gości tam pełno; ale w polu to pozał się Boże! Toć fornale sprzedają tutaj owies nasienny, a pisarz z gumienym po całych dniach siedzą tu w gminie, w karty grają i piją z kompanią. Zbierała generałowa, zbierała! — I zaśmiał się.

Aleksander milczał, a Kalinowska spytała:

— Kto był od hrabiego?

— Ten stary kasjer tameczny. Pytał o zdrowie pana i czy pan szuka posady. Dał mi nawet rubla na posłańca, żeby go uwiadomić, jak pan wyzdrowieje.

— Jeszcze nie dowiedzieli się o skradzionych pieniądzach? — zauważył Aleksander.

— Jak to? Wiedział stary, bo wspominał.

— Więc nie wierzą? — rzekła Kalinowska.

— Po pierwsze nie wierzą, a po drugie, powiadają, jak każdy, co olej ma w głowie: żeby pan już wziął te pieniądze, to i ten papier zabrałby z numerami. Był czas!

I roześmiał się Sucheniec.

— I to racja! — mruknął gorzko Aleksander. — Kiedyś, jak one się znajdą, będę miał lepszą, teraz trzeba choć taką cierpieć. Otóż, panie Sucheniec, nie turbujcie na próżno kasjera hrabiowskiego, ja tu nie zostanę, matkę wam zostawię tymczasem pod opieką, a sam pojedę w świat. Zabawię tylko, by jej trochę zagospodarować ogród i mieszkanie. Gdy coś sobie zdobędę, przyjadę po nią.

— Niech pan będzie spokojny. I ja, i dzieci będziemy na jej usługi. Ja jestem pewny, że pan pójdzie wysoko, a ci z Kuhacza klapną. Znam się na ludziach.

Tego wieczora i parę dni następnych odpoczywał jeszcze Aleksander, sił nabierał i rozmyślał.

Wreszcie pewnego rana wstał o świcie i wziął się do pracy.

Najął i dopilnował ludzi do uprawy szmatu ogrodu, oporządził oficynkę, kupił drewno, mąki i zapasów, ugodził

dziewkę do grubszej roboty, zamówił siano na zimę dla krów nawet; przygotował matce, co mógł i ile było w jego mocy na długą swą nieobecność. Pieniądze topniał, ale się nie oglądał

na wydatki, aż gdy wszystko załatwił, obrachował kasę i 48

znalazł tylko trzysta rubli. Rozdzielił tę sumę na dwie części: jedną włożył do swego pugilaresu, gdzie miał już paszport i szkolne świadectwa, a drugą oddał matce.

Siedzieli we dwoje przy lampie, ona szyła, bo już robotę dostała w miasteczku, późny już był wieczór.

Kalinowska głową potrząsnęła, odsunęła pieniądze.

— Mówiłam, że nie wezmę. Mam wszystko, czego mi potrzeba, zabezpieczone, resztę po trochu dorobię, a ty musisz grosz jaki mieć przy sobie, jeśli chcesz coś kupić lub zadzierżawić. Bądź—że rozsądny!

— A broń Boże, na mamę choroba lub nieszczęście...

— To cię uwiadomię i przyjedziesz. Przecie mnie bez wieści nie zostawisz i ja często listy będę pisywać. Bądźże spokojny o mnie, dam sobie radę.

W tej chwili Warta podniosła się od kolan Aleksandra, podeszła do drzwi, powęszyła mrucząc i wnet umilkła.

Poruszyła tylko przyjaźnie ogonem.

— Ktoś jest pode drzwiami, znajomy. Tak późno? —

zdziwiła się Kalinowska i głośno spytała:

— Kto tam?

Milczenie, tylko szmer jakiś w sionkach. Aleksander zniecierpliwiony wstał i drzwi otworzył. U drzwi stała Józia, sierota z Kuhacza, trzęsąc się ze strachu.

— A ty tu skąd? — zagadnął zdziwiony.

Dziewczynkę do reszty głos jego przeraził, dopiero na widok Kalinowskiej zdołała wyjąkać

— Ja do pani przyszłam.

— Przysłali cię? Po co? Samą? W nocy? Mówże?

Biedactwo było bose, obszarpane i trzymało w ręku swe drogocenne tekturowe pudełko, całe mienie.

— Ja sama przyszłam. Ze wszystkim — rzekła już śmieiej.

— No, to chodźże! Cóż ci tam zrobili? Wypędzili? —

49

badał Aleksander.

Józia weszła i odetchnęła swobodniej. Zaraz też pogarnęła się do Kalinowskiej, jak zamęczone kocię.

— No, pewnieś głodna? Toż ci się nogi krwawią! Jakżeś trafiła tyle wiorst? Uciekłaś?

— Nie, mnie tam nikt nie chciał. Wyrzucili z pałacu, byłam u klucznicy trzy dni, buciki mi ktoś w nocy ukradł, jej córki, myślę. Więc z rana zaczęłam płakać o te buciki, więc się rozgniewała i wybiła mnie. Jeść też nie dali i przed nocą wypędzili ze stacji. Więc przenocowałam pod drzewem na podwórzu, a z rana sobie poszłam. Ludzie mi pokazali drogę do miasteczka, a tutaj na ulicy pytałam o panią; jakiś człowiek do wrót doprowadził i trafiłam na światło.



Wyrecytowała to wszystko jednym tchem i już zupełnie o los swój spokojna, postawiła pudełko na ziemi i przykucnęła na zydelku, niezdolna już ustać na pokaleczonych nogach.

Kalinowska krzątała się po izdebce. Dobyła mleko i chleb, naląła na miednicę wody, przyniosła szmat czystych.

Aleksander dojrzał zgłodniałe spojrzenie dziecka, zdjęła go litość. Ukroił sam chleba i podał jej kubek mleka. Wzięła chciwie i wypła od razu. Potem poczęła jeść chleb powoli, jakby z trudnością poruszała szczękami.

— Toś ty i wczoraj nic nie jadła chyba? — spytał;

— A nie. Nie śmiałam prosić.

— No, toś zuch! — roześmiał się.

Spojrzała na niego zdziwiona pochwałą, ale ją teraz poczęło ogromne zmęczenie i senność ogarniać. Ledwie podnosiła rękę z chlebem, powieki opadał, członki tężały, traciła czucie i pamięć. Była przecie u celu swych marzeń i bezpieczna, mogła odpocząć.

Już śpiącej opatrzyła Kalinowska nogi pokaleczone, rozebrała ją z łachmanów, a Aleksander na ręce wziął i ułożył

50

na czysto zasłanej kanapce. Zasnęła z kromką jeszcze chleba w garści, a oni siedli znowu u stolika i ciszej rozmawiali.

— Ot, będę miała i opiekę — rzekła Kalinowska.

— Jutro, raniutko, przyniosę jej trzewiki — rzekł syn.

Żadne nie pomyślało nawet, że im, biedakom, przybywa wydatek i ciężar wychowania zupełnie obcego dziecka.

Przyjęli spokojnie narzucony obowiązek, nawet nie dysputowali nad nim.

Józię przeczucie i Anioł Stróż dobrze prowadził.

Gdy się obudziła późno nazajutrz, znalazła parę nowych trzewików, a Kalinowska już szyła dla niej spódniczkę perkalową, śpiesząc się ogromnie.

Nogi już ją prawie nie bolały; słońce zaglądało w okna, na podwórzu ktoś śpiewał wesoło; odetchnęło dziecko, jakby ze zmory zbudzone.

— Proszę pani, a co ja będę robić? — spytała wstając.

— Umyjesz się, uczeszesz, ubierzesz, pacierz zmówisz, zjesz śniadanie i siądziesz szyć ze mną. Czeka na ciebie skrajana koszula i kaftanik. No, jakże, zdrowaś?

— Ach, pani, pani, jak mi dobrze! — wyjąkała Józia. Cała rodzina Sucheńca zeszła się, by oglądać sierotę. Kobiety podniosły chór oburzenia na nowych dziedziców Kuhacza, ale stary patrzył niechętnym okiem na dziecko i milczał.

Wyprawił córki do roboty i gdy został sam z Kalinowskimi, odezwał się:

— A jednakże to źle, że państwo ją zatrzymali. Na mój stary rozum ja bym dziecko odesłał.

— Niech zostanie — odparł lakonicznie Aleksander.

— Co myślicie? — spytała Kalinowska.

Józia przestała szyć i przerażona oczy wlepiała w mieszczanina.

— Ot, co myślę — odparł powoli. — Dziecko takie to dla 51

państwa ciężar, i wydatek, bo to słabe i małe, a najgorsze, że będą ludzie gadać, żeście ją przyhołubili dlatego, że wiedziała o pieniądzach. Ja! bym tego nie trzymał dla ludzkich plotek.

Aleksander podniósł się wyzywająco.

— Plwam na ludzkie plotki! — zawołał. — Tyle ona wie o pieniądzach tych przeklętych, co i my. A że słaba i mała do nas się schroniła, to i zostanie, póki sama zechce. Byliśmy sami z matką w poniewierce, wiemy, jak to smakuje, więc jej na poniewierkę nie damy. Mogą sobie ludzie szczekać, ile chcą i co chcą!

Józia słuchała uważnie, namysł i silne postanowienie malowało się na jej wzburzonej twarzy, a co słyszała, ryło się nie zatartymi głoskami w dziecinnej pamięci.

Uciekała do Kalinowskich instynktownie jako do jedynych znajomych, teraz przyłgnęła do nich, ślubowała im dozgonną wdzięczność, temu strasznemu Aleksandrowi, którego się bała jak uosobienia grozy i władzy, i siły, a który ją raczył

wziąć pod swą opiekę.

Pierwszy raz poczuła, że jest czyjaś, że ma kogoś swojego na świecie.

Sucheniec stropił się odpowiedzią Kalinowskiego, począł

się tłumaczyć:

— Pan mnie nie zrozumiał...

— Owszem, rozumiem. To wy raczej mnie nie pojmujecie.

Żeby was opadły Żydziaki na rynku i poczęły krzyczeć, żeście ukradli bułkę ze straganu, co byście zrobili?

— Ja, Sucheniec, kraść bułkę?... — roześmiał się stary. —

A, to bym plunął i poszedł dalej!

— Tak i ja czynię, gdy mnie posadzają, zem generałową okradł! Nie ma o czym mówić. Sprzedajcie mi jeszcze, gospodarzu, ćwierć owsa dla klaczy, bo pojutrze pójdzie ze 52

mną w drogę daleką, i chodźmy do gminy o małej zawiadomić. Papiery jej trzeba z Kuhacza wydobyć.

Już go owładnęła żądza tej awanturniczej jazdy w świat, dręczyła bezczynność i niepewność, paliło się w głowie od chaosu planów i projektów.

Kalinowska знаła ten dziki ogień jego spojrzenia, gorączkę ruchów i małomówność, oznaki upartego jakiegoś postanowienia, którego nie było sposobu zwalczyć, więc nawet nie próbowała sprzeciwić mu się ani pytać o cokolwiek.

Zajęła się ekwipowaniem go na drogę streszczając bagaż do zawartości małego tłumoczka, który miał u siodła przytroczyć, i karmiąc go jak mogła najlepiej. Wyprosiła tylko, by zabawił jeszcze dni parę, niby że jej pranie zalegało.

Tę parę dni on już jak nieswój chodził od stajni na ulicę, to znów w izbie rozkładał po raz setny kartę guberni i oczami szedł za swą drogą. Miał trzydzieści mil do majątku owego kolegi Sochowicza, który go parokrotnie do siebie zapraszał, stręcząc bardzo dobre dzierżawy lub interesy. Od pół roku, zapewne zniechęcony odmową, umilkł zupełnie, ale Kalinowski liczył na niego i był pewny dobrej rady i pomocy.

Ostatniego wieczora przecie rozgadał się z matką.

— Za tydzień będę na miejscu i zaraz do mamy napiszę.

Sohowicz mi stręczył jeden ze swych folwarków. Miał dać inwentarz na wypłatę i ratę z dołu. Jeśli nic się nie zmieniło, to może i za parę tygodni po mamę przyjadę, a jeśli się odwlecze, to bodaj kolonię tymczasem kupię; tam majątki parcelowane. Byle coś swojego mieć, choć dwie morgi, ale własne. Klacz sprzedam, zegarek, strzelbę, wszystko, bodaj własnymi rękami jaką chałupę sklecę, a pod cudzy dach się nie wprowadzę.

Był jak opętany swą szaloną myślą, a ona nie przeczyła 53

mu, nie odbierała rozwagą energii, ale odpowiedziała spokojnie:

— Zostały mi dwie duże perły w kolczykach, jeszcze twego ojca dar przedślubny. Weź je z sobą na wszelki wypadek. Sprzedać tego nie zechcesz, ale zastawić byś mógł

w nagłej potrzebie. Potem wykupimy.

— Jak mama chce ale ja sobie i tak poradzę.

— Wolałabym, żebyś je zastawił, niż klaczy się pozbył.

Chowałam ją z ręki, szkoda! Jeśli cię doprowadzi do dobrego, nie zbywaj. Lepiej może do czasu służbę przyjmij, jeśli dzierzawa nie wolna na razie. A przede wszystkim mną się nie krepuj; ja i rok, i dwa mogę tu czekać. Nic mi nie brak.

— Ale ja bez mamy i roku nie wytrzymam! — odparł

rozczulony. — A zresztą, z moją zapalczywością to bym się i bał sam zostać.

— Tego się będziesz strzegł przez pamięć na mnie. O to cię zaklinam! Miej wciąż w myśli, że w złości możesz kryminał popełnić, a wtedy dopiero zostanę zupełną sierotą.

Pożaluj mnie, dziecko!

Zawstydzony, głowę spuścił. Korzystając z tego, dała mu pugilares, pudełeczko z kolczykami, jakiś jeszcze zwitek.

— Weźże to i dobrze schowaj; nie, nie licz ani przepatruj; każę ci wziąć, więc masz słuchać. Tu nie ma o co się certować. Jedziesz po byt dla nas trojga teraz, więc nie czas na skrupuły. Kiedy myślisz wyruszyć?

— Chciałbym jutro, o świcie.

— No, to już jedź z Bogiem! Nie będę cię zatrzymywać.

Trzeba, to trzeba!

Wstała, pocałowała go w głowę i dopiero spostrzegła, że Józia dotąd nie spała, tylko siedząc na zydelku przysłuchiwała się rozmowie.

— Spać, dziecko, spać! — zawołała. — I ty, Oleski, połóż 54

się i wypocznij. Za parę godzin świt.

Gdy się Aleksander obudził, już się matka krzątała przygotowując mu herbatę; różowy brzask zaglądał przez okno. Zerwał się, żywo się okrzętnął i poszedł do stajni.

Zastał tam Józję przy klaczy. Z wielkim trudem windowała na wysokość żłobu wiadro pełne wody i przyglądała się, jak zwierzę piło.

— Co też Józia dokazuje! — oburzył się.

— Krystyna bała się jej — odparła spoglądając na dziewczkę dojącą krowy. — Niech się pan nie gniewa! Chciałam pana wyręczyć, bo pan dziś już jedzie — jąkała wystraszona.

— Ja się nie gniewam, dziękuję — odparł łagodnie. —

Nawet mam prośbę do Józi.

Spojrzała na niego, cała w słuch zmieniona.

— Pojadę daleko i będę o matkę niespokojny. Jakby tu was spotkało co złego, choroba albo niedostatek, a matka nie chciała mnie trwożyć, to Józia do mnie napisze. Józia potrafi napisać?

— Napiszę, tylko kto mi kopertę zaadresuje? — odparła bardzo roztropnie.

— Ja Józii dam gotowe napisane koperty z marką.

— To dobrze. Napiszę panu i ja — zająknęła się — i ja będę pani bardzo pilnować.

— Dziękuję Józii!

Podał jej koperty, które zaraz schowała do kieszeni, i wyszli ze stajni. Dziewczynka dreptała za nim i coraz bardziej ośmielona rzekła:

— A jak pan odjedzie, to może mnie zabiorą znowu do Kuhacza?

— Nie; Józia będzie u nas, dopóki sama zechce.

— To już na zawsze? — zawołała z wybuchem szczęścia.

Roześmiał się rad, że komuś sprawił uciechę.

55

— Więc Józia mnie się nie boi?

— O, boję się! — szepnęła.

— No, kiedym taki straszny, to Józia ucieknie?

— Nie, tylko się schowam, jak się pan gniewać będzie.

— A Józia już na mnie nie gniewa się za to? Wskazał jej czoło przecięte białawym śladem blizny.

— Nie. Panu wolno, bo pan mnie nie odesłał do Kuhacza, jak Sucheniec radził. O, pan dobry i ja panu do śmierci tego nie zapomnę!

Stojąc w progu Kalinowska słyszała całą rozmowę.

Spostrzegł ją syn i rzekł:

— Myślałem, że to dziecko, a mówi jak dorosła. Pierwszy raz w życiu ktoś mi rzekł dobre słowo. Dziękuję Józi i postaram się odpłacić. Pogłaskał dziewczynkę po głowie i spojrzął na słońce czerwono wschodzące nad polami.

— Trzeba ruszać w drogę.

—Kalinowskiej tak ciężko było na sercu, że nie chcąc się zdradzić głosem, nic nie odrzekła. Podała mu herbatę i milcząc patrzyła, jak udawał, że je. Oboje pasowali się ze smutkiem rozstania, wreszcie on odsunął filiżankę, wstał, do kolan matki się pochylił, ucałował jej ręce, przeżegnał się, po ścianach spojrzął, wziął za czapkę i tłumoczek. Wtedy przemówiła:

— Mało ludzi jeszcze na ulicy. Przeprowadzę cię za miasteczko pod figurę. Dobrze?

Skinął tylko głową i wyszedł, by klacz zobaczyć.

A już i cała rodzina Sucheńca była na podwórzu. Stary obejrzał raz jeszcze podkowy klaczy, rzemienie i popręgi, dawał wskazówki co do drogi, córki się gapiły przecierając oczy ze snu czy z łez.

Wreszcie klacz już była do drogi gotowa i wychodząc ze stajni, parsknęła ochoczo.

56

— O, poszczęści się panu! — rzekł na otuchę Sucheniec.

— Musi się poszczęścić — odparł hardo Kalinowski.

Pożegnał ich wszystkich, otworzył przed matką wrota na ulicę i za Józią się obejrzał.

— Chodź, Józiu! — zawołał.

Słońce całe się wynurzyło, gdy szli ulicą.

Kobiety naprzód, on za nimi, prowadząc klacz za cugle.

Mało co mówili. Naprzeciw kościoła pomodlili się chwilę, a potem, mijając ostatnie domy miasteczka, rzekła Kalinowska:

— Będiesz po nas wracał tą samą drogą. I, da Bóg, pojedziemy nią wszyscy razem. O tym trzeba myśleć, żeby siłę zachować. Ja spokojna jestem, że się wybijesz, a o mnie bądź spokojny.

Wstąpili na wzgórek za starą kapliczką. Przed nimi, prosto, daleko, gościniec biegł, pusty zupełnie o tej godzinie.

— No, teraz jedź z Bogiem, synku! — rzekła Kalinowska odważnie, bez łez i wybuchów.

Ucałował jej rękę, przeżegnała go krzyżem, potem nad Józia się pochylił i pocałował w głowę, i oto już był na siodle i zjeżdżał na prosty, daleki gościniec. Obejrzał się raz. Matka uśmiechnęła się do niego przez łązy. Józia patrzyła z przerażeniem bolesnym w oczach.

— Zostańcie z Bogiem! — zawołał.

— Do zobaczenia! Daj ci, Boże, szczęśliwie!

Klacz, rada przestrzeni, pomknęła zwawo; gdy się znowu obejrzał, już twarzy nie widział, tylko zarysy dwóch postaci nieruchomych u figury.

A one widziały tylko chmurkę kurzu, która opadała, malała, aż znikła zupełnie.

I znowu gościniec był pusty, prosty, daleki aż po horyzont.

Wtedy Kalinowska westchnęła i zesła z pagórka.

— Chodźmy, Józiu, czekać na niego — rzekła smutno.

57

#### IV

Pierwsze cztery dni podróży były monotonne. Aleksander oszczędzał klacz, chociaż szlachetne zwierzę dawało dowody niebywalej siły i wytrzymałości. Pięć mil szła co dzień, wieczorem równie ochoczo jak rano, nie tknięta ani razu prętem, mało co spocona nawet. Kraj był nieciekawym, obcy, noclegi niewygodne po karczmach przydrożnych. Zresztą niepewność celu trapiła nieznośnie.

Piątego dnia krajobraz się zmienił: okolica była górzysta; drogi pełne, wybojów, kręte, pokryte wiosennymi wodami, i w gmatwaninie ich zbłądził Aleksander. Na dobitkę złego klacz zgubiła podkowę, poczęła utykać.

Zatrzymał się tedy w pierwszej spotkanej osadzie i spytał b kowala.

Ale osada — był to tak zwany majdan; chałup kilka wśród lasów, kuźni nie było, ludzie rozeszli się do robót w polach.

Staruszka doglądająca wnuków przyjęła Aleksandra gościnnie, a on, rozluźniwszy popręgi klaczy, odpoczywał

przed chatą rozpytując starą o drogę.

— Lasy te wokoło, to wszystko, pana Kalinowskiego —

opowiadała, ręką na wsze strony ogarniając horyzont. — Do wsi, do Żebrów, będzie wiorst trzy, het, przez górę. Nasz majdan nazywa się Julianka. W Żebrach jest kuźnia.

— A pan Kalinowski gdzie mieszka?

— A jest ci dwór i pałac w Zborowie, o dwie mile stąd, ale dziedzic tam nie mieszka. Czasami bywa, wtedy balują, polują, a resztę czasu pustką stoi. Piękny pałac, widny daleko.

Tam i parafia nasza.

— A daleko stąd do Małyń pana Sołtówicza?

— Do Małyń? O, będzie mil cztery. Ale pana Sołtówicza 58

podobno już nie ma; wyjechał, czy sprzedał panu Kalinowskiemu majątek.

— Nie może być!

— Coś słyszałam, jak syn mój gadał, że tam teraz stado pana Kalinowskiego się pasie. Bo to w Małyniach nad Bugiem cudne pastwiska. Może wynajęte, nie wiem.

Uspokoił się Aleksander, ale siedział wciąż rozleniwiony upałem i dusznością południa. W kotlinie tej, zamkniętej lasami, parno było jak w piecu, najmniejszego powiewu w powietrzu.

— Będzie burza — rzekła staruszka spoglądając po niebie.

— Jeśli panu daleka droga, to suchy pan nie dojedzie.

— Do Małyń chcę na noc dojechać. Czy przez Żebry droga? — spytał wstając.

— Prosta jak strzelił. Przez Żebry do Zborowa, a potem przez rzekę, na lewo. Ślepy by trafił.

— Nie kolonizują tu jakich majątków? — spytał jeszcze mimochodem, podciągając popręgi.

— A gadają ludzie, że ten jakiś Mniszew będą na kolonie ciąć, bo tam nowy dziedzic najechał z Warszawy czy z Galicji.

— A daleko to?

— Het za Małyniami, w kącie, za lasem.

To mu dodało znowu otuchy do drogi. Zapłacił starej za, mleko i siano, podziękował i znowu był na drodze osadzonej kwitnącymi czereśniami, pnącej się dość stromo ku lasom.

Jechał puściwszy wolno cugle i rozmyślał już ó kolonii w tym Mniszewie, o którym ledwie się dowiedział. Po raz setny obrachował swe środki i tak się w swych myślach zatopił, że nie spostrzegł, jak się w las zanurzył. Las był czarny, gęsto podszyty, pocięty gdzieniegdzie trybami sadzonymi świerczyną, utrzymany bardzo starannie. Klacz, orzeźwiona 59

cieniem, parsknęła ochoczo i poczęła strzyc uszami, nasłuchując na jakieś dalekie odgłosy. Czują



daleko w gąszczu konie. Wreszcie i Aleksander dosłyszał jakieś głosy i począł się rozglądać.— Jednym z trybów jechało konno ku głównej drodze trzech jeźdźców i dama, żywo rozmawiając.

Dojrzał ich z daleka w ramie świerków i w ciszy słyszał

każde słowo rozmowy prowadzonej po francusku przeważnie. Jeden z mężczyzn opowiadał coś z zajęciem;

— Podobno były to moje krewne. Jak żyję, anim ich widział, anim słyszał o ich istnieniu.

— Bardzo mile się zmanifestowały sukcesją — przerwał

drugi głos.

— Więcej z tym mam kłopotu niż korzyści naprawdę i żeby nie Zborów niedaleko, byłbym w rozpacz. Musiałbym chyba zamieszkać gdzie w karczmie, zanimbym interesa urządził.

— Więc dom w ruinie? — spytał głos kobiety.

— Naturalnie, a przy tym te trzy groby na podwórzu, tuż pod gankiem!

— Pan się boi strachów?

— Boję się! Naprawdę! Proszę się nie śmiać! Przecie chłopci, urzędnicy, Żydzi, wszyscy mi zapowiedzieli jedno i to samo. Mniszew rozkolonizować łatwo, ale dworu nikt nie kupi, ba! darmo nawet nie weźmie.

— To jednak ciekawa historia! — rzekł trzeci mężczyzna, dotąd milczący. — Co u licha mogły nabroić trzy stare kobiety, żeby kazać się pochować na podwórzu? Cóż ci ksiądz powiedział?

— Ksiądz umarł na tydzień przed moim przyjazdem.

— A wójt, a służba?

— Wójt, nowo wybrany, nic nie wie, a służba, ograbiwszy, co mogła, rozpierzchła się. Zresztą od lat wielu chłopci tam 60

gospodarzyli, podzieliwszy grunta między sobą. Płacili towarzystwo i podatki porządnie, dawali staruszkom na życie i o dworze prawie mowy nie było.

— Zapewne, bo my, sąsiedzi, nic o tym nie słyszeliśmy. A toć przecie historia z sensacyjnego romansu.

— Musi nam pan to pokazać! — rzekła dama.

— Właśnie we czwartek spróbujemy młodych koni. Dobry kurs, mil trzy. Zapraszamy się na obiad do twego zaklętego zamku. Oto spotykamy jeźdźca. Patrzcie no, co za szkap!

Wyjechali na gościniec i zrównali się z Aleksandrem, rozdzieliła ich tylko szerokość drogi.

Przyjrzał im się uważnie, zajęty nadzwyczaj zasłyszaną rozmową.

Panowie byli wyśmienicy jeźdźcy, siedzieli na rasowych koniach, ale nade wszystko uderzyła Aleksandra amazonka.

Koń jej, karogniady anglik, był najpiękniejszym z czwórki, ona sama najurodziwszą kobietą, jaką widział kiedykolwiek.

Pięknie wyrosła, smukła i zgrabna, siedziała na koniu, jakby życie na nim spędziła, pewna siebie, od niechcenia kierując szalonym wierzchowcem. Spojrzeli wszyscy na Aleksandra, ona też objęła oczyma konia najprzód uważnie, jego potem, jako mało ważny dodatek, zwróciła się wreszcie do jadącego za nią mężczyzny i rzekła po francusku:

— To dziwne, jaki ten koń podobny do naszej Alicji!

Pamiętasz?

— Ba, kto by to cudo zapomniał? To mnie uderzyło od pierwszego rzutu oka, chciałem wołać: Alicja! Ale ta młodsza, jej córka. Skądże? Przecie kupił ją przed pięciu laty Wrangel, odprzedał von Hassovi i u tego zdechła. Ale to dziwne podobieństwo.

— Pani pamięta klacz sprzedaną przed pięciu laty w tej masie koni, które posiadacie? — zagadnął drugi mężczyzna, 61

ów dziedzic Mniszewa.

— Tę może wyjątkowo, bo ją kochałam — odparła chmurno, wciąż na klacz Aleksandra patrząc.

— I Adam sprzedał pani ukochaną?

— Musiał. Wzięła sprzedażną nagrodę wypadkiem.

— Ciekawym, kto to być może? Siedzi na koniu rasowo i takie ma zwierzę krwi, a przecież ktoś obcy. Kupiłbym u niego tę klacz! Ta musi dopiero skakać jak sarna. Uf, smaczna!

— I grubo warta — dodał trzeci towarzysz. — Każ masztalerzowi jechać za nim, a jak się dowiesz kto i co, podeślij swego Malcza. Ten ci ją wyszachruje. To ktoś przygodny, może szuka posady.

— Drab pyszny w każdym razie, i na oficjalistę nie wygląda. Klacz zdrożona i utyka, zgubiła podkowę. Muszę ją mieć!

Wstrzymał konie i skinął na masztalerza, który jechał za nimi. Tymczasem dziedzic Mniszewa spojrział uważniej na Aleksandra i rzekł do panny:

— To zabawne, ale on podobny do Adama! Słowo daję, ten sam kształt głowy i twarzy. Niech pani

zauważy.

Uśmiechnęła się lekko.

— Nie, o tyle mu się nie przyglądałam, i to mniejsza.

Mamy tak mało krewnych, że po drodze ich się nie spotyka.

Aleksander w tej chwili wyprostował się na siodle i ściągnął cugle. Klacz ruszyła z punktu kłusem i odsądziła się wnet daleko od towarzystwa. Las się skończył i droga znowu spadała w dół, o staje bielila się duża wieś.

To Żebry zapewne, i kowal. Trzeba duchem gnać, bo i burza na pewno będzie, i dziś muszę być u Sochowicza.

Kupię ten zaklęty dwór. Co mnie mogą obchodzić upiory?

Więc ten, to mój stryjeczny brat. Ale kto ta panna? Jego 62

siostra. Nie może być. Matka opowiadała, że stryj miał tylko syna jedynaka. Piękna jest, oczy rwie, a tych dwóch to pewno konkurenci. Hej, hej, żeby tak za lat dziesięć! Gdy wybiję się, zdobyłbym ją, musiałbym mieć!

Odetchnął głęboko i zuchwale przed siebie patrzył. Nie próżność to była ni pycha, tylko zupełna pewność swego celu, sił i zwycięstwa.

Przemknął przez wieś i zeskoczył przed kuźnię.

Na głos jego rozkazujący kowal rzucił robotę i wnet do podkowy się zabrał.

Już skończył robotę, gdy eleganckie towarzystwo znów się ukazało na drodze; tym razem jechali żywo, oglądając się na chmury już groźne.

Wtedy Aleksandrowi pusta myśl przyszła do głowy.

Zapłacił

kowalowi, skoczył na siodło i pieszczotliwie do klaczy przemówił:

— No, złota, weźmiesz ty te folbluty? Pobijesz? Smigajże, jak umiesz!

Cugle zebrał i pomknął cmoknąwszy.

Klacz ruszyła jak wichur, ledwie tykając ziemi, rozpalając się z każdą chwilą, wyciągając się w szalony kłus. Sieć żył

wystąpiła na skórę, nozdrza przeświecały krwią i szła, szła w tempie upajającym jak wino.

Zrównała się z kawalkadą, tamte konie podwoiły biegu, jeźdźcy mimo woli dali się unosić i rozpoczął się wyścig.

— *Sacre nom!*\* — postłyszał Aleksander wykrzyk swego stryjecznego brata. — Zakładamy się, panowie!

— Mój Orkan ją weźmie! — odkrzyknęła panna.

Aleksander się obejrzał i uśmiechnął. Już o sto kroków był na przedzie i przestrzeń rosła między nimi. Teraz droga szła

\* *Sacre nom!* (fr.) — Cholera!

63

prosto, z obu stron pola uprawne, w oddali pod lasem szopa chruściana na zboże, a na widnokręgu znowu góra i las.

Ale burza szła od nich wszystkich prędej, wicher się zerwał, chmury goniły wściekle i kotłował już w nich huk grzmotów. Jeszcze chwila, błyskawica rozdarła niebo i padł

pierwszy piorun, zaraz po nim deszcz ulewny.

Aleksander już się nie oglądał, umykał przed ulewą i oto spostrzegł otwartą szopę; skręcił, wpadł do środka i klacz osadził.

Mało co przemókł jeszcze, zeskoczył na ziemię, otrząsnął

się i zaraz starannie wytarł nogi klaczy i ukrył ją w kąt.

W tej chwili zadudniało i z nowym piorunem całe eleganckie towarzystwo wpadło też pod szopę.

— Uff! — wydarło się ze wszystkich ust. — Opatrzność umieściła tu tę szopę!

— Zmokłem do nitki! Ale pani! Okropność! — zawołał

dziedzic Mniszewa.

— Nic mi nie szkodzi. Ale gdzie się podział ten piekielny jeździec i koń? Zapadł się w ziemię!

— To był ten z *Lenory Bürgera! Die Todten reiten schne*!!\* —

— Pst! — szepnął Adam Kalinowski. — Toć on tu jest.

Tam w głębi.

Wszyscy spojrzeli w mroczną głąb szopy i umilkli.

Burza rozszalała się na dobre, był tylko jeden bezustanny huk, co chwila trzask grzmotów, a deszcz lał jak z wiadra.

Poczęło kapać przez strzechę.

— Pańskie oko konia tuczy — rzekł sentencjonalnie drugi konkurent, młody, poważny mężczyzna. — To twoja szopa, Adamie; każesz ją na nowo poszyć teraz. Pszenica skorzysta na twojej tu obecności.

\* Die Todten... (niem.) — Umarli jeżdżą szybko!

64

Deszcz zabijał przez drzwi, usunęli się wszyscy w głąb, byli już obok Aleksandra.

— To jednak strasznie piękne — rzekła panna wzdrygając się na bezustanne zygzaki ognia.

— Warto by wrota zamknąć! Gdzie u licha został

masztalerz? — zawołał dziedzic Mniszewa. — Potrzyj no konie, Adamie, ja spróbuję. Pomóż mi pan, panie Żarski!

Ruszyli we dwóch, ale daremnie targali wierzeje. Drzwi osunęły się i opadły w ziemię.

Aleksander, stojąc oparty o klacz, patrzył na nich z uśmiechem. Gdy wrócili zasapani, on się naprzód wysunął, wziął walający się pod ścianą drąg, drzwi zaważył, i przymknął, potem w milczeniu na swe miejsce wrócił.

— Dziękuję panu — rzekła panna.

Uchylił z lekka czapki i znowu o klacz się oparł, gładząc ją pieszczotliwie po szyi.

Wtem błysło i jednocześnie rozległ się huk straszliwy, krzyk straszny, ryk konia i dym nappełnił całą szopę.

Aleksander upadł, ale wnet się zerwał nic nie słysząc; odurzony był, ale cały. Rozejrzał się, rzucił się do drzwi, pchnął je i wrócił do środka. Jeden koń leżał martwy, trzy rzucały się jak wściekłe i ledwie drzwi otworzył, wyleciały ma powietrze drżąc, trzęsąc się całe. Jego tylko klacz wtulona w kąt, drżąca, parskająca przerażona, ale cała i przytomna.

Ludzie leżeli wszyscy na ziemi.

— Jezus Maria! — jęknął Aleksander porywając pannę i wynosząc ją na powietrze.

Żyła przecie, oddychała, tylko nie mogła wydać głosu i ręce podnosiła do uszu, jęcząc.

Posadził ją na ziemi na deszczu i wpadł na powrót do szopy. Kalinowski i Żarski podnosili się z ziemi, tylko ogłuszeni, trzeci leżał jak trup obok zabitego konia.

Tego porwał Aleksander i poniósł za szopę w rów, tam go ułożył i począł nań rękami ściągać ziemię, ryc ją, drapać i zakopywać nieszczęśliwca. Pierwsza przyszła mu z pomocą panna. Błada, przerażona, ale przytomna, zrozumiała, co czyni, i uklękawszy, poczęła także ziemię ściągać, przykrywać nieruchomego. Tak pracowali, dysząc ze zmęczenia, nic do siebie nie mówiąc. Wreszcie ona, szcękając zębami, wykrztusiła:

— On nie żyje! Boże mój!

— Będzie żyć, uratujemy! A tamci?

— Wyszli z szopy, tam siedzą!

— Wnet odejdą. Odurzeni! Tylko koń pani już nie weźmie żadnego wyścigu.

— Zabity? — zawołała z żalem. — Biedny Orkan!

— Zrobiliśmy co można! — rzekł Aleksander. — Teraz by trzeba co rychlej lekarza i powozów. Gdzie tego szukać?

— U nas, w Zborowie. Gdzie może być masztalerz?

— Schował się przed deszczem do chaty. Moja droga prowadzi przez Zborów. Załatwię to, o ile się da, najprędzej.

Wszedł do szopy i po chwili wsiadł na koń i ruszył z kopyta.

Deszcz lał, ale gromy już nie biły, tylko huk był w chmurach, które nagły wichur poczynął zganiać na powrót ku Żebrom.

W lesie musiał wolniej jechać Aleksander, gdyż drogą leciał potok i zawałały ją gałęzie. Dopiero gdy się w pola wydostał, pośpieszył. Z góry miał śliczny widok przed sobą.

Pola i kępy drzew, a nisko nad rzeczką miasteczko, kościół, opodal zaś dwór pański, pałac w parku, a na boku folwark murowany. Skręcił tedy do folwarku i spytał pierwszego spotkanego człowieka o rządcę.

Pokazano mu średnich lat mężczyznę stojącego we 66

drzwiach obory.

Skłonił mu się i nie zsiadając z konia rzekł:

— W szopie, za lasem, czekają państwo na pomoc. Piorun zabił konia pani, panowie ogłuszeni, jeden zupełnie bez władzy i mowy. Potrzebny spieszny ratunek i doktor!

— Awantura! Wicek, konia mi podaj i leć do stangreta, niech duchem zaprzęga! Michał, bryczkę wytaczaj! Ja skoczę po doktora. Kto bez władzy, nasz dziedzic? Jakże to się stało?

A pan skąd się tam wziął?

Ale Kalinowski nieskory był do gawędy i widząc, że się ludzie żywo zakrzęcali, zawrócił na drogę.

W miasteczku spytał o Małynie, pokazano mu zawrót za rzeczką, miał jeszcze dwie mile.

Wtedy dopiero poczuł zmęczenie, głód i przykrość dźwigania mokrego ubrania. Zaprażył się na dobre jadła i noclegu, i widoku przyjaciela. W Małyniach, u Suchowicza, nareszcie wypocznie. Kczepił się tą myślą przez dwie jeszcze góry i trzy jary, wreszcie chłop przechodzący pokazał mu dwór o staję i rzekł:

— Ot i Małynie! Niech się ino pan psa strzeże.

— Co tam, pies Sochowicza!

Znowu z gościńca kęs skręcił i wjechał na podwórze, wprost pod ganek. Dom był mały, drewniany, dwa charty i jamnik wylęgały na progu, nikt drzwi nie otwierał. Zsiadł

tedy Aleksander, v klacz, do drzewa przywiązał i wszedł. W

sieni dość brudno i ciemno, na ścianach lisie skórki, wypchany jastrząb, strzelba, harapy\*, na stole świeki, sznury, latarnia, założone księgi gospodarcze, w kącie stos żelastwa, worki, różne rupiecie.

Aleksander chrząknął parę razy. Gdzieś w głębi ktoś pośpiewywał basem i słyhać było brzęk talerzy, ale o gościu

\* harap — rodzaj bicia z krótką rękojeścią i długim rzemieniem.

67

nic nie wiadano.

Poszedł tedy dalej, coraz bardziej zdziwiony, tknięty złym przecuciem, minął dwa zupełnie puste pokoje i stanął na progu trzeciego, gdy wtem jakaś bestia czarna rzuciła się mu z rykiem na piersi.

Był to ogromny kosmaty pies. Chwycił go zębami za kurtę, chciał szarpnąć i nagle zajęczał.

Nie tracąc na sekundę przytomności Aleksander chwycił

go za kark, zdusił i odrzucił od siebie. Wtedy spojrział. Przy stole siedział mężczyzna jak dąb, ubrany w szarą kurtę i mocno zabłocone buty, i spożywał snać kolację.

Naprzeciw niego stała, podając mu potrawy, niemłoda kobieta.

— A sa Madej! Leżeć! — krzyknął gospodarz, zrywając się na ratunek przybysza, i stanął oniemiały, gdy pies potoczył się ku ścianie na pół zdławiony.

— Zdrowy uścisk! — zaśmiał się wreszcie. — Ale bestia zasłużył! Zawsze mu gadam: trafisz na swego! Ot i trafił! No, czym mogę panu służyć?

— Czy zastaję pana Sochowicza?

— Oho, z daleka pan znać jedzie! Pan Sochowicz wyprowadził się stąd już od trzech miesięcy.

— Dokąd wyjechał?

— Gdzieś za Wisłę. Nie wiesz, jak to się nazywa, Paulinko?

— Nie pamiętam, w Kutnowskie. Wziął tam dzierżawę, czy kupił jakiś majątek,

Aleksander milczał jak zabity. Wszystkie jego nadzieje i plany rozwiały się jak sen.

Pies skrył się pod stół i oszczekiwał go zajadle, gospodarz oglądał go od stóp do głowy. Wreszcie młody człowiek oprzytomniał, zebrał na nowo energię.

68

— Proszę mi zatem darować najście domu — rzekł

kłaniając się i zabierając do odwrotu.

— Za pozwoleniem! — zatrzymał go gospodarz. — Czy pan myśli, że tu cygańska nacja mieszka? Nie ma pana Sochowicza, ale jestem ja, Czesław Duksza, i pana, tak jak wroga, nie puszcę bez chleba i soli. Musiał pan nie lada kawał drogi dziś zrobić!

— Mil pięć, ale w drodze już jestem pięć dni.

— Jakże? Furmanką, swymi końmi?

— Konno!

— Bagatela! Dobry koń, ale rzadka w tych czasach ochota.

Paulinko, dajże nam wódki! Proszę pana do stołu.

— Pan pozwoli się przedstawić: Kalinowski.

— Oho, imiennik mego dziedzica.

— Więc to pan Kalinowski kupił Małynie?

— A tak! Pan myślał, że ja? Oho, nie ma głupich! Wolę pracować na cudzym niż na własnym. Tak



przynajmniej wiem, co mieć będę. Jestem tu rządcą, przeflancował mnie pan hrabia z innego folwarku, mnie i źrebięta. Bo my ze źrebiętami zawsze razem już lat piętnaście. W ręce pańskie!

— zakończył nalewając kieliszek wódki.

— Dziękuję panu, ale jeśli łaska, muszę przede wszystkim poprosić o gościnę dla klaczy.

— To racja i daje mi pan słuszną naukę. Zaraz każę klacz umieścić.

— Jeśli pan pozwoli, sam ją umieszczę.

— I to racja. Chodźmy tedy.

Wyszli przed dom i Dukszta okiem znawcy obejrzał klacz.

— Oho! Nie dziwota! Warta bestia szacunku! Pięć lat, jakie nogi, co za krzyż! Hm, hm, ja ją gdzieś widziałem; ale gdzie?

— To niemożliwe! Wychowała się u mnie i pierwszy raz 69

jest w tych stronach.

— A jednak ja ją znam. Słowo daję, znam!

Aleksander się nieznacznie uśmiechnął, ale nie dopomógł

pamięci starego. Poprowadził klacz do stajni i nie odszedł, aż ją sam rozkulbaczył, wytarł słomą i zostawił zajadającą z apetytem siano. Wtedy dopiero wrócili do domu i zasiadł sam do posiłku.

Usługiwała im panna Paulina, jak się okazało, siostra i gospodyni Dukszty, który jak sam opowiadał, nigdy się nie zebrał na ożenek, bo z racji źrebiąt nigdy czasu nie miał.

Opowiedziawszy swe domowe stosunki, zwykłym trybem oficjalistów jął opowiadać o chlebobawcach.

— Stary pan Kalinowski, nieboszczyk, ten się na koniach rozumiał i pieniądze z nich robił. Oho, co rok do Łęczny prowadziłem czwórek dziesięć, piętnaście, bo co do sprzedaży, sobie tylko ufał, a co do dozoru, tylko mnie. On się przez konie drugi raz ożenił nawet z hrabiną Starzą, wdową.

— Jak to, dla koni?

— Starza był milioner i miał stado. Sąsiadowali i ciągła była między nimi rywalizacja. Gdy umarł, wdowa poprosiła pana Kalinowskiego o opiekę nad majątkami i końmi. Zaczął

tedy dojeżdżać i ożenił się, ale niedługo się cieszył, dwa lata.

— Dawno umarł?

— Szósty rok mija.

— A wdowa?

— Została w Zborowie z córką.

— Miał z nią córkę?

— Nie. Jej córka, hrabianka Starża. Ja myślę, że młody pan się z nią ożeni. To by dopiero była fortuna!

— Nie mógłby też pan mnie poinformować, kto teraz jest właścicielem Mniszewa?

70

— A pan zna Mniszew? — spytał Dukszta zaciekawiony.

— Tak, trochę — odparł wymijająco Aleksander.

— O, może pan wie więcej niż ja? Tam się działy niesłychane historie. Mieszkały tam trzy stare kobiety.

Nigdzie nie bywały, a nikt u nich. Czym dla siebie byty: siostry czy matka z córkami, też nikt nie wie; kiedy tu przybyły, nikt nie pamięta. Dość, że po— marły jakoś prędko, jedna po drugiej, i kazały się pochować przed domem na trawniku. W pół roku potem, sprowadzony przez regenta, przybył z Galicji pan Lasota, którego uczyniły swym spadkobiercą. Spadło mu to z nieba, jest urzędnikiem w Wiedniu, podobno nawet zamożny i wysoką ma dworską posadę. Naturalnie sprzedać to musi, będzie kolonizować podobno, a tymczasem bawi w Zborowie.

— Duży to majątek?

— Nieduży, morgów pięćset i strasznie zaniedbany.

Chłopi tam ryli przez pół wieku. Ale żeby dostał się w dobre ręce, może być smaczny, kawałek chleba. Toć do fabryki cukru pięć wiorst, a ziemia o buraki aż prosi.

Aleksander się zamyślił i o nic więcej już nie pytał, ale Dukszta rad mówił sam:

— Zresztą, jak go znudzą korowody z kolonistami, to może i panu Kalinowskiemu taniej sprzeda. Bo to, panie, parcelacja złoty interes, ale i krwawa praca. A pan Kalinowski nie dla siebie, to dla macochy kupi; co mu znaczy te kilkadziesiąt tysięcy. Jego konie za jeden sezon mu to wybiegają.

Przybycie dozorców na wieczorną dyspozycję przerwało rozmowę i panna Paulina została z gościem sama.

— Pan się czuje pewno bardzo zmęczony? — rzekła po chwili milczenia, marząc sama o jak najprędszym spoczynku, po całodziennej gospodarskiej dreptaninie.

— Bolał kości — przyznał szczerze — i deszcz mi dokuczył srodze.

— To niechże pan spocznie, tu obok posłano już dla pana.

Czesław taki nieuważny!

Zapaliła świecę i dodała:

— Niechże się pan z pożegnaniem Czesława nie ceremoniuje. On będzie gadał z dozorcami do północy.

Niei bardzo się Aleksander certował, w duchu wdzięczny jej był, i oto znalazł się sam w małym pokoiku, zwykle nie zamieszkanym snać, bo pustką wiało ze ścian i kątów.

Chciał jeszcze myśleć i układać plany, ale zaledwie się położył, zasnął kamiennym snem młodości. Zbudził go pierwszy blask wschodzącego słońca i jednocześnie z tym promieniem myśl pierwsza go objęła, równie śmiała i potężna jak letni brzask.

— Kupię cały Mniszew!

Aż się przeraził, ale wnet podobało mu się to zuchwalstwo.

Nie myślał co, jak, tylko się roześmiał sam do siebie i, zrywając się, półgłosem powtórzył:

— A pewnie! Kupię cały! Na szklaną górę ludzie przecie się wdzierali!

I już na nowo pełen siły i ochoty, ubrał się i wyszedł na podwórze.

Pan Dukszta już się około swej stadniny uwijał, musztrując gromadę stajennych, i rad sprezentował gościowi małoletnie folbluty, potem wstąpili do kłaczy Aleksandra i stary znowu jął się nią zachwycać.

— To jest, panie, bydlę wysokiej krwi! Tyle drogi i czy aby znak! Tak ino węższy i wygląda, żeby dalej lecieć. Grube może pan za nią wziąć pieniądze, byle rodowód w porządku.

Ale skąd ja ją znam?

Zamyślił się stary i szli ku domowi na śniadanie; panna 72

Paulina była już na stanowisku, w jadalni, punktualna jak zegarek i milcząca.

Zasiedli do posiłku, który Aleksander prędko połykał, śpiesząc ku niepewnemu celowi.

Zaraz też począł się żegnać i, podziękowawszy za gościnność, ruszył ku stajni. Dukszta go przeprowadził.

— Dokądże pan dziś zmierza? — spytał.

— Pojadę do fabryki cukru — odparł wymijająco.

— A drogę pan zna?

— Znam, dziękuję panu.

Skłonił się już z konia i za wrota wyjechał. Patrzył za nim stary i głową kręcił.

— Zagadkowy człek. Przebrany ksiązę czy zbieg. Koń królewski, a kurta ekonomiczna, a mądry będzie, kto od niego się dowie, co za zębami chowa.

Aleksander zaś ledwie do wsi dojechał, spytał o drogę do Mniszewa i poleciał jak wiatr. Teraz mijiał wciąż łąny buraków, na których setki ludzi zajętych było pełciem i motykowaniem. Ziemia była nadzwyczaj żyzna, spadki ostre, dwory i wsie zamożne, a krajobraz uroczy. Coraz to gwałtowniejsza ochota brała tu osiąść i zostać. Nareszcie z góry zobaczył przed sobą Mniszew.

Naprzód wysunęła się wieś nieduża, rozrzucona na pochyłości, a za nią wielka masa drzew łączących się z lasem, tak gęsta i zwarta, że ledwie parę dachów starych widać wśród nich było. Aleksander zwolnił kroku klaczy i rozglądał się. Serce mu biło, jakby już to jego gniazdo być miało. Minął wieś i w ogród dworski wjechał.

Niegdyś były tu może płoty i bramy, teraz sad stał zewsząd dostępny, zawojowany przez chłopskie bydło, nierogaciznę i ptactwo. Drzewa częścią wyschły, częścią zdziczały, stawy zarosły pleśnią i trzcina, trawniki były zryte i zdeptane, i 73

tylko jedna ścieżka szła przez tę dziczyznę popod krynicę, aż ku domowi.

Dom był niewielki, drewniany, niski, wrosły w ziemię.

Ganek od ogrodu już się zawalił, dach świecił dziurami, w oknach brakło szyb, stał pustką.

Objechał go wkoło Aleksander i znalazł się na podwórzu.

Wzdrygnął się. Istotnie, na trawniku, o dwadzieścia może kroków od ganku, były trzy mogiły, trzy kopczyki ziemi, na każdej polny kamień bez żadnego napisu i mały drewniany krzyżyk. Jedna z tych mogił była jeszcze świeża, ledwie darnią porosła; tamte dwie, już dawne, ocienione krzakami bzu lekarskiego.

Za tymi mogiłami znowu gąszcz drzew, chwastów, chmielu i ponad tym dziwacznie pogięty daszek staroświeckiego lamusa i jakiś jeszcze rozwalony budynek.

Aleksander się obejrzał, nigdzie nie było żywego ducha, dom stał szczelnie zamknięty. Więc tedy z konia zsiadł, poszedł do tych mogił, uklęknął i odmówił pacierz za umarłych.

Gdy powstał, trochę się zmieszał, bo spostrzegł, że nie był

sam. Koło ganku, na koszturze wsparta, stała stara żebraczka i przyglądała mu się.

Postąpił do niej kroków parę.

— Niech będzie pochwalony! Czyście tutejsi, matko? Jest tu kto w domu z ramienia nowego dziedzica?

Kobieta potrząsnęła głową, wskazała na uszy i usta, była głuchoniema.

Sięgnął tedy do kieszeni i podał jej miedziaka.

Znowu potrząsnęła głową, popatrzyła nań przejmująco, pokazała na jego kolana, potem na groby, potem w niebo i pogładziła go po ramieniu. Z oczu polały się jej łzy; otarła je prędko rękawem, poszła na mogiły i tam przykucnęła do 74

wypoczynku.

Widząc, że tu nie zasięgnie żadnych informacji, ruszył

dalej, przedzierając się przez gąszcze.

Za lamusem były jeszcze resztki folwarku i gumna, ale w jakim stanie! Wszystko się waliło i stało pustką, nigdzie śladu bydłęcia, paszy, wozu, nawet zawiasy u drzwi powyrywane.

Wrócił tedy do wsi i spytał o sołtysa.

Wypadkowo chłop nie był na robocie, bo leżał chory w chałupie i nudząc się w samotności, rad był gawędzić.

— Ja do was, sołtysie, wstąpiłem, żeby się spytać, czy prawda to, że kolonizują dwór?

Chłop stęknął i splunął.

— A juści. Najedzie ta choroba, kolonisty, trza będzie zginąć od takiego sąsiedztwa.

— A sami to nie chcecie rozkupić?

— Nie. Po pierwsze, to i ochoty nie ma, dość jest swego, a po drugie, to i z pieniędzmi skąpo. Dużo nachwytasz, źle połkniesz.

— Ale to we dworze ni budynków, ni inwentarza.

— A nie ma. Wieś grunta wyrabiała, dziedziczki nie chciały o niczym słyszeć, byle ciężary zapłacić i im zboża krzynę dać na wikt. Tak i było.

— A czemuż je tak pochowali, nie po ludzku?

— Wola ich taka była i proboszcz się nie sprzeciwił. Musi heretyki jakie były. Ja ta i myśleć o tym

nierad, a te ludzie, co ich chowali, to precz pomarli, a one we trzy to nocami po sadzie chodzą. Juści to miejsce nieczyste i tego dworu nikt nie weźmie za darmo. A myśli pan, że z onych dworskich gruntów było komu szczęście? Wiadomo, łasi się człek na ziemię i my się na nią łasili, ale w korzyść to nie szło, to ogień wziął, to złodziej, to choroba. Co który wziął, pottrzymał i rzucał. A ilu bez pory pomarło, a ilu się rozpiło!

75

My ta tego dworu nie kupimy. Niech kolonisty próbują.

Napędzili ich tu już ćmy faktory, a jakoś dotąd żaden się nie kwapi. Co na te groby popatrzy, co z ludźmi pogada, to i poszedł i przepadł. Dziedzic pono na nas są źli, że to niby my odmawiamy, a nieprawda jest. Tej wiosny to i mało co kto obsiał, ugoruje.

— A od dziedzica kto jest, co z kolonistami gada?

— A jest niby ten Raczkowski, co to w Zborowie pisarzem był, a potem w miasteczku osiadł, próśby pisze, i tak, niby pies, za rublem węszy. Powiadają, że mu dziedzic obiecał

duże pieniądze, jeśli do Jana interes skończy, a jak po Janie, to ino połowę. Lata też on, lata, że ino miga, a od gadania z kolonistami zachrypł i nic. A czy to pan chce także to przekłete pole targować?

— Chcę kupić — odparł Aleksander spokojnie.

— Ha, to niech się pan do Raczkowskiego zgłosi — rzekł

chłop ramionami ruszając. — My panu będziemy radzi i dopomożemy nawet, byle kolonistów się pozbyć. Może pan chce dom obejrzeć? Klucze u mnie.

— Mniejsza o tę pustkę, jak kupię, to się sprowadzę.

Zostańcie zdrowi.

I wyszedł. Po chwili gnał już w kierunku Zborowa.

Przybył tam pod wieczór i łatwo się dowiedział o Raczkowskiego. Dom stał na rynku, obok apteki, naprzeciw kościoła, w honorowym punkcie miejsciny. Gdy Aleksander wszedł do sieni, usłyszał piskliwy głos kobiety, dowodzący coś płaczliwie, i bas męski, odpowiadający dość słabo. Była to scena familijna.

Zapukał do drzwi parokrotnie, zanim go usłyszano.

Głosy ucichły, otworzyła mu kobieta, niemłoda, chuda, czarno ubrana, z widocznymi śladami łez i wzburzenia na twarzy.

76

— Czy mogę się widzieć z panem Raczkowskim?

— Chory leży — odparła kobieta.

— Jeśli interes ważny, służę — zawołał za nią bas.

Raczkowski widocznie rad był interwencji obcej. Leżał w łóżku i nudził się śmiertelnie.

Kalinowski wszedł i od razu rzecz zagaił.

— Pan się zajmuje sprzedażą Mniszewa?

— A tak, zajmuje się, zajmuje — zawołała kobieta. — Już go Bóg za to pokarał. Przyszła już choroba, przyjdzie ogień, głód, nędza, pomorek. Niech się zajmuje.

— Właśnie chcę te wszystkie klęski powstrzymać i wziąć na siebie. Chcę kupić Mniszew.

— Cały? Ja się zajmuję kolonizacją tylko. O całość niech pan traktuje z samym dziedzicem. Tylko wątpię, czy pan tyle zapłaci, co koloniści.

— Właśnie o tym pogadamy, jeśli pan pozwoli.

Usiadł na podanym mu uprzejmie przez panią krześle.

Miał w niej sprzymierzeńca.

— Mniszew ma obszar, piętnaście włók? — rzekł.

— Szesnaście — poprawił Raczkowski.

— Ileż panu obiecano za sprzedaż?

— Dwa tysiące rubli — rzekł Raczkowski piorunując wzrokiem żonę.

Milczała, ale Aleksander już wiedział, że kłamie.

— Ładny grosz, ale trzeba skończyć do świętego Jana, a to się nie skończy. Ja zaś kupię całość u dziedzica najdalej za tydzień.

Raczkowski się zachnął.

— Zobaczymy — burknął.

— Dlaczego się pan zacina przeciw mnie? Przybyłem do pana z pieniędzmi i ugodą. Miał pan w sprawie tej koszta i fatygę. Jeśli mi pan dopomoże i interes ułatwi, w dzień, gdy 77

Mniszew nabędę za tydzień, zapłacę panu trzysta rubli, a w dzień, gdy będę miał tytuł własności, drugie trzysta.

— Dobrze, dobrze! — zawołała kobieta skwapliwie.

— Cicho! — krzyknął Raczkowski. — Pilnuj swych garnków i dziecka!

— Nie będę cicho! Oprócz dziecka mam i ciebie twoją duszę chrześcijańską! Nie dam ci jej oddać szatanowi! Bierz pieniądze i nie tykaj tego przeklętego interesu! Ile klęsk od dnia, jakieś tego się dotknął! Posłuchaj, co ludzie gadają, rzuć to, nie tykaj! Na głowę dziecka cię zaklinam!

Raczkowski zatkał uszy dłońmi.

Aleksander spokojnie wydobył z kieszeni banknot i położył na stole.

— Oto jest zadatek. Poproszę pana o pokazanie planu, opisu i inwentarzy.

Zanim Raczkowski zdążył odpowiedzieć, kobieta już sprzątnęła pieniądze i podała mu plik papierów wydobyty z szuflady.

Rozłożył tedy na stole plan i począł rozglądać, notować, Uczyć, potem zajrzał do aktów i spytał:

— Ileż jest Towarzystwa?

— Nie ma wcale — mruknął Raczkowski oglądając się na żonę, czy nie odejdzie.

Ale stała uparcie, śledząc ruchy Aleksandra.

— Aha, dlatego taka dewastacja.

— Ale piękny majątek — wtrąciła Raczkowska.

— Dla mnie dobry. Dziękuję panu. Trzysta rubli złożę zaraz u proboszcza do odbioru za tydzień. Mam nadzieję, że nie ostatni to będzie między nami interes. Polecam się pana pamięci i do widzenia — za tydzień.

Złożył dokumenty, ukłonił się i wyszedł.

Raczkowski był odurzony, a żona mu wcale nie dała 78

oprzytomnieć. Jeszcze z rynku słyszał Aleksander, jak perorowała i perorowała.

Poszedł teraz na plebanię, prowadząc klacz za cugle.

Zastał proboszcza w ogródku, w rozpaczony nad złamaną piękną różą, którą niezgrabnie starał się obandażować. Stary był, otyły, sapał, robota nie szła; spojrzął dość niechętnie na interesanta.

— A co tam? Skąd? Do chorego? Czy na zapowiedzi?

— Nie. Mam inny interes. Może ksiądz dobrodziej pozwoli się wyręczyć?



— Ogrodnik waszeć? Nowy? Ze dworu? Ano, to zróbże ten opatrunek! Jak myślisz? Francja *kaput!*

— Nie. Trochę gliny i mchu, i będzie zdrowa.

Wziął się do dzieła. Proboszcz się przypatrywał i zaczęła mu twarz się rozchmurzać.

— Dobrze robisz! Znasz się na rzeczy! Okropny był

wicher, ale tam, za lasem, to dopiero była awantura!

Słyszałeś? Jakże z tym panem Lasotą?

— Nie wiem. Obcy tu jestem, z daleka jadę.

— No to czegoś chcesz ode mnie? Szukasz posady?

— I to nie. Wstąpiłem do proboszcza, żeby złożyć w szanowne ręce trzysta rubli do odbioru panu Raczkowskiemu za tydzień, jeśli nabędę Mniszew pana Lasoty.

— Aha! Żeby ci ten lis nie przeszkadzał. Masz rację, bo on ino kręci, zawsze kręci. Żeby go żona nie odmadlała, to huncwot zakosztowałby piekła. Ano w niej nadzieja, że go do czyścica doprowadzi. Więc ty kupujesz Mniszew? Paskudne miejsce!

Aleksander skończył opatrunek, wyprostował się i spojrzał

na księdza śmiało.

— Mnie nawet przekłete będzie błogosławione, gdy stanie się moim. A to jeszcze trzy ruble proboszczowi kładę na 79

mszę za te nieboszczki, co się tam poniewierają na podwórzu.

— Schowaj swe ruble, jać przecie mszy za nie mieć nie mogę.

— Dlaczego? Proboszcz je znał?

— Nie! Znał je mój poprzednik, kiedy ich na święconą ziemię nie przyjął. Ale prawda!

Uśmiechnął się dziwnie.

— Więc ty chcesz za nie mszy? Patrzaj! Więc mam legat dla ciebie po nieboszczyku proboszczu. Chodź ino, chodź! To zabawne!

Poszedł ku plebanii, głową ze zdumienia trzęsąc.

— Dziwny traf, dziwny! To twój koń pod płotem? Jasiek, weź konia do stajni, daj siana i owsa. Otóż, uważasz, mój łaskawco, porządkując papiery po nieboszczyku, znalazłem jakiś pakiecik, a na nim kartkę:

„Jeśliby kto kiedy poprosił o mszę za pogrzebane na podwórzu w Mniszewie dusze, to oddać mu ten pakiet.” Ksiądz się wtoczył do domu, dobył z biura pakiecik i położył go przed Aleksandrem. Obadwa milcząc patrzyli nań jakiś czas.

Wreszcie Aleksander sznurek zerwał, papier rozwinął.

Wypadł zeń stary, zardzewiały klucz i nic więcej.

— A to co znowu? Klucz od skarbów! No i co ty myślisz z tym zrobić teraz?

— Ano, oddać Lasocie — odparł obojętnie Aleksander, zawijając klucz na powrót i chowając wraz z kartką do kieszeni.

— To dobrze — mruknął ksiądz. — Ale to historia ciekawa. A teraz jakże godność pana?

— Nazywam się Kalinowski Aleksander. Przybyłem tu aż z Podlasia do kolegi Sochowicza, alem go już nie zastał.

Szukam folwarku; nastreczył mi się przypadkiem ten 80

Mniszew, więc przybyłem do Zborowa, bo pan Lasota tu przebywa.

— A tak. Bawi we dworze. Więc pan imiennik tutejszego dziedzica. Może krewny?

— Nie znam go — odparł wymijająco.

— No, szczęście Boże! Kupuj pan Mniszew, jeśli wola. Bają ludzie okropne rzeczy o tym dworze, ale kto by w to wierzył?

Kościół nawet zabrania. A teraz proszę pana na kawę i gawędkę.

— Dziękuję proboszczowi, ale nie będę go dłużej sobą zajmował.

— Dajże spokój ceregielom. Podróżny jesteś, obcy, co masz się poniewierać po Żydach, rozgość się u mnie. Jest łóżko wikarego, który na tydzień do umierającego ojca odjechał. Prześpisz się, a za gościnę pogawędzisz. Z Podlasia jesteś, może znasz moje kąty. Ja rodem stamtąd, z Bukowa.

Znasz?

Aleksander, po chwili wahania, przystał. Zasiadli do kawy, gdy we drzwiach ukazała się Raczkowska. Ksiądz ją wnet poznał.

— Aha! Jesteś! Leżą tu u mnie pieniądze dla twego męża; dostanie, byle nie kręcił.

— Już ja w tym, że nie będzie. Niech mi ksiądz dobrodziej zaufa. Kazałam mu zaraz wstać i iść do pałacu, i powiedzieć prawdę, że z kolonistów nic nie będzie, i papiery oddać, i od tej sprawy się odczepić. Ofiarowałam się też do Częstochowy, żeby mnie Najświętsza Panna broniła od złego.

— To dobrze! Tylko męża pilnuj, żeby ci nie popsukł

szyków i u Matki Boskiej! Powiedz mu też, żeby się za tydzień do mnie zgłosił.

81

V

Pan Lasota po kontuzji przeleżał tydzień w Zborowie, ale wystraszony pozostał na całe życie. Nadrabiał miną, podżartowywał nawet, ale w duszy na wspomnienie wypadku drżał nerwowo. Teraz o jednym marzył: żeby wyjechać do Galicji, zająć się czym i być w mieście. Wieś stała mu się wstrętną. Ralinowski i Żarski już zapomnieli wrażenia, gdy on czuł się wciąż nieswój, rozdrażniony i osłabiony. Pilno mu było skończyć z Mniszewem.

— Nie rozumiem, dlaczego ten Raczkowski się nie zgłasza! — rzekł pewnego dnia do Kalinowskiego przy śniadaniu.

— Raczkowski! *Cre nom!* Zapomniałem ci powiedzieć.

Był tu, gdyś leżał, w trzy bodaj dni po awanturze. Odwiózł

papiery i powiedział, że się interesu parcelacji zrzeka, że robił, co mógł, ale ludzie się tego dworu boją, chłopci miejscowi straszą. Tysiąc bredni! Zdaje mi się, że był trochę cięty. Prosił o wynagrodzenie za trudy. Wyrzuciłem go za drzwi, a papiery leżą w biurze.

Kalinowski zanurzył się znowu w sportowej gazecie, ale Lasota nie dał mu spokoju.

— Cóż ja z tym zrobię wreszcie? — zawołał.

— Z Mniszewem? Puść w dzierżawę.

— Komu?! Zresztą muszą sprzedać. Termin minie. Wiesz, Adasiu, kup ty — zawołał prosząco.

— *Mon cher\**, rad bym, ale doprawdy nie mogę. Ile kapitału włożyłem w ziemię, tyle mi ubyło procentu. To mi nie przynosi nic oprócz kłopotu. Zaproponuj Gizeli, ona to lubi, a ma leżące kapitały. Zresztą — może Żarski? „

\* *Mon cher* (fr.) — Mój drogi.

82

— Et, Żarski! On drwi sobie! Mówi, że się boi, bo tam duchy chodzą. Proponowałem mu. Właściwie ja to muszę skończyć tymi dniami, bo muszę wracać do Wiednia. Mam tysiące zobowiązań i interesów, i chory jestem. Pojadę do morza.

— Nie jedziesz z nami do Warszawy? — zdziwił się Kalinowski.

— Nie mogę. Jestem rozbity. Muszę się leczyć.

— Et, głupstwo! Trochę nerwów. Zobaczysz jeden ładny *finish* i będziesz zdrow. Przecie masz zakłady na Kormorana.

— Bierz diabli wszystko! — mruknął apatycznie Lasota.

W tej chwili wszedł służący.

— W kancelarii czeka interesant na jasnego pana. Już trzeci raz tu jest.

— Do mnie? — spytał Lasota.

— Tak jest.

Lasota wstał leniwie i wyszedł. Ruszył się też Kalinowski.

— Pójdę do treningu — rzekł.

W kancelarii czekał Aleksander. Pomimo wysiłku woli blady był i szczęki mu drżały jak przed egzekucją. Ukłonił się i przez chwilę nie mógł się odezwać.

— Chciałbym nabyć u pana Mniszew rzekł wreszcie. Ale Lasota przypatrywał mu się i zawołał:

— Ależ to pan był wtedy w szopie! To pan mnie uratował!

Doktor mówił, że gdyby nie zakopanie w ziemi, byłoby po mnie.

— Może być, ale o tym każdy wie i gdyby we mnie grom trafił, pan by mnie podobnie ratował.

— Wątpię. Wstyd mi wyznać, ale zmykałbym ile sił. To jest zbyt przerażające.

— Pierwszy raz. Potem się oswaja.

— Dziękuję! Wolę się nie oswajać. Więc pan chce kupić 83

Mniszew? Jestem gotów do najwzględniejszych warunków i możliwych ustępstw, tym bardziej dla pana. Zna pan ten majątek?

— Od tygodnia spędzam tam całe dni. Poznałem wszcz i wzdłuż dokładnie. Ile pan zań żąda?

— Bez targu — dwa tysiące za włókę.

Zanim Aleksander mógł odpowiedzieć, wszedł

Kalinowski.

— Przepraszam, że przerywam, ale u bramy stoi klacz.

Czy do pana należy?

— Do mnie.

— Czy pan ją ma na sprzedaż?

— Nie.

— A wolno spytać o jej pochodzenie?

— Wychowałem sam. Matkę kupiłem, gdy jej zamierzano w łeb strzelić, bo złamała nogę w biodrze. Żrebię się urodziło, ale matka zaraz zdechła potem. Chowałem jak dziecko.

— To ona! Córka Alicji i King Artura! Co za gałgany, ci masztalerze! A Wrangel mi mówił, że padła w drodze. Proszę pana uprzejmie opowiedzieć mi cały wypadek. Trzeba spisać o tym protokół, zarządzić śledztwo, wyjaśnić sprawę.

— Po co? Mam kwit, zem za klacz zapłacił, a sprzedać jej nie mam zamiaru.

— Przepraszam pana, to jest nadzwyczaj ważna sprawa.

Czy pan wie, kto był Koronet?

— Nie mam pojęcia.

— *Cher ami\** — szepnął Lasota. — Ten pan targuje Mniszew; przerwałeś naim i teraz tak trzymasz, nie prezentując się ani prosząc siedzieć.

Kalinowski się opamiętał. Ukłonił się.

\* *Cher ami!* (fr.) — Drogi przyjacielu!

84

— Przede wszystkim pozwoli pan się przedstawić.

— Mnie pierwszemu należy to uczynić. Nazywam się Kalinowski Aleksander.

— I ja też, tylko Adam! — roześmiał się dziedzic Zborowa, wskazując jedno krzesło i siadając naprzeciwko. —

A teraz niech mi pan daruje, ale proszę o opowieść ściśłą o tej klaczy.

Aleksander się uśmiechnął, sięgnął do pugilaresu i po chwili przewracania różnych papierów dobył jeden kwit, potem dwa jeszcze.

— Otóż ściśle było tak. Drugiego marca 1884 roku przejeżdżając traktem siedleckim, między wsią Kuhaczem a miasteczkiem Lubinią, w lesie spotkałem furgon nieznany i trzech ludzi stojących

bezradnie nad klaczą kasztanową leżącą na ziemi. Dwa jeszcze konie, jeden gniady, a drugi kary, bardzo piękne, derami herbowymi okryte, stały za furgonem. Gdym nadjechał, starszy mastalerz oglądał

rewolwer i miał go klaczy wpakować w ucho.

„Sprzedajcie mi ją,” rzekłem. „Dam sto rubli.” Zawahali się, poczęli z sobą gadać, więc dodałem:

„Jak zastrzelicie, musicie zakopać, bo inaczej wnet was dogonią i będzie sprawa. Zakopać też nie możecie bez zawiadomienia policji i weterynarza, żeby stwierdził, że nie wprowadzicie zarazy. Zapłacę wam sto rubli i uwolnię od kłopotu.”

„Ha, niech tak będzie, ale daj pan nam kwit, żeś kupił

skórę z klaczy.”

„Dobrze, a pan mi dasz kwit, żeś mi pan sprzedał nieżywą klacz, taką, a taką.”

— To było okrutnie sprytne — ucieszył się Kalinowski.

— Zamieniliśmy wtedy kwity, sprowadziłem ludzi i furgon, przywieźliśmy klacz do domu i zacząłem ją leczyć.

85

W parę tygodni dała źrebię. Sprowadziłem tedy świadków i przy nich opisałem rzecz całą. Oto drugi dokument, a wreszcie, gdy klacz naprawdę zdechła, spisałem też przy świadkach akt jej zejścia.

— Pokaż pan te dokumenty! — skwapliwie wyciągnął

rękę Kalinowski.

Spojrzał i zerwał się triumfujący.

— A co? Córka Alicji i King Artura! Moje oko nie myli!

Tę krew poznam na końcu świata! A gałgany, złodzieje! Dla stu rubli gotowi duszę sprzedać! Ależ to traf! To bajeczne!

To się jeszcze w świecie nie zdarzyło! Wyobrażam sobie minę Wrangla i ich wszystkich, gdy im to pokażę!

Tu się zwrócił do Aleksandra i rzekł uroczyście:

— Czy pan wie, kogo pan posiada? Ostatnią jedyną dziedziczkę krwi Koroneta. Nie ma już tego rodu! Ona tylko!

Teraz rozumiem, że jej pan nie masz na sprzedaż, bo mało kto może ją kupić!

Teraz nawet Lasota kwestią się zainteresował i ją

przeglądać dokumenty. Widocznie i on coś wiedział o sławie Koroneta.

— Ale że pan tak to porządnie uregulował! — rzekł z uznaniem. — Jak fachowy sportsmen, jakby pan wiedział, co czyni.

— O sławie przodków nicem nie wiedział, ale klacz była śliczna, żal mi jej było, a potem uważałem, że ludzie ci wielce ją wazą, więc chciałem być w porządku.

Adam Kalinowski otworzył jedną z szaf i dobył księgę.

— Tu jest genealogia Koroneta, zakończona na Alicji. Pan mi musi tych dokumentów udzielić na posiedzenie naszego towarzystwa. Ale to jest historia, jakiej na świecie nie było!

Pan pozwoli, że każę natychmiast klacz wziąć do stajen. Upał

jest, a tam w bramie przeciąg, może jej to zaszkodzić.

86

Zawołał lokaja, kazał wezwać dwóch masztalerzy, posłał

po trenera Anglika, zrobił się rejwach i zamieszanie.

Po załatwieniu sprawy z dziedziczką wielkiego Koroneta pomyślał wreszcie Adam Kalinowski o jej właścicielu i wrócił do kancelarii wywiedzieć się o jego pochodzeniu.

— Nie przeszkadzam panom? — spytał dyskretnie.

— Owszem. Możesz nam pomóc — zawołał Lasota. —

Pan Kalinowski chce nabyć Mniszew. Znasz ten majątek lepiej ode mnie, bo graniczy ze Zborowem. Ja cenę włókę po dwa tysiące.

— Czyli żąda pan trzydzieści sześć tysięcy. Wobec bezmiernego spustoszenia pól i budynków ja nie mogę dać więcej nad dwadzieścia cztery.

— Płatne zaraz? — Spytał Lasota.

— Płatne od dziś za rok.

— A jakąż mi pan daje pewność?

— Hipotekę. Dając mi tytuł własności, wpisze pan sumę na hipotekę. Jeśli za rok nie zapłacę, zabierze pan majątek z moją całoroczną pracą i wkładami.

— To jest szczególny interes! Oddam panu majątek darmo na rok. Wprawdzie darmo mi przyszedł.  
— Roześmiał się i po chwili spytał:  
— Właściwie jakże pan chce nabyć folwark za kilkadziesiąt tysięcy bez pieniędzy?  
— Za rok przekona się pan, co uczynię. Nie jest to tak zły interes, jak panu się zdaje. Tak, jak jest, Mniszew będzie pana w tym roku kosztował kilka tysięcy rubli, rachując ciężary podatkowe i procent od jego wartości. To wszystko z chwilą nabycia mnie obciąży. Ja rolę uprawię, ja inwentarze postawię, budynki dźwignę, a po roku, jeśli z należności się nie uiszczę, oddam panu wszystko i jakiem tu przybył na tej klaczy jednej — odjadę.

87

— Przepraszam pana! Projekt pański jest szalony i nieprawdopodobny; wprawdzie zdarzają się szaleństwa czasem i ryzyka, ale do tego trzeba choć jednej rzeczy: wiedzieć, z kim się ma interes.

— To racja. Jestem tu zupełnie obcy i nawet nie mam do kogo się odwołać o świadectwo. Jestem synem jedynym Stanisława Kalinowskiego i sierotą. Jeden pożar zabrał mi ojca i jego mienie.

Tu Adam Kalinowski podniósł głowę zdziwiony, niedowierzający, i od stóp do głowy obejrzał mówiącego.

— Miałem stryja Stanisława — rzekł — alem go nie znał.

Mieszkał na Litwie podobno.

Aleksander nie podniósł uwagi i dalej mówił:

— Matka moja, z domu Drucka, po śmierci ojca wyniosła się do Warszawy i zarabiała na życie szyciem i hartem, aż nas oboje zabrała do siebie daleka jej krewna, generałowa Wojewódzka. Z jej łaski i na jej koszt skończyłem gimnazjum i szkołę rolniczą w Dublahach, a potem przez siedem lat byłem rządcą w jej dobrach. Tej wiosny umarła i zginęły jej kapitały. Spadkobiercy mnie naturalnie uczynili sprawcą kradzieży, przechodziłem rewizję, miałem przechodzić śledztwo, ale synowiec jej, pan Wojewódzki, w przystępie gniewu strzelił do mnie, więc bojąc się odpowiedzialności, sprawy o kradzież zaniechał.

Tu znowu Adam Kalinowski oczy podniósł i lakonicznie spytał:

— A pan?

— Ja? — odparł Aleksander tak zmienionym głosem, że aż nerwowo Lasota drgnął. — Ja takiej sprawy nie zaniecham, aż z życiem. Alem oficjalistą był i biedakiem, mogli mnie deptać. Muszę czekać na satysfakcję, doczekam się!

Cała twarz mu się zmieniła i aż głos uwiązł w gardle; 88

dokończył strasznym szeptem. Nastąpiła chwila milczenia, którą przerwał Adam Kalinowski.



— Wnoszę, że jesteśmy bliskimi krewnymi, a zatem posądzenie było obelgą, która musi być rozstrzygnięta na placu. Jeśli pan tego nie żądał, daruje pan, ale wątpię o pana pochodzeniu; a jeśli oni panu odmówili, mam ich za chamów.

Przepraszam, że tak śmiało mówię, ale jeśli pan jesteś synem Stanisława Kalinowskiego, mego stryja, jako starszy w rodzinie, mam prawo.

— I ja nie wiem, czy mój ojciec był pańskim stryjem, ale był człowiekiem honoru i to mi po sobie w spuściźnie zostawił. Ale oprócz nazwiska i czci zostawił mi też matkę starą. Jesteśmy ubodzy. Moim pierwszym obowiązkiem jest zapewnić jej byt i starość spokojną. Gdy to uczynię, będę dopiero w prawie życie stracić.

— Tak! Ta racja usprawiedliwia zwłokę — zdecydował po namyśle Kalinowski. — Teraz niechże pan dalej opowie, skąd pan do Mniszewa?

— Po odejściu z Kuhacza poprzysiągłem, że oficjalistą więcej nie będę. Że zaś rolnictwo jest moim fachem, a miałem w tych stronach kolegę z Dublan, Sochowicza, który mi stręczył dzierzawy, tu do niego ruszyłem, osadziwszy tymczasem matkę w Lubni. Sochowicza już nie znalazłem, a po drodze się dowiedziałem, że Mniszew jest na sprzedaż, więc aż tu przybyłem.

— A jeśli pan Mniszewa nie kupi?

— To kupię bodaj kolonię. Bylebym w ziemię wrósł, już się zakorzenię i dorosnę do swego społecznego poziomu.

Wolniej może, mozolniej, ale dorosnę, bom to sobie postanowił. Wolę Mniszew, bo trud większy!

Podniósł głowę i spojrzał za okno w świat. Miał na ustach taki półuśmiech, mieszaninę zuchwalstwa, pogardy i 89

pewności triumfu, jaki Grecy bogom rzeźbili na obliczu. W

tej chwili nawet nie dbał, czy Mniszew dostanie, tylko miał w piersi przeświadczenie, że dojdzie, gdzie postanowił.

Lasocie widocznie zaimponował siłą. Adam Kalinowski pokręcił głową i pomyślał: Ha, ten by dopiero na swej klaczy przeszkody brał!

A on uniesiony, mimo woli mówił:

— Całe życie byłem w poniewierce. Co wart mój honor, cnota, praca, zdolności? Skończyłem karierę posadzony o złodziejstwo, ja, syn, wnuk magnatów. Spędziłem młodość tak samotny, tak obcy, jakbym żył wśród Patagończyków.

Klasy, do której mnie wliczono, ani moja siła podnieść, ani chcę do niej zstąpić. Mógłbym w świat iść, wywalczyć sobie karierę i byt, ale zbiegiem bym się czuł odstępcą ojcowskich zasad. Tedy mam jedną drogę: tu się wzbić na to samo stanowisko, skąd mnie zepchnięto. Ano, to się wybiję!

Tu Lasota wstał i rzekł:

— Więc Mniszew pana i szczęście Boże!

Adam Kalinowski aż podskoczył zdziwiony.

— Jak to?

— A tak! Sprzedaję panu Kalinowskiemu Mniszew za dwadzieścia cztery tysiące, płatne za lat dwa, bez procentu. A po dwóch latach, w razie nieszczęścia, zapłaci mi pan pięć procent od tej sumy jeszcze przez dwa lata.

Aleksander się zerwał i z ogniem na twarzy przystąpił do niego.

— Dziękuję i nie zapomnę tego panu do śmierci — rzekł

nisko głowę chyląc.

Lasota, wzruszony, wyciągnął do niego rękę, ale Aleksander swojej nie podał.

— Podam panu prawicę, gdy honor mój oczyszczę.

Dotychczas jeszcze panom nierówny!

90

— Służę panu za sekundanta w tej potrzebie! Adam Kalinowski nie poznawał Lasoty. Czy się upił? Siedział

milczący i ogryzał paznokcie rozważając, jak też on ma w tej sprawie postąpić. Uznać i przyjąć tego krewnego, czy go ignorować? Mógł być oszust lub szubrawiec, który właśnie na to pokrewieństwo liczył i chciał z niego korzystać, a oczy zamydlał dumą i frazesami. On już znał takich krewnych, pieczeniarzy i fałszywych pocziwców; jako bogacz był

skubany bezustannie i był nauczony podejrzliwości. —

Ale ten ostatni wcale do niego się nie zwracał ani podniósł

kwestif pokrewieństwa.

To go znowu gniewało prawie, bo czuł, że i on „względem niego nie był *correct\**, a nie chciał być zanadto uprzedzającym.

— Zdaje mi się, że gdzieś widział jakiegoś Wojewódzkiego — rzekł. — Czy nie ma on też koni?

— Może być — odparł Aleksander. — Gdym tu wyjeżdżał, mówiono w okolicy, że młody zakłada stajnię wyścigową.

— Ano, to ten. Konia kują, żaba nogę nadstawia. Takim się zdaje, że fundusz zrobią, nie mając o interesie pojęcia.

No, kiedyście panowie załatwili jeden interes, może byśmy jeszcze drugi zrobili. Cóż pan myśli sobie ze swą klaczą?

— Myślę na niej jeździć.

— Ależ to szaleństwo! Ja panu zaproponuję taki układ: pan ją tu zostawi, wybierze pan sobie do jazdy jednego z koni mojej stajni, a ja panu zapłacę za każde źrebię tu urodzone tysiąc rubli.

Aleksander się wahał, a Lasota zawołał:

— Bierz pan! Człowiek, co się wybija, nie może swym fantazjom dogadzać.

\* correct (ang.) — w porządku.

91

— Ha, to niech i tak będzie.

— Dajże papieru, Adamie, i spiszmy obiedwie umowy.

Kiedyż pojedziemy do hipoteki? Bo wyznam panu, że mi pilno rzecz ukończyć.

— Chociażby jutro. Ale jeszcze jedno. Onegdaj wstąpiłem do proboszcza, prosząc o mszę za te szczególne nieboszczki z Mniszewa. Żal mi się zrobiło poniewierki. Otóż mszy odprawić nie zechciał, ale oddał mi ten oryginalny legat.

Wydobył pakiet z kluczem i podczas gdy obadwaj panowie oglądali go ciekawie, dodał:

— Oddaję tedy prawowitemu właścicielowi.

— Nie mam do tego prawa — odrzekł Lasota. — Nie obstalowałem mszy, nie mój legat. Ale to doprawdy historia osobliwa! Jeśli pan odkryje, co za tym — kluczem jest, niechże mi pan da wiedzieć, jaka to tajemnica. Ale, tak naprawdę, podziwiam pana odwagę. Ja bym w tym domu nie mieszkał za nic! Te groby przed oknami — brr!

— Kto się wybija, nie ogląda się na strach. To zbytek dla mnie — uśmiechnął się Aleksander.

Na podwórzu rozległ się południowy dzwonek.

— Patrzaj, już śniadanie! — zdziwił się Lasota.

Znowu Adam Kalinowski się zawahał. Prosić tego obcego do stołu, przyjąć go jakoby do towarzystwa czy nie?

Aleksander wahanie poczuł, wstał.

— Nie będę tedy panom więcej czasu zabierał — rzekł. —

Przyjdę na godzinę, którą pan zechce oznaczyć.

— Może o trzeciej? Czy pan mieszka w miasteczku?

— Na plebanii.

— Każę pana odwiedzić — zaproponował Kalinowski.

— Dziękuję. Przejdę pieszo, a o trzeciej wrócę. Ukłonił się z daleka i wyszedł.

— Nie mogłem go przecie prosić do stołu — rzekł

92

Kalinowski.

— Nie ubrany, są damy, no i naprawdę za mało wiemy, kto taki.

— Nie wiemy jaki, bo kto, to pewna. Jesteście tak uderzająco do siebie podobni, że gdyby go ubrać i dać twoje faworyty, toby uchodził za sobowtóra. Mogłeś śmiało z nim zaryzykować chińską ceremonię i prosić, bo pewnie by nie przyjął.

— Aleś się do niego zapalił!

— Podobał mi się. Wie, czego chce, i śmiało to mówi. To rzadkie w naszych czasach. Co ja bym dał, żeby tak czegoś chcieć i czuć taką siłę. Naprawdę, czego my chcemy?

Spokoju i wygody, komfortu i zabawy — to dowód starości.

A on jakiś taki młody z tą swoją żądzą trudu i walki! Podobał

mi się i zainteresował. I wiesz, jeszcze bym pewniej na niego stawiał niż na twego Kormorana. Chcesz? Załóżmy się!

— A dobrze. Ale drab okrutny, może i weźmie. Fortuna lubi być gwałconą!

Śmiejąc się zapisali zakład w notatniku sportowym i poszli na śniadanie.

Jednocześnie z nimi weszły do jadalni damy.

Pani Kalinowska, wdowa, była to matrona poważna, oddana nabożeństwu, patronessa różnych dobroczynnych instytucyj w Warszawie i w Galicji, bardzo czynna, bardzo ruchliwa, ale tylko w mieście. W Zborowie wypoczywała i była zupełnie jakby gościem. W ogóle nie cierpiała wsi, ale była zawojowana przez córkę, która ledwie skończywszy nauki w Dreźnie, jeszcze nawet

niepełnoletnia, objęła zarząd i matczynych dóbr, i kapitałów, dyrygowała, dysponowała, przewodziła matce i nawet Kalinowskiemu, który sam sobie nie zdawał sprawy, jak jej słuchał i ulegał.

Dziewczyna miała wrodzoną zdolność do administracji, 93

rachunków, a zamiłowanie wsi.

*De jure* interesu prowadził Kalinowski, *de facto* — ona. Jej się radziła matka, jej o wszystko pytał Adam, i tak przywykł

polegać na jej pamięci i decyzji, że się nigdy sam bardzo o nic nie troszczył.

Tych troje ludzi, zupełnie sobie prawie nie krewnych, żyli razem, kochali się bardzo i stanowili najzgodniejszą w świecie rodzinę.

Adam pocałował macochę w rękę, Gizelę w czoło i rzekł:

— Niech panie powinszują Lasocie. Sprzedał Mniszew za darmo i jest z rezultatu uszczęśliwiony.

— Czy z nieba spadł nabywca? — spytała pani.

— Prawie. Jest to mój zbawca — zwrócił się do hrabianki.

— Ten, który mnie zakopał.

— A prawda! Klacz widziałam i słyszałam, że to naprawdę córka Alicji. Trener stoi dotąd nad nią w ekstazie, w kamień się zmienił. A właściciel?

— Jeśli nie Dymitr Samozwaniec, to mój stryjeczny brat

— odparł Adam. — Ano, Lasota przekona się o tym w hipotece.

— Jakże to? Prosimy o porządne sprawozdanie.

Zaczęli tedy obaj opowiadać wszystko, ku wielkiemu zajęciu pań. Wysłuchawszy, zdecydowała pani Kalinowska:

— Szlachetnie pan postąpił! Istotnie, położenie tego młodego człowieka było bardzo fałszywe i przykre, a szkoda, jeśli rzeczywiście krewny Adama; nie można pozwolić, by się poniewierał.

— Uprzedził mnie — zaśmiała się hrabianka. — I ja miałam ochotę na ten tajemniczy dwór; chciałam panu dziś zaproponować kupno.

— Żebym mógł przypuszczać! — zawołał Lasota.

— O, wolę, że on to nabył. Tylko z opowiadania panów 94

wnoszę, że przecenia swe środki i siły. Jest ubogi, a ja pytałam Malcza, ile trzeba wykładu na

Mniszew: wyrachował

dziesięć tysięcy.

— Biedny człowiek! — rzekła pani Kalinowska. —

Doprawdy, Adasiu, jeśli to twój stryjeczny brat, trzeba nim się zaopiekować i pomóc.

— Wyznam matce, żebym mu tego nie śmiał nawet proponować, bo bym się bał o całość mych kości

— zaśmiał

się Adam.

— Trzeba tę sprawę pokrewieństwa wyświecić, a potem ja z nim pomówię.

— Kiedyż zwiedzimy Mniszew? —: spytała hrabianka. —

Trzeba się śpieszyć, zanim się nowonabywca sprowadzi.

Mama chciała też zobaczyć te groby. Może byśmy jutro odbyli ten spacer?

— A dobrze — odparł Adam. — Pojutrze ruszają już nasze konie do Warszawy, a w piątek i nam czas w drogę.

— Rozjedziemy się w Lublinie — rzekł Lasota.

Zaczęto mówić o koniach, letnich wycieczkach, znajomych i wkrótce zapomniano o Aleksandrze.

Gdy się zjawił po południu, czatował już nań zarządzający stajnią i zaprosił go z sobą.

— Pan dziedzic rozkazał, bym panu wydał konia, którego pan zechce wybrać ze trzydziestu, które tu stoją.

— A mojej klaczy tu nie ma?

— O, nie! Tu są tylko półkrwi młode, sprzedażne.

Uważnie przeszedł Aleksander korytarzem, obejrzał dwa szeregi koni, wreszcie do jednego boksu wszedł, obejrzał

jeszcze lepiej karogniadą klacz i rzekł:

— Niech będzie ta.

— Zna się pan — roześmiał się koniuszy. — Onegdaj pan Żarski ją targował pod wierzch. To po Kormoranie i Selmi 95

perła czterolatków.

— Nie zniszczę jej i oddam w całości.

— To pan nie sprzedał swojej? A ja się z trenerem założyłem, że pan swoją oddał za tysiąc pięćset i tę w dodatku. On zaś utrzymywał, że pan wziął pięć tysięcy.

— Nie, pan Kalinowski ją wziął w depozyt, jak ja tę biorę.

Wyszedł ze stajen i zmierzał ku skrzydłu, gdzie się mieściła kancelaria, a idąc rozglądał się z przyjemnością wkoło. Dwór był bogaty, ludny, utrzymany nadzwyczaj staranniej —

zawszą wyzierał dostatek, zbytek nawet, elegancja nie oglądająca się na koszta, kultura i komfort zachodni.

Żywopłoty strzyżone, trawniki i kwietniki aksamitne, drogi żwirowane, pałac sam wyświeżony, udekorowany cieplarnianymi krzewami, plac do krokieta i tenisa, w głębi park malowniczo ugrupowany, staw i rzeka.

Rozglądając się uśmiechnął się Aleksander i pomyślał: Powiniennem i ja do tego dojść. Życia w takim nie spędzę, ale bodaj umrę.

Mijał róg domu, gdy się prawie natknął na hrabiankę. Szła widocznie do rzeki na przejażdżkę łódką, bo niosła z sobą pled, książkę, parasolkę i koszyk chleba dla łabędzi.

Skinęła mu uprzejmie głową, a on żywo czapki uchylił i złożył głęboki ukłon.

Znikła za szpalerem, a on chwilę patrzył w tym kierunku i westchnął, i dokończył swą myśl.

— A jednak, bodajem umarł stróżem nocnym, a miał na własność tylko tę jedną. Ha, ale tego nie wypracujesz, nie możesz sobie przysiąc, że zdobędziesz.

I nagle zrobiło mu się beżmiernie smutno...

Lasota czekał już na niego w kancelarii z gotowym dokumentem, prosił go siedzieć, podał cygaro, był bardzo uprzejmy. Po chwili wszedł Kalinowski, bardzo czemuś rad i 96

wesół.

— A zatem wybrał pan Unikę? — zawołał. — Zna się pan na szkapach, ogromnie mnie to cieszy. To jest siostra Orkana, tego, co go grom zabił wtedy w szopie. Pamięta pan?

— Tamten miał trochę ostry krzyż.

— Zauważył pan! Ależ panu tylko konie chować! No, zatem pańska klacz zostaje u mnie. Jakże się nazywa?

— Nigdy o tym nie pomyślał. Miałem jedną.

— A, tak zostać nie może. Jakże ją nazwiemy? — zwrócił

się; głęboko zajęty, do Lasoty.

— Niech jej będzie Ewa — roześmiał się tamten.

— Et, zawsze żartujesz! Poradzę się siostry.

— Dobrze zrobisz, a teraz do dzieła. Więc tedy na piątek proszę pana do hipoteki i skończymy interes. Czy się pan zgadza na to?

— Służę panu, a tymczasem proszę tylko o upoważnienie do gminy, żeby mi oddano klucze, i zacznę już pracować.

— Wpadniemy tam do pana całym towarzystwem nie dalej jak jutro. Z góry przepraszam za najazd.

— Wszystko tam będzie pańskie, aż zapłacę. A potem jeszcze zostanę panu dłużny wdzięczność do śmierci.

— No, no, gdyby we mnie drugi raz piorun trząśł, toby mnie pan dopiero ratował. Prawdę rzekłszy, w pierwszą wdzięczność wierzę, w pańską! Jakże się pan myśli w tej ruinie urządzić? Czy panu nie będzie za ciężko z początku?

— Będę się urządzał jak traper w puszczy amerykańskiej; Są tam złogi kilkunastoletnie. Uprawię je pod buraki cukrowe na przyszłą wiosnę. Zasieję pszenicy trochę, resztę będę musiał z chłopami jeszcze podzielić, zanim, do inwentarzy dojdę.

— Prawda, toć tam tylko myszy i jaskółki.

— Trzeba kupić sprzężaj.

97

— Niech pan daruje... a ma pan na to dosyć gotówki?

Aleksander poczerwieniał i odparł lakonicznie:

— Mam. Dam sobie rady.

Tu Kalinowski przestał pisać u biura i rzekł:

— Gotowy cyrograf na klacz. Niech pan przeczyta i podpisze. Aleksander wziął pióro i podpisał.

— Nie czyta pan?

— A po co? Wiem, o co chodzi.

— Oto pieniądze.



— Jakie?

— Za pierwsze źrebię.

— A jeśli go nie będzie? Nie wezmę.

— Trzeba było przeczytać i nie kwitować z odbioru. Ja pilnowałem swego interesu tylko. Chcę być spokojny o klacz cały rok.

— Złapano pana — roześmiał się Lasota. — Bierz pan pieniądze, a następny raz czytaj, nim podpiszesz.

Aleksander patrzył na papier, asygnaty, coś się burzyło w nim. Wreszcie rzekł:

— Nie pokażę się panom już więcej na oczy, bo już nie mam siły ani dziękować, ani płacić za względności. Oby panom los za mnie oddał.

Był tak wzruszony, tak szczęśliwy, że bojąc się okazać im, co czuje, prędko pieniądze zgarnął, ukłonił się im i uciekł.

— Czy wariat?! — rzekł Kalinowski.

— Nie. Ale to człowiek, któremu nikt w życiu nie okazał

dobroci. Wyzyskiwany był zawsze. On nie wariat, ale pijany Szczęściem. Zobaczysz, że ten będzie nam życzliwy.

Okrutniem go sobie spodobał. O, ktoś jedzie! Aha, to Żarski.

Chodźmy do pań. Aleksander tymczasem poleciał do plebanii. Proboszcz, wtajemniczony w sprawę, czekał na niego niespokojny, bo polubił chłopaka i zajął się jego losem.

98

Z twarzy poznał, że sprawa dobrze poszła.

— Witam dziedzica — zawołał. — Siadajże i opowiadaj!

— Dziękuję proboszczu, ale i nie opowiedzieć, jacy oni dobrzy, jakim szczęśliwy. Pojadę zaraz do Mniszewa, żeby Jutro od świtu zacząć pracować.

— Bój się Boga, a cóż ty tam jeść będziesz, gdzie spać?

Trzeba się zagospodarować. „

— Nie wytrzymam już tutaj. Ani mi jadło, ani sen! A toć ja pierwszy raz własny dach mieć będę! Pojadę, proboszczu.

Oczy mu świeciły gorączką, był nieprzytomny. Zaczął swe manatki zbierać, opowiadał beż sensu, to śmiał się, to płakał

prawie na przemiany.

Wreszcie, ledwie go ksiądz trochę umitygował, nie starał

się zatrzymać, ale gdy wyjechał, kazał organiście założyć klacz do wozu, włożyć na wóz worek mąki, kaszy, chleba, cukru, herbaty, świec, słoniny, grochu, wszystkiego, co było w spiżarni, i z tym go do Mniszewa wyprowadził.

Organista polecenie spełnił, ale gdy do zakłętego dworu wjechał, taki go lęk zdjął, że pod ganek nie ośmielił się zajechać. Stał u bramy, pacierze szepcząc, gdy z krzaków wyszła jakaś postać. I organista i klaczka zemknęli. Wóz się wywrócił, klacz poniosła w ulicę wioskową, organista wpadł

w rów, szpetnie się pokaleczył, narobił wrzasku. Ludzie się zbiegli i ledwie zdołali zebrać do kupy wózek, konia i woźnicę. Co się stało z prowiantami, nikt nie poszedł

zobaczyć, gdyż wypadek zdarzył się poza granicą ogrodu, a tam żaden chłop z Mniszewa nie poszedłby w nocy, choćby mu obiecywano złote góry!

Tymczasem postać tajemnicza poczęła najprozaiczniej w świecie zbierać woreczki i paczki przy świetle księżycy.

Obładowana poszła ku domowi, zajrzała w oświetlone okno i za węglem znikła. Parę razy powtórzyła tę wędrówkę, aż na 99

drodze został tylko wór z mąką, którego udźwignąć nie mogła. Wtedy postąpiła chwilę przed gankiem i weszła do środka domu.

Aleksander w pustych izbach znalazł jakiś stolik, krzesło odarte, u sołtysa dostał ogarek świecy i dobywszy podróżny kałamarz i pióro, pisał list do matki.

Na odgłos bosych kroków oczy podniósł, sięgnął po rewolwer i czekał. Drzwi się otworzyły, na progu stanęła głuchoniema żebraczka.

Rozejrzała się ciekawie, poznała go, głową protekcyjnie skinęła i, jakby była u siebie, usiadła w kącie na jakiejś skrzyni.

Aleksander chciał ją znowu wyprosić z domu, ale potem się rozmyślił. Była to nędza bezdomna, niech sobie siedzi!

Pisał dalej.

Baba posiedziała może godzinę, potem wyszła.

Gdy list skończył i przeszedł ze światłem dom cały, znalazł ją śpiącą na ziemi w izbie, która snąc

niegdyś była kuchnią.

Wrócił tedy do pokoju, który sobie obrał na sypialnię, bo znalazł w nim kanapę, drzwi zamknął i po chwili zasnął.

Zbudził się o świcie i przede wszystkim zwiedził swą nową siedzibę. Dom składał się z sześciu pokoi dość obszernych, ale znać było w nich rabunek i opustoszenie. Z

mebli zostały tylko najgorsze graty, po ścianach wisiały festony pajęczyn, po kątach śmiecie i pleśń. Gdy wszedł do kuchni, zastał tam zagospodarowaną żebraczkę. Jakby wróciła na swe miejsce, krzątała się. Izba była zamieciona, na kominie ogień, u ognia garnek z wodą.

— Co u licha! Czy ty się godzisz na służbę? — zaśmiał

się. Baba wzięła go za rękaw, pokazała garnek, pustą szafę w kącie, potem ruszyła szczękami i rozłożyła ręce. Znaczyło to, 100

że nie było co gotować, a zatem nic do jedzenia.

Ruszył ramionami, ale że głód odczuwał, więc dał babie dwa złote i pokazał na migi dojenie krowy. Skinęła głową i wyszła.

On zaś porwał za miotłę i oczyścił dwa środkowe pokoje.

Ściągnął do nich wszystkie graty, ustawił jako tako, jeden nazwał salonem, drugi sypialnią, otworzył okno na ogród i rozkoszował się chwilę ładnym widokiem i letnim, pogodnym rankiem. Sad zdziczały otaczał cały dom i spadał

w dół ku stawowi, przez który przepływała rzeka. Za stawem wyglądał młynek nieczynny, bo groblę rzeka przerwała i szumiała niczym nie krępowana.

Trzeba się zaraz do młyna zabrać, pomyślał Aleksander. A co tu owoców w tym sadzie! Żeby go ogrodzić, a to chłopaki rozkradną. No, przede wszystkim trzeba do sołtysa iść, żeby mi parobka naraił i doradził, gdzie szkap kupić. Aha, szkap!

A pługi, a wozy, a uprząż, a gdzie szkapy postawić, a co im dać zjeść? Hu, będzie mi ciepło!

Ale pomimo wszystko rażno mu było na sercu. Otworzył

ganek do ogrodu, zszedł ze stopni, zerwał kiść bzu z krzaku i gwizdząc poszedł ku rumowiskom gospodarskich zabudowań. Tam na ścieżce od wsi spotkał swoją gospodynię. Niosła garnek z mlekiem, zabelkotała coś i pokazała mu pustą oborę, a potem mleko. Znaczyło to zapewne, że powinien krowę kupić.

Skinął potakująco głową, mleka się napił i poszedł ku wsi.

Sołtys na podwórzu swym wóz narządził i przywitał go czapką do kolan, jako dziedzica.

— Klacz jużem napoił i koniczynę ma — rzekł.

— Dziękuję wam. Ja do was po radę i pomoc przyszedłem.

Trzeba mi na jarmark po szkapy.

— A toć ja na jarmark się ładuję, na jutrzejszy, do 101

Zborowa. Jałowicę prowadzę i wieprzka.

— No, to i dobrze. Teraz mi jeszcze ze dwóch fornali trzeba, pługów, bron, wszelakiego statku.

— Statek to bajki. Kowal z Małyń pługi zawsze ma i reszta się znajdzie, ale fornali to pan dziedzic o tym czasie nie dostanie chyba takie śmiecie jak Michałek Małgosin.

— A ten co za jeden?

— A to on lat temu dziesięć żonę swą przetrącił na śmierć.

Siedział bez ten czas w kryminale, na zsyłkę nie poszedł, bo dokumentnych świadków nie było, a teraz wrócił i tak się tuła, bo go wziąć nikt nie chce. Od tej zabitej żony przewali go Małgosin, boją się go ludzie.

— Ja się nie boję. Wezmę go. Gdzież on?

— Pewnikiem na rzece z wędką. Zaraz chłopaka poślę. A to i niema Wakra znowu do dworu się znęciła.

— A zastałem ją dzisiaj w kuchni, jak u siebie. A ta znowi co za jedna?

— Kto ją wie! Jak zapamiętam, we dworze była i do śmierć ostatniej dziedziczki przetrwała; potem zginęła bez wieści. Nieboszczki pod koniec to tylko nią się posługiwały.

Jak do pani przyszła, to niechby była, bo to lichy mściwy i każdy się jej lęki sprzeciwiać.

— Niech będzie!

W tej chwili syn sołtysa ukazał się we wrotach, a za nim szedł chłop chudy, zgarbiony, patrzący ponuro w ziemię, bosy i obdarty.

— A ot i Michałek!

Chłop łypnął oczyma i spytał:

— A czego ta chcecie ode mnie?

— Ukłóńże się panu! To nowy dziedzic, co dwór od tego zagranicznego kupił. Chce cię na fornala ugodzić.

Chłop znowu oczy podniósł, nie dowierzające, posępne.

102

— Jak pan chce mnie, to ja gotów — odparł.

— No to masz zadatek, zabierz moją klacz od sołtysa i zaprowadź ją do dworu. A pamiętaj to sobie, że próżnować ci nie dam, ale i nie ukrzywdzę, i złego słowa nie dam bez racji.

Ty nie masz nic i ja także, ale do roku powinniśmy na gospodarzy wyjść.

Chłop nic nie odrzekł, ale już zwawszym krokiem do stajenki wszedł, a gdy klacz wyprowadził, już się wyprostował, głowę podniósł i innym głosem przemówił:

— Żeby tak kosa, tobym w sadzie dla niej trawy urznął.

— A to weź kosę u mnie. — odparł sołtys.

Aleksander zabawił jeszcze chwilę, kupił u chłopca słoniny, grochu, chleba dla swej nowej służby, rozmówił się o reparację młyna i wrócił do domu.

W sadzie pobrzękiwała kosa, ponury dom pojaśniał od słońca, na oknie w kuchni siedział kot, a dym się na kominie unosił. Pustka zaczynała żyć.

Na drodze znalazł Aleksander wór z mąką, a chłopak sołtysa, niosący za nim nabyte produkty, opowiedział

wypadek organisty. Zniesiono wszystko do kuchni i oddano głuchoniemej. Ucieszyła się widocznie, bo zrozumiała, że tu pozostanie już na pewno, ale zamiast dziękować, pogładziła protekcyjnie Aleksandra po ramieniu, jakby to ona raczyła go wziąć pod opiekę. A potem, bełkocząc i rozkładając ręce, poleciła mu, żeby kupił krowę, wieprza, samowar, miski, łyżki i tysiące innych rzeczy.

Roześmiał się i opędził się od niej, wychodząc do ogrodu.

Michał kosił ochoczo, a ujrzawszy go przystanął i rzekł:

— Klacz umieściłem, ale to w tej stajence ni drzwi, ni strzechy, ni żłobu, ni drabiny. Trzeba by narządzić. Żeby siekiera, świder, dłuto i piłka, tobym ja to za trzy dni wyładził.

103

— Ano, tak się urządzimy. Dzisiaj przecierpi klacz, bo i my bez miski i łyżki. Jutro pójdziesz do Zborowa., kupimy tam cztery konie, dwa wozy i co niezbędne. Ty się też ogarniesz, żebyś na człowieka patrzył. Weźmiesz się pojutrze do stajni, zostawię ci parę koni i wóz, cobyś sobie materiał

zwiózł, a ja drugim wozem i parą koni pojedę szukać pługów, bron i co do roli trzeba. Po niedzieli trzeba się do pola brać ostro.

— A co będziemy orać? — spytał chłop z zajęciem.

— A te złogi za traktem. Buraki tam damy na wiosnę.

Trzeba jeszcze ze dwóch fernali dostać.

— Ja jasnemu panu te złogi sam precz przewrócę —

odparł Michał niespokojnie. — Ja za trzech zrobię, byle być sam.

— Nie dasz rady.

— Zobaczysz pan. Byłem się odjadł, a szkapy były obroczone i byle mi ludzie w oczy nie leźli.

— Jak chcesz. Zrobisz za dwóch, to i za dwóch ci zapłacę.

Toć i pod oziminę trzeba przygotować. Choć to bez nawozu, to czy warto siać?

— Warto. Na tym skłonie między lasami pszenica będzie dobra, a żyto wyśmienite. Toć to mało kto siał, tyli czas. A toć pan pewnie też bydło postawi?

— A jakże; ile zmożę, to kupię. Paszy też mało będzie.

Chłopi mało co obsieli, a łąki trzeba na część oddać.

— Ha, pewnie że ciężko zaczynać, ale o ziemię byle się palicami ucześcić, to człek z najgłębszej jamy wylezie. Ja kalkuluj że gdyby nam dziesięć koni i trzech bandochów z Galicji, to byśmy rady dali. Jeśli pan każe, to ja w niedzielę bandochów przyprowadzę.

— Dobrze. Ja też rachuję, że troskę o rolę na cię zdam. Jak mi dobrze usłużysz, to wynagrodzę sowicie. Nie będę miał

104

czasu tkwić nad wami i naganiać, bo do zimy muszę budynki dźwignąć i młyn zrestaurować. Postawię nad wami dozorcę, rubla, a nie zechcecie go, to was precz wygonię!

— Już ja panu zaręczam, że się zrobi — odparł energicznie Michał.

Nic więcej nie rzekł, ale w garść splunął i jął kosić zawzięcie. Trawa i chwasty między drzewami sadu wybijały ogromnie.

— To dziwne, że chłopi nie spaśli — rzekł Aleksander.

— Ale, do tego sadu nikt się nie pośmieli. Nikt owocu nie zerwie, nikt gniazda nie wykręci! A toć tu straszy. Po nocy nikt n przyjdzie, a i w dzień nie bardzo.

— A ty się nie boisz?

— Ja? Ja już się niczego nie boję. Już mi straszniej nie będzie, jak jest — znowu posepnie odparł chłop.

— Nie trzeba, Michale, bez miary gorycz w duszy trzymać. Słyszałem ja, żeś ciężko zgrzeszył, aleć to pewnie w zapamiętaniu się stało. Karęś odcierpiał, u spowiedzi pewnie byłeś, trzeb w Bogu ufać. Ludzie głupi ci dokuczają, to za pokutę przyjmij, a w miłosierdziu Boskim nadzieję miej. —

Chłop znowu kosić przestał, w ziemię oczy wbił i pokręcił głową.

— Żeby to tylko jedno było — wyszeptał. — Niejeden babę przytłukł, jak dopiekła, a każdy bije, bo cierpliwości z nimi nie stanie. Moja też nie lepsza była, a do tego pięć lat bezdzietna. Żebym ja wiedział, jak to jest, tobym też nie tknął. Ale to gdy zamierała już, to mię przeklinać jęła, zem ją brzemienną ubił! Tego mi Pan Jezus nie przebaczy i Matka Boża, co jej imienia nie śmiem wymówić! Nie ma dla mnie już nijakiej pociechy, ini gdy człowiek się zapracuje, to krzynę zapomni.

Znowu kosił, kosił, jakby się bardzo zmęczyć chciał, a 105

Aleksander, nie chcąc go rozzalać, po chwili milczenia spytał:

— Gruntu nie masz ani chałupy?

— Nie. Fornalskim syn i wnuk. Ojciec jeszcze dotąd w Zborowie stróżem jest nocnym, a dwóch braci tam służy, ale mnie znać nie chcą. Od jesieni, jakem wrócił, do tej pory, tom dziennie zarabiał, gdy głód dokuczał. Ale gorzej jeszcze od głodu dokuczali ludzie.

— No, u mnie ci nie dokuczą i nie dam cię skrzywdzić, byłeś rzetelny był. Okulbacz no mi klacz tymczasem.

Pilno mu było teraz znowu granice objechać, obmyślić plan robót. Ruszył tedy w stronę młyna, minął rzekę i przejechawszy wąską drożyną polną, wyostał się na gościńiec ze Zborowa. Za gościńcem leżały złogi puste, a otaczał je wokoło las po górach rozrzucony. Kęs tego lasu zniszczony należał do Mniszewa, a tam, gdzie cała puszcza stała, była to własność Zborowa.

Obejrzawszy złogi Aleksander w las się zagłębił, ciemny, cichy i, puściwszy wolno cugle, rozkoszował się samotnością. Onegaj tu był obcy i bezdomny, pełen niepokoju i troski, dziś się czuł silnym i okrutna fantazja napełniła mu piersi.

Oto się wedle słów Michała „palicami za ziemię uczeplił”, a teraz się wydrapie choćby z przepaści.

Spojrzał po niebie i po ziemi, czapkę na ucho przesunął i wyprostowawszy się w siodle, jał nucić półgłosem jakąś studencką pieśń.

Leśna drożyna pięła się ku górze, nie wiedział, dokąd go zaprowadzi. Śpiewał coraz śmieiej.

Nagle klacz stanęła. Drożyna kończyła się nad ostrym parowem, w głębi którego był gościńiec.

Krzaki głogów zakrywały przepaść.

106

Skręcił tedy w bok między gąszcze i począł w dół się spuszczać, prawie prostopadle. Podobała mu się ta jazda na złamanie karku; utrzymując prawie klacz w powietrzu, zaśpiewał sobie już pełnym głosem zwrotkę pieśni: Hej, bracia, kto ptakiem przelecieć chce świat Niech skrzydła sokole od młodych ma lat.

Kopyta klaczy osunęły się na urwisku, utrzymał ją w cuglach, skoczyła w dół i spadła jak sarna na drogę.

— Brawo! — ktoś zawołał za nim. — To był skok!

Obejrzał się. O parę kroków ujrzał wolant\*, a w nim hrabiankę, Kalinowskiego i Lasotę. Kalinowski sam powoził

i zatrzymał konie. Aleksander wolałby być pod ziemią w tej chwili. Uchylił czapki i ukłonił się, ale nie wiedział, co rzec.

Adam Kalinowski wyprowadził go z kłopotu.

— Żarski utrzymywał, że Unika ma złe nogi. Niechby tu był. Witam pana, my właśnie jedziemy do Mniszewa.

Pozwoli pan, że go przedstawię mojej siostrze, która koniecznie chciała zoaczyć te sławne groby na podwórzu.

Jeszcze raz Aleksander nisko głowę schylił. Konie ruszyły, a on jechał brzegiem drogi, rozmyślając gorzko, jak za mało co go mieli, za kogoś tak nisko położonego, jeśli hrabianka jechała z nimi sama zwiedzić Mniszew. Tak sobie, spacer do kolonisty.

Przez chwilę zapiekło go upokorzenie jak pchnięcie noża, poczuł się strąconym na sam dół społecznej drabiny, ale wnet się opamiętał, zmógł i głowę hardo podniósł.

— Więc to pan śpiewał? — zawołał uprzejmie Lasota. —

Nie mogliśmy pojąć, kto tu może znać studenckie pieśni. Pan się kształcił w Galicji.

— Wszędzie po trosze. Gimnazjum skończyłem w Warszawie, politechnikę w Rydze, a Dublany w Galicji.

\* wolant — lekki, odkryty powozik.

107

— Kiedyż pan miał czas to wszystko odbyć?



— Nie mogłem zwlekać. W szesnaście lat wyszedłem z gimnazjum, w dwadzieścia z politechniki, a mam już dwadzieścia siedem.

— I że to pan z takimi kwalifikacjami został rządcą?

— Przecie musiałem odsłużyć za wychowanie. Pani Wojewódzka wydała na mnie tysiące. Postanowiłem je zwrócić.

— Jakże? Rad pan z Mniszewa? Będzie pan miał ogromną i robotę.

— To dopiero początek roboty. Za lat dziesięć będę wspominał jak dziecinne z piasku ogródki.

— Oho, pan wcale na klęski i niepowodzenia nie liczy!

— Nie; kto od klęsk upada, ten niczego innego niewart, a kto niepowodzenia przyszłe w rachunek wciąga, ten tchórz.

Lasota popatrzył na niego jak na wariata, chciał

zażartować, ale się powstrzymał wobec powagi młodego człowieka.

— Widzę, że i w tym względzie wie już pan nie tylko, czego chce, ale i kogo chce.

Poprzez ogorzałą skórę Aleksandra wybił się rumieniec, milczał i oczu nie śmiał podnieść.

— Musi być śliczny widok z ogrodu tutaj — rzekła hrabianka. — I wody zapewne dostanie u pana?

— Krynica jest w ogrodzie, a szklanekę w tej chwili przyniosę — zawołał wskazując im drogę do ogrodu, sam wchodząc do domu.

Znalazł tam szklanekę podróżną swoją i zaprowadził ich do krynicy, która biła spod góry i srebrnym strumieniem ciekła do stawu.

Lasota z hrabianką zachwycali się położeniem, ale Adam zwrócił przede wszystkim uwagę na ruiny folwarku i rzekł: 108

— Żadnym sposobem nie dźwignie pan tego do zimy.

— Musi być w porządku do zniw — odparł Aleksander spokojnie, podając hrabiance szklanekę wody.

Spojrzała i ona na rudery.

— Dużym nakładem pieniędzy i energii można to zrobić

— zdecydowała.

Uśmiechnął się.

— Toby tedy nie była żadna sztuka. Popróbiję samą tylko energią. Odczytam *Robinsona* i wezmę się do dzieła.

Wracali ku domowi i hrabianka wskazała na olbrzymie krzaki bzu.

— Co za przepych! Jeśli pan pozwoli, zrabuję całą masę.

Ulubiony mój kwiat.

Podskoczył Lasota i Aleksander, i przynieśli jej każdy sporą więź. Poczęła układać w bukiet i nagle zawołała z uśmiechem:

— Dostałam od któregoś z panów niebywałe szczęście.

Doprawdy, to rzadkie! Jedenaście listków, prawie jak stokroć wygląda.

— Rzeczywiście, niestety nie ja — westchnął Lasota. —

Ja przyniosłem tylko biały.

— Zatem dziękuję panu! — Skinęła głową ku Aleksandrowi, delikatnie chowając rzadki kwiat do medalionu przy zegarku.

— Bodajby pani inne w życiu nie kwitły — odparł z ukłonem. Szła już do powozu, raz jeszcze się obejrzała wokoło, uśmiechnęła i rzekła podając mu rękę:

— Przepraszamy za najazd i życzę panu triumfu.

Nisko, bardzo nisko się uklonił, a potem spojrział na nią, jakby na długie czasy chciał się napatrzeć i zapamiętać.

Okropnie mu biło serce.

— Ja tu nie ostatni raz — rzekł uprzejmie Lasota. — A 109

zatem do widzenia, tymczasem w piątek w Lublinie.

— Mam też nadzieję, że pan się zechce dowiedzieć, jak się ma Flamma. Zapomniałem panu oznajmić, żeśmy tak ochrzcili córkę Alicji. — rzekł w końcu Adam Kalinowski.

— Słusznie, bo to twoja ostatnia Flamma — zaśmiał się Lasota wsiadając do powozu.

Konie ruszyły, Aleksander patrzył za powozem, aż go krzaki zakryły; potem jeszcze słuchał turkotu, a wreszcie jeszcze długą chwilę słuchał swych uczuć. Aż głęboko odetchnął, dłonią po czole przesunął i rzekł:

— No a teraz, Olek, patrz przed siebie! Stoi szklana góra i gdzieś czatuje Baba—Bieda i Baba—

Troska. Bierz się do dzieła szponami i dziobem, bo na górze królestwo i królowna!

I poszedł, gwizdząc pieśń Sokołów.

110

## VI

Zima tego roku była mroźna i śnieżna. Na dni parę przed Bożym Narodzeniem zjawił się u Aleksandra Żyd ze Zborowa po rybę, zwabiony opowiadaniem Michała, który dowodził, że na świecie nie ma ogromniejszych szczupaków jak w stawie mniszewskim.

Kalinowski, który żadnym dochodem nie pogardzał, wnet po sieci posłał, ludzi zawołał i nazajutrz sam osobiście rybołówstwo urządził.

Szerokim kręgiem zajęto staw i sieć była już w połowie, gdy od młyna usłyszał Aleksander dzwoneczki sań i ujrzał

zborowski myśliwski zaprząg. Z daleka poznał Lasotę z Kalinowskim; wracali widocznie z polowania.

Zdziwił się, skąd się wzięli, bo przed kilku dniami słyszał

od proboszcza, że w pałacu pusto.

Zatrzymali się na grobli i wysiedli. Ruszył więc ku nim, uśmiechnięty radośnie.

— Witamy! Jakże się połów udaje? — zawołał uprzejmie Lasota.

— Za godzinę będzie wiadomo. Panowie chyba wczoraj przybyli niespodzianie.

— Wczoraj. Odebrałem depeszę od Malcza, że influenza w stajni. Kormoran śmiertelnie chory — odparł frasobliwie Adam. — Siedzi nad nim trzech weterynarzy. Jestem ogromnie zmartwiony. Taki koń!

— Moje wszystkie przechorowały szczęśliwie. Sam leczyłem.

— Zlituj się pan! Coś dawał?

— Proste bardzo środki.

— Żeby pan był łaskaw Kormorana obejrzyć!

111

— I owszem. Ale co weterynarze powiedzą?

— Pal ich sześć z ich nauką razem! Siedzą i radzą, a siedemnaście sztuk młodzieży diabli wzięli.

Jedźmy razem, konie stoją, wyrzucę furmana i powiozę panów.

— Służę, tylko proszę o dziesięć minut, by do domu skoczyć i przysłać tu zastępcę, a raczej zastępczynię.

— My tymczasem dopilnujemy! — zawołał Lasota.

Aleksander odpiął od pasa łyżwy, założył je i pomknął jak strzała. Nie upłynęło pięciu minut, już wracał, a raczej wracali we dwoje na łyżwach, on i Józia. Zostawił ją przy robotnikach, coś tłumaczył, zdjął jej łyżwy, dał ciepłe kalosze, otulił troskliwie kapturek, po głowie pogładził i pomknął dalej.

— Jestem gotów — rzekł stając u młyna, gdzie panowie na niego czekali.

Młyn terkotał, był już odnowiony i czynny. Łyżwy swe rzucił Aleksander młynarzowi, a widząc, że furman zborowski zsiada z kozła, dodał:

— Zaprowadź stangreta do dworu. Tam konie po mnie idą do Zborowa, niech go odwiozą.

— Za pozwoleniem — zaprzeczył Kalinowski. — Myśmy pana zabrali i my odwieziemy. Właśnie mieliśmy pana odwiedzić. *Pour qui nous prenez-vous donc?*<sup>?</sup>\*

— Wolno panom mnie jeszcze ignorować. Sprawa z Wojewódzkim jeszcze nie załatwiona.

— Ależ poznałem młodego — zaśmiał się Lasota. —

Przecie na jesiennych wyścigach wystąpił raz pierwszy. Toż się spłukał i na koniach, i potem w klubie.

— Może go pan pytał o mnie?

— Nie pytam nikogo o ludzi, których znam — odparł

Lasota urażony.

\* *Pour qui nous...* (fr.) — Za kogo pan nas uważa?

112

Aleksander spojrzał na niego i poczerwieniał. Żebym ja mógł za niego życie dać pomyślał.

— Pyszna sanna. Dobrze się jednak stało, że te konie się pochorowały — rzekł Lasota. — Inaczej spędziłbym święta w wagonie lub w hotelu. Na pociechę dla Adama zaprosiły mnie panie do Zborowa. Będę miał familijną wigilię.

— Więc i panie są? — spytał Aleksander.

— A jakże, i zabawią do Trzech Króli.

— Gizeli się chciało użyć sanny, a matce urządzić choinkę dla dzieci oficjalistów — dodał Adam. — Wrócimy na karnawał udawać, że się bawimy.

— Pan by powinien jechać też na karnawał — zauważył

Lasota kryjąc uśmiech żartobliwy.

— Ja? A mnie to po co?

— Żeby się bogato ożenić. Wszyscy tak czynią.

— Alboż pan uważa, że ja czynię jak wszyscy?

— Oho, mam duże względy u pana. Myślałem, że mnie pan spoliczkuje za tę radę!

— Ech! Kiedy już wiem, że pan się droczy ze mną!

— Lubię wyciągać pana na słowo i słuchać pańskich utopij.

— Utopij! Kiedy tak, to już panu nic nie powiem, tylko panu Mniszew pokażę, a potem rachunki.

— Widziałem młyn cały, a była rudera. Czy pan ma siostrzyczkę?

— Nie. Ta dziewczynka to spadek po generałowej Wojewódzkiej. Wychowywała sierotę, a sukcesorowie wypędzili małą. Przybłąkała się do nas i została. Ale zapomniałem panu powiedzieć.

Pamięta pan ten klucz, co mi proboszcz oddał? Tajemnica odkryta. W ogrodzie, w chmielach, był i jest stary lamus.

Przerobiłem go na mieszkanie dla ogrodnika i tam znalazłem 113

na strychu, w śmieciu, kufer skórą wybity, antyk, do którego klucz pasował.

— A w kufrze gniazdo myszy i stare papiery?

— Lepiej! W kufrze były trzy suknie. Jedna ślubna, druga żałobna, trzecia balowa. Żadnego papieru. Na sukniach tych były koronki. Mnie się wydały brudne szmatki, matka dowodzi, że są bardzo cenne.

— Koronki? — zawołał Adam. — Sprzedaj mi je pan!

Moje panie obie mają pasję do koronek. Ofiaruję je na gwiazdkę.

— Kiedy one do mnie nie należą, ale do pana Lasoty.

— Dajże mi pan spokój — oburzył się Lasota. —

Sprzedalem Mniszew ze wszystkim, co zawiera. *Cum boris, lasis et koronkis!*\* Na co mi koronki? Od chwili gdy Żarski zdmuchnął mi pannę Bruniewską, infamis, nie zbieram żadnych kobiecych fatalaszków, bo nie mam i nie będę miał

komu ich ofiarować. Pan słyszał, że Żarski się ożenił, ten nasz towarzysz od pioruna, pamięta pan?

— Słyszałem zapowiedzi, a potem widziałem panią we fabryce przy odstawie buraków.

— Co? Miał pan już buraki? — zdziwił się Kalinowski.

— Niestety, jeszcze nie miałem, ale że moja fornalka była wolna, nająłem ją do Zborowa i osobiście pilnowałem.

— Malcz ma jeszcze mało koni! — zamruczał Adam gniewnie.

— Śliczna jest pani Żarska! Prawda? Pięć lat ją kochałem, sąsiadka z Galicji. Ale miałem inne roztargnienia: wybrali mnie posłem, interesa, służba publiczna, dobro ogółu!

Ładnie na tym wyszedł. Żarski pojechał, szast, prast, oświadczył się i czytam w gazetach, masz tobie! To był drugi piorun.

\* *Cum boris...* (żartobliwie) — Z borami, lasami i koronkami!

114

— No, gdyby ona miała czekać aż ty nie będziesz miał

roztargnień, toby została kanoniczką! — roześmiał się Adam.

Lasota westchnął.

— Ha, to zostanę Kawalerem Maltańskim. Siódmą już pannę tracę i bastuję.

— Znadtoś szczęśliwy w karty. Przestań grać i zakładać się, wtedy się ożenisz.

— Co to, to nie.. Nie grać i nie zakładać się, to lepiej umrzeć. Jedyna rzecz, która mnie podnieca. Ma pań żyłkę do hazardu? — spytał Aleksandra.

— Do kart nie. Do zakładów tobym się zapalił.

— Spróbuj pan zatem.

— Jużem spróbował. Założyłem się z losem. Skoro wygram, pójdę dalej.

Stanęli przed stajnią w Zborowie.

— Gdzie weterynarze? — spytał Kalinowski.

— Grają w karty u pana Malcza — odparł trener, który z rządcą był w nieustannej wojnie.

— Jakże Kormoran?

— Źle.

Kalinowski wydarł kartkę z notatnika, napisał słów parę i oddał jednemu ze stajennych.

— Ruszaj z tym do rządcy.

Zwrócił się do Lasoty i dodał po francusku:

— Kazałem ich opłacić i odesłać na kolej. W karty grają, kiedy Kormoran chory!

Aleksander tymczasem obejrzał konia i rozpędził służbę po różne medykamenta.

Na głos jego w głębi stajni zarżała Flamma i poczęła grzebać nogą, targając linkę.

Poszedł do niej, objął za szyję i pieścił, a klacz położyła mu głowę na ramieniu i skubała za ubranie.

115

— Żeby ona kiedy do biegu stawiała, tobym się zakładał —

rzekł. — Wierzę w nią jak w swoją gwiazdę. Cóż, złoto, nie zapomniałeś o mnie?

— Co pan myśli?— zawołał Adam. — Na rok przyszły układa się wyścig dystansowy. Piętnaście mil.

— W jakim czasie?

— We wrześniu.

— Wziąłbym na niej nagrodę...

— Ależ pan nie zna tamtych koni!

— Ale ją znam.

— Ano, słowo?

— Słowo.

— Przypomnę panu. Cóż pan mówi o Kormoranie?

— Będzie zdrów za parę dni. Nie ma nic groźnego. Trzech ludzi niech bezustannie zmienia naparzania dniem i nocą.

Lekarstwo dać rano i wieczorem, i niech pan będzie dobrej myśli.

— Ja od razu mówiłem, że trzeba tak leczyć — ozwał się trener — ale pan Malcz zdecydował inaczej, i siedmnaście źrebiąt kaput.

Aleksander spojrział na niego ostro i rzekł:

— Moim zdaniem, jeśli: pan był pewny swego, nie należało ustąpić. Rywalizacje panów, a nie influenza, zabrały te źrebięta.

Trener zdumiał się, że mu ktoś śmie dawać napomnienie.

Poczerwieniał obrażony.

— Za pozwoleniem — zaczął i spojrział zuchwale na Aleksandra, ale ten mu zimno przerwał:

— Teraz kuracja jest w pańskich rękach, a zatem kwestia skończona. Dezynfekcja i wentylacja stajen jest dobra.

Trener zapomniał, co miał mówić, i panowie wyszli. Za drzwiami Lasota rzekł z cicha, śmiejąc się:

116

— Wreta szlag zabije. Ktoś się ośmielił go skrytykować!

— Przepraszam pana — zwrócił się Aleksander do Kalinowskiego.

— Owszem, dziękuję panu! To było słuszne. Ich wojna wiecznie mi przyczynia straty.

— Wygnać obu — zdecydował Lasota. — Masz dzisiaj doskonałą okazję.

— A jutro zostać z całym kramem na głowie, a potem dostać znowu podobnych. Poprawną tylko edycję. Malcz jest już piętnaście lat. Wret dziesięć. Ostatecznie do ruiny mnie jeszcze nie doprowadzili.

— No, ładnie byś śpiewał na Zborowie bez kapitałów!

— Ale ponieważ je mam i mogę żyć bez troski, po co mam trosk szukać?

W tej chwili w bramie ukazały się saneczki zaprzężone w parę srokatych kuców doskonałe dobranych.

— A to czyje? — spytał Kalinowski.

— Moje — odparł Aleksander.

— Chyba malowane. Pan ma szczęście i oko. Ależ po co je pan tu sprowadził? Wstąpi pan na chwilę do nas, a potem pana odwieziemy.



Aleksander się zawahał.

— No, no, bez narowów! — wtrącił Lasota. — Chodź pan, wypalimy cygaro i ogrzejemy kości.

Pociągnął go i weszli do pałacu.

Kalinowski wprowadził ich do swego gabinetu, podał cygara, zadzwonił o przekąskę.

— Odżyłem, gdy mnie pan co do Kormorana uspokoił.

Widział pan jego świadectwo?

— Winszuję! Będziemy tego mieli na godzinę — zawołał

Lasota ręce łamiąc. — A ja chciałem pogadać po ludzku.

Jakże wygląda pani Żarska? Mówił pan z nią? Nieprawda, że 117 śliczna?

— Byłem w kantorze, w interesie plantacji mniszewskiej.

Pani weszła wołając, że się nudzi sama w domu. Chciałem tedy odejść, ale mnie zatrzymała, kazała mężowi mnie przedstawić i po pół godziny już więcej wiedziała o mnie niż ja sam. Pomyślałem, że stworzona na spowiednika lub na sędziego śledczego.

— Był pan u nich w domu?

— Nie. Nie dla mnie takie stosunki.

— A jakież pan uprawia, jeśli wolno spytać?

— Żadnych. Ja wszędzie i zawsze jestem jak Robinson.

Nie mogę bywać tam, gdzie bym chciał, a gdzie bym mógł, tam nie chcę.

Lokaj wszedł i wywołał Kalinowskiego do macochy. Gdy zostali sami, Lasota rzekł:

— Nie trzeba przesadzać. Jeśli panu radzi, nie wypada się bocyć. W ten sposób nigdzie pan nie dojdzie.

— Może być, ale też i nie zstąpię we własnej godności.

Kalinowski wrócił i rzekł:

— Matka moja prosi pana do siebie.

Aleksander skoczył i poczerwieniał.

— Ależ ja jestem nie ubrany — wyjąkał.

— Matka wie, jakem pana porwał, ale ma interes i prosi.

Trzeba było iść pomimo krótkiej kurtki i butów.

Po chwili znalazł się w salonie, gdzie pani Kalinowską rozmawiała z proboszczem.

Przedstawiony, pocałował jej rękę, przywitał księdza i już wiedział, jaki jest interes.

— Tak się dobrze złożyło, że pan dziś tu jest. Właśnie mówiliśmy z proboszczem o koniecznej restauracji kościoła.

Pan podobno tę sprawę zagaił?

— Wielka pora, bo już dach dziurawy, tynk opadł i ściana 118

na absydzie się rysuje, nie mówiąc o astmatycznych organach i brudnych ścianach. Proboszcz na moją uwagę za głowę się porwał i powiedział, że to będzie kosztowało dziesięć tysięcy.

Ja pomyślałem, że na to i piętnastu nie wystarczy, więc bojąc się księdza jeszcze gorzej przerazić, umilkłem.

— Ale ja, mój drogi, myślałem i myślałem. Przypomniałeś mi obowiązek, wstyd mi było, i jak tylko kolator<sup>ka\*</sup>

przyjechała, zjawiłem się po ratunek

— I mnie pan też zawstydził. Proboszcz mi opowiada, że pan wiele rzeczy zaniedbanych słusznie wytyka. Brak domu dla kalek przy kościele i brak zajęcia dziećmi i ludem.

Prawda, prawda! Trzeba się do tego wziąć pilnie, złe naprawić. Ale kiedy pan złe widzi, niechże mi pan dopomoże zmienić. Pieniądze same nie wystarczą, trzeba administracji.

Ja na to nie mam możliwości ani czasu. Proszę o pański współudział.

— I ja też — wtrącił ksiądz. — Zaraz powiedziałem pani: trzeba mi pana Aleksandra z Mniszewa za syndyka. On się na wszystkim zna, wszystko zrobi, na wszystko znajdzie czas.

Opowiadałem już pani, jak mi matka pańska ślicznie ponaprawiała ornaty.

W tej chwili weszła hrabianka, ukłonił się jej z daleka.

Podąła mu rękę i rzekła:

— Byłam dzisiaj, na łyżwach aż pod Mniszewem. Pyszny tor. Tam u pana jakiś bajeczny połów na

stawie. Cała gromada chłopów w podziwiewie.

— Nie tyle z podziwu się zbiegli, ile zapewne w chęci złodziejstwa — odparł z uśmiechem.

Zwrócił się do pani.

— Jestem na rozkazy, o ile potrafię. Należy przede wszystkim zrobić kosztorys dachu i ścian. To miejscowi

\* kolator — osoba mająca prawo obsadzania urzędów kościelnych zwykle fundator kościoła lub spadkobierca fundatora.

119

rzemieślnicy robią. Co do wnętrza, składam berło. Na to trzeba artystów i znawców.

— Wnętrze ja biorę na siebie — rzekła hrabianka. —

Przyślę panu rzemieślników i malarzy z Warszawy.

— Co tylko w mojej mocy i wiadomości, tym służę.

— Dziękuję panu za uprzejmość. Bałam, się, że mi pan odmówi dla braku czasu i ksiądz proboszcz mnie nastraszył, że pan jest bardzo...

— Nieokrzesany i dziki — dokończył. — Kiedy zem proboszczowi co odmówił?

— Nie odmówiłeś, ale jesteś okropnie dumny, obraźliwy.

Ja bym ci nigdy i nie śmiał proponować.

— To mnie proboszcz nie poznał. Ja tylko odmawiam, gdy mnie chcą najać. Ale usłużyć każdemu gotowym. Czasu mam dosyć. Co dla mnie ten mały Mniszew? Zimą nie mam literalnie co robić.

— Jeśli pan jest na dorobku — wtrąciła hrabianka —

dłaczegóż pan nie chce spieniężyć swego czasu? W tym nie ma nic upokarzającego ani poniżającego.

— Dostałem takie cięgi za płątną pracę, że na samo wspomnienie cierpnę i drugiej próby nie chcę.

Adam Kalinowski i Lasota weszli już przebrani.

— Wiesz, Gizi, Kormoran będzie żył! — zawołał brat.

Ksiądz wstał i zaczął się żegnać. Aleksander skorzystał, by też z nim zemknąć, ale go powstrzymał Adam.

— Jedziemy razem. *Cest dit\** — szepnął.

Nie było rady, trzeba było się poddać losowi.

Gdy panowie wrócili z Mniszewa na obiad, Lasota zaczął

opowiadać z zachwytem hrabiance:

— Żeby pani teraz tę rudere zobaczyła, nie poznałem!

Budynki dźwignięte, inwentarz nieliczny wprawdzie, ale

\* C'est dit (fr.) — powiedziano

120

dobrze utrzymany, konie doskonałe, w domu holenderska czystość. Matka jego, typ matrony ze starego portretu, i dziewczynka, sierota, którą wychowują. Przepyszna będzie za lat pięć. Ubogo u nich, ale nic nie razi. Czuje się człowiek między swymi. Ale przywiozłem paniom na pokaz te sławne koronki. No i pokazywał mi rachunki. Ten człowiek dźwignąłby chyba nawet budżet zbankrutowanej Portugalii!

Słyszysz, Adamie, pamiętasz nasz zakład o niego? Zdaje mi się, żeś się spłukał, kochanku!

— Cóż robić? Może być. Poczekajmy, aż ci zapłaci za półtora roku szacunek. Chociaż wyznać trzeba, że masę zrobił przez te pół roku.

— Jakże jest z tym pokrewieństwem? Dowiedziałeś się czego w Warszawie? — spytała matka.

— Dowiedziałem się — mruknął Adam niechętnie.

— Prawda? Jest ci stryjecznym bratem?

— Ano, tak. Szambelan Owidzki znał jego rodziców.

— Zatem trzeba to uregulować. Nie wypada.

— Jakże ureguluję? Padnę mu w objęcia? Mam przeproszać? To się tak głupio złożyło, że teraz nie sposób poprawić. Zresztą on tego sam widocznie nie pragnie. Jest sztywny i nieprzystępny.

— Jak sobie chcesz, ale to tak nie powinno zostać, ja to jakoś wyglądzę.

— A ta sprawa z Wojewódkami?

— Ależ mój drogi — wtrąciła hrabianka — on nie kradł.

Może być zbójcą i mordercą, w to uwierzę, bo ma zuchwałą i gwałtowną twarz, ale złodziejem i kłamcą — nigdy. Żeby się zgodził, dziś bym mu oddała w zarząd wszystkie moje dobra.

— Ba, ażeby chciał! — rzekł Lasota. — Ale to człowiek szalony. On mi dzisiaj zupełnie serio

powiedział, że musi zostać magnatem, bo kocha księżniczkę i postanowił ją 121

zdobyć.

— Wcale bym się tej księżniczce nie dziwiła, żeby go przyjęła — odparła hrabianka.

Matka spojrzała na nią trochę zdziwiona, a Lasota się zaśmiał:

— Kiedy już nawet zyskał łaskę w oczach pani, to dokazał  
nie lada sztuki.

Ruszyła brwiami.

— Porównywał go z tysiącem innych, którzy rej wodzą w towarzystwie i uchodzą za dobre partie, i konstatuję, że wart dużo więcej.

Wstawano od stołu, gdy lokaj coś z cicha rzekł do Adama; ten się stropił i spytał:

— Doktor jest?

— Jest, ale kazał posłać po księdza.

— Co się stało? — spytała pani Kalinowska.

— Malcz dostał ataku paraliżu i podobno umiera. Wszyscy osłupieli. Malcz był wszystkim w Zborowie, możnowładcą w całym znaczeniu słowa.

Kalinowski ruszył zaraz do niego, równie prawie niespokojny jak o Kormorana; pani Kalinowska zaczęła biadać, co będzie, jeśli umrze.

— Jeszcze trzeba będzie tu zostać, a ja mam tyle zobowiązań w Warszawie!

— No, przecie; nie mogą panie opuścić karnawału.

— Nie opuścimy — rzekła spokojnie hrabianka. — Malcz się pewnie pokłócił znowu z Wretem; przystawią mu pijawki i pojutrze będzie zdrow. To nie pierwszy raz.

Zaczęto mówić o czym innym, ale Adam długo nie wracał, posłano lokaja po wiadomości.

Wrócił z oznajmieniem, że jest bardzo źle.

Około dziesiątej zjawił się wreszcie Adam, jak zwykle 122

zimny i sztywny.

— Umarł przed chwilą — rzekł spokojnie.

— I cóż teraz będzie? — zawołała pani Kalinowska.

— Ano, kazałem przynieść klucze i zapieczętować jego kancelarię. Niechże go tymczasem pochowają, potem trzeba szukać innego.

Popatrzył na Gizelę zupełnie spokojny, że ona za niego pomyśli i dobrze poradni.

Na trzeci dzień świąt niespodziewanie zjawili się znów w Mniszewie Adam Kalinowski i Lasota. Zastali zgiełk, ruch, dziedziniec pełen koni i obcych ludzi. Kalinowska wyszła do nich od gumien, resztę rozporządzeń dając Michałowi, który z włóczęgi stał się u Aleksandra dozorcą i zaufanym.

— Jarmark u pani — rzekł Lasota, a Adam już konie oglądał.

— Syn mi to przysłał z za Buga. Tylko przenocują, a jutro pójdą na granicę. Mają tam na nie czekać oficerowie austriaccy.

— Więc nie zastaliśmy pana Aleksandra?

— On po Mszy na pierwszy dzień świąt już tu nie wróci.

Pojechał za Bug po konie, a stamtąd miał na Podlasie wstąpić.

— Kiedyż go się pani spodziewa? Przecie jutro ma konie dostawić do granicy?

— O, to już ja załatwię z Michałem.

— Ależ to dla pani nie lada fatyga!

— Już mnie wprawił. On od jesieni wcale w domu nie bawi. Wciąż po świecie się kręci. Dorabia się chłopak ile sił, a my tu pikujemy Mniszewa. Jak kiedy na dni parę wpadnie, narzeka, że mu brak roboty, i znów zmyka. Panowie może wstąpią. Zostawił mi dla odesłania do księdza kosztorys reparacji kościoła. Panowie zapewne o to chcieli się

dowiedzieć?

— Proszę pani, ja bym tu parę klaczy sam kupił! — rzekł

Adam. — Jaka cena tej gniadej i tych dwóch kasztanowatych?

Kalinowska dobytek list z kieszeni, zajrzała do niego i rzekła:

— Po dwieście rubli.

— Płacę i biorę.

Weszli do domu i zasiedli w saloniku, gdzie na kominku palił się ogień, a u stołu zarzuconego książkami i gazetami siedziała Józia nad zeszytem arytmetycznych zadań. Józia nie była już podobna

do zahukanej sieroty z Kuhacza. Kwitła zdrowiem, wyrosła, ośmieliła się, patrzyła rezolutnie spod ciemnej grzywki i wcale nie zażenowana wizytą, zrobiła stylowy kniks podlotka i sprzątnęła swój zeszyt i osobę.

— Może paniencie pomóc w arytmetyce? — zaproponował

Lasota.

— Nie można. Obiecałam panu Aleksandrowi, że sama dam radę.

— On nie pozna.

— Oho! Zaraz się domyśli, jeśli błędów nie znajdzie.

— Ładną sama sobie robisz opinię — uśmiechnęła się Kalinowska. — Idź teraz i przygotuj herbatę dla panów.

Dziewczynka wyszła w podskokach i nucąc wzięła się do gospodarstwa.

— Oto jest ten kosztorys — rzekła Kalinowska podając arkusz zapisanego papieru.

— My tu jnny mamy interes do pana Aleksandra — zagaiał

Lasota. — Słyszała pani zapewne, że Malcz umarł.

— Słyszałam. Mój syn nawet mówił, że będą państwo mieli dużo kłopotu, zanim się dobry zastępca znajdzie.

— Kłopot już jest i okrutny — ozwał się Kalinowski. —

124

Nie ośmieliłbym się nigdy wystąpić z propozycją, ale mi pan Lasota dodał odwagi prosić pana Aleksandra, żeby choć trochę zechciał najrzeć na Zborów, zanim kogo znajdę.

Musimy po—Trzech Królach wyjechać do Warszawy.

Kalinowska milczała złowrogo, wreszcie rzekła:

— Powtórzę synowi pana propozycję.

— I dorzuci pani od siebie słowo zachęty — zawołał

Lasota.

— On teraz jest panem swojej woli i moim opiekunem.

Jeśli będzie chodziło o obywatelską przysługę, zrobi, co będzie mógł.

— Kiedyż można go się z powrotem spodziewać?

— Nie wiem. Przed świętami sprzedał sagi do fabryki, ma pieniądze, włożył je w te konie, pojutrze kupi może bydło, może znów kawał lasu. Albo ja wiem? Zresztą, może być jeszcze gorzej. Miał być w Kuhaczu. Ta sprawa nie daje mu spokoju.

— Wojewódzcy są w Warszawie. Nie zastanie ich zatem.

— Jeszcze więc krwi nie będzie — rzekła z cicha, z westchnieniem ulgi.

Józia wniosła herbatę na tacy, a Lasota wnet się z nią wdał w gawędę, ubawiony rezołutnością.

— Miała panna Józia choinkę?

— Nie jestem dziecko — obraziła się.

— Cóż panna Józia robiła w święta? Lekcyj nie było?

— Śpiewałam sobie kolędy i biegałam na łyżwach daleko, het, aż pod Zborów. Zresztą u nas zawsze robota jest przy gopodarstwie — dodała poważnie.

— Ma pani nie lada pomocnicę — zauważył.

— Niedługo już — odparła Kalinowska. — Od wakacyj pójdzie na pensję do Galicji, do klasztoru.

— I mniszką panna Józia zostanie?

125

— Nie. Wrócę tutaj.

— A nie straszno na myśl o pensji?

— To co, choć i straszno? Pan Aleksander tak chce, więc tak dobrze. Będę się dobrze uczyć i na wakacje po mnie przyjedzie.

— A boi się panna Józia swego opiekuna? Bardzo srogi?

Poczerwieniała i aby uniknąć odpowiedzi, porwała pustą filiżankę Adama i wybiegła.

Adam po ścianach się rozglądał i spytał, wskazując miniaturę jedną:

— Kto to jest?



— Mój mąż — odparła Kalinowska.

— Stanisław Kalinowski to był mój stryj. Dowiedziałem się o tym niedawno od szambelana Owidzkiego. Kalinowska milczała, a Lasota wtrącił:

— Tym bardziej mam nadzieję, że pan Aleksander krewnemu i sąsiadowi nie odmówi przysługi i nie da mu zrujnować majątku.

— To będzie dla niego względ najmniejszy — rzekła wreszcie Kalinowska. — Nie miał nigdy rodziny, więc i to poczucie w nim się nie rozwinęło. Jedną tylko uczynię uwagę. Jeśli pan chce, by przyjął, proszę mu nie proponować wynagrodzenia, bo wtedy stanowczo odmówi.

— Taka zgoda równa się odmowie!

— Uczyni pan, jak zechce — odparła zimno. — Przyślę go do Zborowa, jak tylko wróci.

Nie wymogli na niej nic więcej. Kalinowski był

rozgniewany wracając i burczał:

— Ten koncept nie udał się Gizeli. Naraziła mnie tylko na upokorzenie i fiasko. A mówiłem, że tak będzie. Kazała ofiarować dwieście rubli miesięcznie. Niechże sama spróbuje.

126

To samo powtórzył jej za powrotem i fukał dalej:

— Mam przyjmować łaski, kiedy mogę płacić. Ani myślę!

Napiszę do Wyszomirskiego, ten mi wynajdzie ekstrarzadcę za tę cenę. Albo wezmę Marońskiego i basta.

— Dlatego chcesz go mieć, że na własnym zbankrutował?

Doskonała kwalifikacja! W takim razie ja swoje folwarki wycofuję z głównego zarządu.

— J będziesz sama administrować? — wtrąciła oburzona matka. — A ja przy kim zostanę z moim Zajkowem?

— Mama zostanie ze mną. Ja dostanę Kalinowskiego.

— Może się założymy, że nie? — zawołał Adam.

— I owszem, założymy się!

— Pani, ostrożnie — zaśmiał się Lasota. — Kto wie, pani może jest królowną, którą on postanowił zdobyć, i powie cenę: rękę pani!

— Po pierwsze, że on tego nie powie. Po drugie, że mu jej nie dam; po trzecie, że go dostanę za wynagrodzeniem, o którym Adamowi mówiłam: dwieście rubli miesięcznie. Taki jest zakład.

— No, no, nie brak ci tupetu — mruknął Adam.

— Kiedyż wyjeżdżamy? — spytała pani.

— Nazajutrz po Trzech Królach, jak było postanowione.

Ale w tym jednym omyliła się hrabianka, f Aleksander nie wrócił, interesów rosła góra, Adam był chory z; gniewu i zmęczenia, pani Kalinowska stękała, Lasota się nudził, hrabianka traciła głowę wśród natłoku interesantów i musieli siedzieć w Zborowie.

Nareszcie dziesiątego stycznia o południu ukazały się przed gankiem srokaty kuce.

Aleksander kazał się oznajmić, a był ubrany po wizytowemu, wyświeżony, elegancki, do siebie niepodobny.

— Pan jedzie z Warszawy? — zawołał spojrzawszy nań 127

Lasota. — Zhulany, wyniszczony, mizerny. To się nazywa blaga. Matka opowiadaj że za Bugiem ma interesa. —

Uśmiechnął się.

— Jadę z Warszawy, wstąpiłem do domu, żeby się przebrać, bo mam dziś jeszcze być u barona Binstaina w Zabrańcach, ale mi matka kazała tu jechać, więc jestem.

— Matka nic panu nie mówiła? — spytał Adam, zdziwiony zmianą zaszłą w gościu. Był wesół, swobodny, jakiś zupełnie inny.

— Mówiła, że pan tu ma biedę z administracją po śmierci Malcza, że mnie potrzebuje do pomocy, zanim innego rządcę znajdzie.

— Cóż pan na to? — wtrącił Lasota.

— Odpowiedziałem, że nie mogę się tego podjąć, bo mnie lada dzień wsadzą do fortecy na czas jeszcze nie określony.

— Co to znaczy?

— Bom obydwóch Wojewódzkich ciężko postrzelał.

— Co? Pojedykował się pan?

— Już! Skończone! — odetchnął głęboko.

— Kiedyż to było?

— We czwartek ojciec, w piątek syn. W niedzielę wyjechałem.

Oto są protokoły.

Wyjął i podał Kaljnowskimu zwitek papierów, i rzekł z uśmiechem;

— Jako starszemu w rodzie składam.

— Jakże to było? Opowiadaj pan! — wołał Lasota.

— *Ab ovo\** zacznę. Przed świętami jeszcze doszły mnie wieść z Kuhacza, że pieniądze generałowej się znalazły.

Wyjeżdżając zapowiedziałem matce, że tam wstąpię, aby prawdy się dowiedzieć. Istotnie znalazły się te nieszczęsne

\* *Ab ovo* (łac.) — Od początku.

128

kapitały w oranżerii przy salonie, w zapaśnym jakimś lufcie.

Zmieniano tam piec i znaleźli murarze szkatułkę, do której szczury wygryzły otwór i założyły tam gniazdo. Podobno została z biletów sieczka i tyłki parę rulonów złota dostało się Wojewódzkim. Zebrałem tedy ludzi świadków, spisaliśmy o tym porządny dokument i pojechałem wprost do Warszawy, wezwawszy depeszą dwóch kolegów z Dublan. Stawili się i, poszliśmy we trzech do Wojewódzkich. Zaproponowałem staremu, żeby swe posądzenie cofnął i publicznie mnie przeprosił. Odpowiedział arogancko, iż dość mam na tym, że mnie sądownie nie prześladował. Spytałem zatem, czy dotychczas się nie przekonał o fałszu swych posądzeń. Na to wszedł syn i zuchwale odparł, że nie potrzebuje się przede mną tłumaczyć. Na tom spoliczkował młodego, a staremu rzuciłem w twarz przywiezione z Kuhacza zeznanie świadków. No i musieli się bić, bo koledzy byli znani im z towarzysztwa. Miody nadrabiał miną, ale stary omal nie umarł

ze strachu. Wiecem młodemu przestrzelił bok, a staremu tylko rękę. Zresztą, jak to było, stoi w protokole. Dałem zobowiązanie, że stawię się na wezwanie sądu i przyjechałem interesa załatwić.

— Kotwicz i Siennicki byli sekundantami młodego —

rzekł Adam zagłębiony w czytaniu.

— A pan nawet nie draśnięty? — spytał Lasota.

— Nie. Takem był rad, że nareszcie mam satysfakcję, że nawet tremy nie miał. Byłem pewny, że mi nic nie będzie.

— A po cóż pan teraz jedzie do Binstaina?

— Poznaliśmy się w wagonie. W tej Warszawie wszystko wiedzą. Bogowie skąd się dowiedział, że to ja, ten od pojedynków. Jechał z córką, przedstawił się, zapoznał ranie z panną Reginą i nawet nie dał mi wziąć poczty na stacji, ale dowiózł swoim powozem do końca szosy.

129

— Oho, a cóż było z panną Reginą?

Uśmiechnął się tylko i dyskretnie odpowiedział co innego.

— Zaproponował mi świetny interes. Chce mi oddać trzydzieści morgów przygotowanej roli pod buraki na wiosnę.

— I po tę rolę pan dzisiaj tam już leci. Ej, panie Aleksandrze! Tu Adam Kalinowski czytać skończył, wstał i wyciągnął do niego rękę.

— Sprawileś się tak *correct*, jak tylko można.. Winszuję i dziękuję ci, kuzynie!

Uścisnęli sobie prawice. Aleksander spowaźniał.

— Tylko niech pan mnie nie posądza o chęć narzucania się z pokrewieństwem. Nie byłem w życiu nikomu ubogim kuzynem, plamą w salonie, a «żeną»\* przy prezentacji i nic będę. Opowiedziałem, jak się rzeczy miały, i zmykam.

— Ale mnie pozwolisz za krewnego cię uważać?

— Jeśli będzie chodziło o jakąkolwiek usługę, zawsze będę gotów.

— No więc proszę do moich apartamentów. Zapijemy tę sprawę.

— Doprawdy, nie mogę dzisiaj. Obiecałem się w Zabrańcach.

— Straszeniu w rodzie należy przed Żydem pierwszeństwo.

— Ale tam jest panna Regina — zaśmiał się Lasota.

— I ta będzie cierpliwie czekać.

Pociągnął go za sobą, rozsiedli się w gabinecie, przyniesiono omszałą butelkę ze sławnych piwnic zborowskich i Adam pierwszy kieliszek wzniosł.

— Na twoją pomyślność, kuzynie.

Stuletni węgryzn rozszedł się ogniem po żyłach. Po nim przyszedł drugi i trzeci. Przy czwartym Lasota, który miał

najsłabszą głowę, zawołał: *Brüderschaft!* — Przy piątym sztywny Adam począł śpiewać fałszywie kuplety; przy szóstym Lasota wpadł na zwierzenia erotyczne, a Adam kłął

po angielsku, Aleksander się trzymał tego, ale mu oczy błyszczały i gwizdał pieśń Sokołów, siedząc konno na krześle.

Na to wszedł lokaj i oznajmił:

— Panna hrabianka prosi panów do salonu.

— W tej chwili służę — odparł Lasota, zerwał się, trafił na otomanę i tam pozostał.

— Powiedz pannie hrabiance, żem wyjechał do Małyń —

rzekł Adam.

— I ja także — wyszeptał Lasota. Aleksander wstał.

— A że ja się lękam także pojechać do Małyń, zmykam.

— Poczekaj, przeprowadzę cię — ofiarował się Adam, ale daremnie usiłował wstać, więc zaczął kłąć dalej; Zostawił ich tak Aleksander i wszedł do przedpokoju, gdy mu lokaj otworzył drzwi do salonu, a w progu ujrzał

hrabiankę.

— Ach, więc pan jest jeszcze! Proszę, mam do pana interes i prośbę.

Wszedł do salonu. Podniecony był, ale zupełnie przytomny, tylko śmiały bezmiernie. Zły moment wybrała hrabianka.

Gdy usiedli naprzeciw siebie, wskazała na świeże gazety.

— Czy to pan się tak pojedynkował po szalonemu?

— Tak jest. Czy to po szalonemu? Ja wszystko tak robię.

Nie mam czasu tyle co inni. Muszę z lat robić miesiące, a z dni godziny. Inaczej nie dopędzę tych, co mnie wyprzedzili w tym wyścigu o stanowisko. Muszę z ostatniego być pierwszym. Forsowny wyścig!

— Przecie na Mniszewie pan się tego nie dobije, to za 131

wolno, to za mało dla pana. Mógłby pan śmiało wziąć w zarząd moje dobra i Zajków mojej matki.

— Jeśli tym pani usłużę, z miłą chęcią.

— Dziękuję panu. Pozostaje tylko poznać panu te majątki.

— Chyba tylko księgi, bo majątki znam. Przez te pół roku, włócząc, się po okolicy, znam każdą granicę, pole, las, w zakresie mil dwunastu. Tylko zapewne będę w fortecy odbywał siewy wiosenne, więc na ten czas kto mnie zastąpi?

— Pomyślmy o tym w Warszawie. Ofiarowuję panu wzwyż serdecznego podziękowania dwieście rubli miesięcznie.

Roześmiał się.

— Ja zaś żadnego «wzwyż nie przyjmuję.

— Przecie pan nie przypuszcza, żebym podobną umowę mogła przyjąć! — odparła czerwieniąc się.

— Łaski nie potrzebuję.

— Ani ja — odparł hardo.

— Wynagrodzenie za pracę nie jest łaską.

— A usługa sąsiedzka nie jest płatną. Mam czas i możność, usłużę pani. Ale płatnym sługą być nawet u pani nie chcę.

— Dlaczegoż nawet u mnie?

— Dlatego, że względem pani jestem gotów do największych upokorzeń, do prośby nawet, czego względem nikogo nie uczynię.

— Zatem prawem dla pana jest fantazja. Bo nikt rozsądny nie odrzuca pieniędzy, gdy mu o nie chodzi.

— Myli się pani. Ja nie pieniądze odrzucam, ale stanowisko płatnego sługi. Rządcę pani znajdzie za pieniądze, ale mnie nikt pieniędzmi nie kupi.

— Tylko czym?

Było to bardzo śmiałe pytanie, a w nim grał węgrzyn 132

stuletni. Popatrzył też na nią tak, że zaniepokoiła się, ale odparł spokojnie:

— Mnie można kupić, jak pan Lasota, wiarą w mój honor.

— Więc u pana Lasoty służyłby pan nawet za pieniądze?

— On by mi tego nigdy nie zaproponował, ale gdyby potrzebował, powiedziałby: Słuchaj no,

obrzydli mi złodzieje i kram z gospodarstwem. Weź no to, proszę, na siebie, jeśli masz czas!

— Więc ja mam tak panu powiedzieć? I pan by to uważał

za stosowne?

— Jeśli pani czuje się w możności wywdzięczenia mi się kiedykolwiek, to i owszem. O cóż chodzi? Pani spieszno na karnawał, trafia się sąsiad obywatel, oddaje mu pani księgi i kram cały, i spokojnie może się pani bawić.

Roześmiała się, bo ją wobec jego humoru i niefrasobliwości gniew odszedł.

— Ależ ten sąsiad obywatel jest mi obcy najzupełniej!

Dlaczegoż ma mi służyć?

— Inni pani będą służyć do kotyliona lub mazura, a nikt nie spyta dlaczego? Ja też karnawał spędzę, służąc pani tutaj.

— Wolne żarty, ale już dosyć tego. Na serio, raz jeszcze pytam pana: zgoda na moją propozycję?

— Nie, pani.

— Choćbym się obraziła śmiertelnie?

— Nie boję się pani obrazy.

— Choćbym bardzo prosiła?

— Może pani rozkazać.

— Darmo?

— Darmo.

— A zatem wykreśliłam pana ze swojej przyjaźni.

Myślałam, że pan grzeczniejszy.

— A ja myślałem, że pani litościwsza.

133

— Pan mnie o nic nie prosił. To ja dostałam kosza.

Zamyślił się, zawahał i rzekł wreszcie:

— Czy pani bardzo o to chodzi, żeby mnie tu osadzić na swych dobrach?

— No, kiedy tyle pana o to proszę...

— Ha, ponieważ tedy, oprócz pieniędzy, nic pani nie ma, niech pani co miesiąc zapłaci dwieście rubli na ubogich, a ja idę na służbę. Tylko jeszcze o jedno poproszę. Jeśliby pani wychodziła za męża, da mi pani wiedzieć natychmiast, bo ja i dnia jednego wtedy nie zostanę. Teraz chyba jest pani rada?

Postawiła na swoim.

— To pan postawił na swoim. Jeszcze mi pan dyktuje warunki. No ale co mam robić? Jest pan tak do przeciętnych ludzi niepodobnym, że trudno pana zestawić z nimi! Ale mi tego nawet pan nie wytłumaczy, jak człowiek, żyjący fantazją, może się stać milionerem, o czym pan marzy.

— Milionerem? Ja? Nigdy! Ja magnatem będę, a to wcale co innego. Kiedyż obejmuję zarząd?

— Choćby zaraz, w tej chwili.

— Nie może być. Dzisiaj mam zajęte, jutro i pojutrze objadę folwarki i zlustрую, we czwartek zabiorę księgi.

Przystaje na to pani?

— Wolalabym prędzej, ale że pan do galanterii względem mnie się nie poczuwa, muszę czekać.

— Ładnie bym wyszedł na galanterii. Kazałaby mnie pani lokajom wyrzucić za drzwi.

— Kto wie? Galanteria pana byłaby może tak do przeciętnych niepodobna, żeby mi się podobała.

— Wątpię, bo inaczej nie rozumiem, jak skrócić kark komu lub sobie. —

— O, to mi jej pan nie świadczył! Zanadto średniowieczna.

Roześmieli się oboje, a on z tą samą żartobliwą brawurą 134

rzekł:

— Będę tedy *der fromme Knecht Fridolin\**. Niech pani bawi się bez troski. Dopilnuję tu pani dobra.

Wstał i uklonił się, jak zwykle z daleka. Podobało jej się to i uspokoiło, że ani zuchwałym, ani natrętnym nie jest.

Wyciągnęła rękę.

— Dziękuję panu! Zwracam przyjaźń i sympatię.

— Przyjmuję z wdzięcznością i postaram się już jej nie stracić — odparł z progu, składając ostatni ukłon.

Adam przy obiedzie dowiedział się o przegranym zakładzie. Miał *katzenjammer* i był w najgorszym



humorze.

— Mogłaś mu i Zborów wpakować — mruknął.

— Zlituj się, ja kładę veto! — obruszył się Lasota. — To jest narwaniec, gotów za Zborów drugie dwieście rubli ofiarować na dobroczynność, a wtedy kiedyż znajdzie czas dla siebie pracować!

— Moja Gizelo! — wtrąciła pani Kalinowska. — Czy to uczciwe, co wy z nim wyprawiacie? To bardzo lekkomyślna zabawa. Wyzyskujecie jego bujną naturę i zapalczywość. To się nie godzi.

— Toteż nie myślę długo tego czynić. Parę miesięcy, zanim kogoś mi nie zarekomendują. Zresztą, można mu to będzie nieznacznie wynagrodzić prezentem, tanią sprzedażą, dzierżawą na dogodnych warunkach, czymś podobnym. A przede wszystkim, Adasiu, tę sprawę pojedynkową trzeba, o ile możesz, załagodzić. Ale Adam był zły i głowa go bolała, więc odparł:

— Tobie służy, to ty swoich wpływów używaj. Ruszyła ramionami i zamilkła.

W środę odwiedzili Zborów Żarscy i naturalnie w rozmowie wspomniano sławne pojedynki, a Żarska

\* der fromme Knecht Fridolin (niem.) — pobożny pacholek (z ballady Fryderyka Schillera pt. „Der Gang nach dem Eisenhammer”) 135

zdecydowała po swojemu stanowczo:

— Powinniście go namówić na karnawał. Zrobi świetną partię, bo o nim tylko mówią. A tu bohater skapcanieje, bo się zagnieżdżył w Zabrańcach, i skończy na Reginie Binstein.

Wczoraj spotkaliśmy ich we dwoje w małych saneczkach, używali spaceru i wyglądali mocno sobą zajęci. A papa Binstein zaciera ręce na myśl koligacji ze Zborowem.

— Co to, to nie! — obruszył się Adam. — Jako starszy w rodzie, ja na to nie zezwolę.

— On się wcale nie będzie oglądał na twój protest —

zaśmiał się Lasota, a widząc, że Żarski rozmawia z panią domu, dodał:

— Pani powinna go wziąć w opiekę, gust sprostować.

— Za mało jestem pewna siebie, a on za piękny — odparła śmiejąc się swawolnie. — I ty, Gizelo, bądź ostrożna! Nie konferujcie za długo i za często nad księgami gospodarskimi!

— Nie strasz mnie bo gotowam kazać przegrodzić biuro kratą i sprawić sobie *duene\** — odparła równie wesoło hrabianka.

— A zatem wyjeżdżamy wszyscy w piątek. Ciekawam, czy Binsteinowie zostaną. To będzie znak złowrogi.

— Ostatecznie, nie on pierwszy będzie w szeregu

„naszych zięciów” — odparła Gizela. — A może poprawi ich opinię.

— Ja go jutro przyprę do muru i zdam pani relację — rzekł

Lasota pożerając oczyma swój dawny ideał. — Zamawiam się też do kotyliona na bal kostiumowy.

— Tego panu nie przyrzekam, bo znam pana akuratność.

Zagra się pan w klubie i o wszystkim zapomni.

— O wszystkim, tylko nie o pani.

— Błaga, i to pusta! Znamy się od dawna i znam pana

\* duena (hiszp.) — dama do towarzystwa, przyzwoitka.

136

roztargnienie, a że lubię tańczyć, nie zapiszę pana w karnecie! *Ni-ni-fini!*\*

— Pozostaje mi tylko samobójstwo! — westchnął

patetycznie Lasota.

— I baccarat\*. Pociesz się pan. Roześmieli się wszyscy, nawet poważny Żarski.

We czwartek po południu przyjechał Aleksander. Zastał

wszystkich w salonie, więc się zaraz do pani Kalinowskiej zwrócił, pytając, czy akceptuje kosztorys kościelny.

— Ależ naturalnie, a że pan był tak grzeczny i przyjął na siebie administrację Zajkowa, niech pan na to czerpie tam z kasy w miarę potrzeby. Doprawdy, nie wiem, jak dziękować panu za tyle uprzejmości.

— Jeszcze nie wiadomo, czy będę dobrze administrował i czy wart będę podzięk. To drobiazg, proszę pani. Państwo jutro wyjeżdżają?

— Ja chyba nie — rzekł posępnie Adam, — Nie mam komu zostawić Zborowa.

Aleksander się roześmiał.

— Niech się pan nie ceremoniuje! Zajrzę tu przejazdem; ani fatygi, ani czasu mi to nie zajmie i nie ma o czym mówić i certować się. Majątki pani już zwiedziłem — zwrócił się do hrabianki — i tylko wstąpiłem po rozkazy i księgi.

— Powiedz mi; — ozwał się Lasota, który pamiętał wypite *Brüderschaft*, bo go dotąd głowa bolała.  
— Kiedyś ty wśród tej lustracji folwarków znalazł czas na konkury z panną Reginą Binstein?

Aleksander się tylko roześmiał, wcale nie zaprzeczył. Pani Kalinowska wyszła, więc Adam śmiało rzekł:

— Mam nadzieję, że tego flirtu za daleko nie posuniesz.

— O to trzeba spytać panny Reginy. Nie lubię nikomu

\* Ni-ni-fini! (fr.) — Nie-nie, skończone!

\* baccarat — rodzaj gry w karty.

137

zabawy psuć.

— Mój drogi, to nie żarty. Jako starszy w rodzie, ostrzegani cię, że to nam się nie podoba.

Aleksander znowu się uśmiechnął.

— Ci państwo za tydzień wyjeżdżają — odparł

wymijająco i znowu do hrabianki się zwrócił:

— Siedem nowych budynków stawiają w pani folwarkach, owce padają na potęgę i w lasach jest kradzieży co niemiara.

Zresztą wszystko porządnie, tylko spichrze zawałone. Trzeba sprzedawać. Sprowadziłem z sobą kupców, czekają.

— Ano, to i ja pszenicę puszczę. Gdzie Żydy? — spytał

Adam.

— Kazałem im czekać na ganku kancelarii Malcza.

— Zatem chodźmy wszyscy tam — rzekła hrabianka.

Poszli i wrócili za ledwie na obiad. Aleksander klucz od kasy zawiesił u zegarka, Adam był rozpromieniony, bo się Zborowa pozbył i faszerował kuzyna tysiącem poleceń końskich. Gizela także przypominała jeszcze co chwila jakiś szczegół. Była bardzo ożywiona i uprzejma, ale Aleksander czuł zmianę w jej głosie i zachowaniu. Była sztywna i nienaturalna. Zasiadł raz pierwszy z równymi sobie. Było mu bardzo wesoło na duszy, tylko ziębił chłód sąsiadki. Nie wytrzymał i korzystając z żywszej ogólnej rozmowy spytał:

— Pani, ma jakąś nieprzyjemność?

— Nie przypominam sobie.

— Bo pani nieswoja.

— Zauważył pan? Istotnie zadziwiający ma pan umysł.

Wystarcza na wszystko czasu, nawet na studia towarzyskie.

Spojrzał na nią bystro.

— Żeby nie taka otchłań między nami, myślałbym, że pani właśnie ze mnie nierada.

Podniosła na niego wzrok obrażonej królowej. Spotkała 138

jego oczy zuchwałe, gorące, ale tak prosiące i jasne, że spuściła prędko swoje, zmarszczyła się tylko i odparła przez zęby:

— *Je déteste quon s'encanaille!*<sup>\*</sup>

— *Gott schuf die Rosen zum Brechen!*<sup>\*</sup> — zacytował z uśmiechem.

— W tym sprzeniewierza się pan swej oryginalności. To bardzo pospolita maksyma.

— Pospolita i naturalna. Mam chęć żyć i używać. Muszę też mą młodość i swobodę wyczerpać. Dotąd i to mi było niedostępne. A zresztą, chcę mieć z czego ofiarę zrobić mojej królowi i pani, gdy kiedyś ją sobie wybiorę. Teraz jestem wolny.

— Biedna królowna, której zostaną okruchy.

Wstawano od stołu i zaraz po czarnej kawie Aleksander zaczął się żegnać. Zatrzymywano go na wieczór.

— Matki po powrocie prawie nie widziałem — odparł.

— Należy i nam podziękować matce pana i przeprosić za zagrabienie syna. Jutro po drodze wstąpimy do Mniszewa —

rzekła uprzejmie pani Kalinowska.

Hrabianka podała mu ledwie końce palców i nie raczyła nawet spojrzeć...

Wracając do domu, Aleksander konie smagał i jak szalony jechał, a w duszy mu się burzyło.

Za niewolnika mnie chce mieć, okuć i spętać, żebym jej służył i za łaskę sobie miał, że raczy spojrzeć na proch pod stopami. Nie tak, piękna królowo! Ja ni żebrać, ni pełzać nie umiem! A wolę mam w garści! Już się nie zdradzę! Bądź

spokojna!

I prawie nienawidził jej w tej chwili.

Jednocześnie hrabianka rozmawiała z Adamem.

\* Je déteste... (fr.) — Nie cierpię, jeśli ktoś przestaje z hołotą.

\* Gott schuf (niem.) — Bóg stworzył! róże po to, by je zrywać.

139

Przyszedł do jej buduaru oznajmiając, że ma interes.

Rzuciła tedy czytaną książkę, rozłożyła się wygodnie w bujającym fotelu i czekała widocznie znudzona.

— Bardzo się zdziwisz, o co cię zapytam — rzekł

wahająco.

— Nie zdziwię się, bo wiem — odparła. — Pewnie Lasota się dowiaduje o moje względem niego zamiary. Powiedz mu, że nic z tego.

— Ostatnimi czasy byłaś dla niego bardzo łaskawa.

— Może być. Żebym miała zaślubić każdego, z kim się bawię, to chyba musiałabym zerwać z towarzystwem.

— Jeśli cię bawi Lasota, to dobrze! Niech dalej się stara.

— Już mi się znudził, jak inni. Zresztą teraz jestem w fazie mizantropii. Żeby oni byli wszyscy tak zabijająco nudno szablonowi. Zbrzydli mi jak obicie na ścianie. Jeśli jeszcze w tym karnawale nie poznam czego innego, wyjdę chyba za ciebie, z rozpaczy i nudy.

— Mocnom wdzięczny za zamiar i pochlebne pobudki.

Cóż tedy powiedzieć Lasocie?

— Nic, zaproponuj mu partię baka, to zapomni.

— Jak ty to serio traktujesz!

— Równie serio, jak i wy. Dobranoc. Jeszcze na tobie znać kuzynowskie libacje.

— Jak on będzie miał za sobą tyle wspomnień co ja, wtedy nas porównaj. Niech no odbędzie parę miejskich kampanij!

Gizela wzięła na powrót książkę do rąk i ruszyła pogardliwie ramionami.

— Powiększy sumę szablonów. Ma do tego nawet powołanie. Adam widząc, że jest w okropnym humorze, pożegnał się i wyszedł, i taką dał odpowiedź Lasocie:

— Miała atak grymasów. Nie warto z nią mówić. Jak się roztańczy, wtedy pogadamy.

140

Nazajutrz na rozstanie Aleksander i Gizela wypowiedzieli sobie otwartą wojnę. Było to w Mniszewie. Starsze panie rozmawiały o nędzy ludu, Lasota droczył się z Józia, Adam przeglądał jakieś heraldyczne papiery, hrabianka kazała sobie pokazać raz jeszcze owe znalezione koronki.

— Sprzedaj mi je pan — zaproponowała.

— Mogę je tylko ofiarować — odparł.

— Pan się zapomina, co i do kogo mówi — ostro rzekła.

— Przepraszam, jeślim uraził, ale przekonam panią, że koronki ofiaruję i przyjmą.

— O, nie wątpię! Zamiast sprzedać, woli pan nimi płacić.

— O, to się pani myli. Takimi koronkami się nie płaci.

Ofiaruję je mojej narzeczonej, nikomu innemu.

Spojrzała po ubogich meblach i pustych ścianach, i rzekła szyderczo:

— O, jakież to kuszące!

Krew w nim zakipiała, rzucił się, jakby policzek dostał, i chwilę tylko ciężko dyszał. Potem i on szyderczo się roześmiał i odparł:

— Za moją nędzę łatwiej szczęście dostanę niż pani za swe miliony.

I to było ich ostateczne pożegnanie.

Odtąd Aleksander wcale już w „Mniszewie nie bywał.

Literalnie żył na gościńcu, do dornu wpadał jak po ogień; zaczął też bywać w sąsiedztwach; zawiązywać stosunki, uczestniczyć w towarzyskich zebraniach. Co tydzień hrabianka i Adam otrzymywali raport z jego administracji, otrzymywał też listy z poleceniami, ale tylko od Adama.

Hrabianka nie raczyła osobiście pisywać.

Co miesiąc tylko otrzymywał kwit na dwieście rubli z Dobroczynności i czytał swe imię i nazwisko w *Kurierze* jako filantropa.

Wielki filantrop tymczasem nie miał często grosza przy duszy. Wziętą pożyczkę z towarzystwa odesłał natychmiast Lasocie, a każdy zarobek z handlu wkładał w Mniszew.

Rzucał się w szalone hazardy, ryzykował, sprzedawał, kupował, mieniał bezustannie. A czynił to z zuchwalstwem straceńca, bez strachu ani wahania, z jakąś ślepą wiarą w pomyślność, nigdy nie tracąc zapału i humoru.

W marcu z matką obrachował rezultat, okazało się, że z niczego prawie zarobił przez zimę trzy tysiące. Wtedy odetchnął i rzekł składając pióro:

— Teraz odpocznę! Mam wezwanie na sąd do Warszawy.

— Skażą cię! Cóż tu będzie bez ciebie?

— Zostawię mamie dwa tysiące pięćset na gospodarstwo.

Michałowi dam szczegółową dyspozycję. Administrację złożę w Warszawie, pięćset rubli przehulam i pójdę do ula.

Niech mi matunia tylko buraków dopilnuje.

— Wyglądasz, jakbyś był szczęśliwy i z tego, co cię czeka.

— Nie wiem, co mnie czeka, ale Warszawę rad zobaczę, a potem w areszcie będę czytał za wszystkie czasy. Żeby nie koza, to—bym się na śmierć zamęczył. Mama nie uważa, żebym zasłużył na wypoczynek?

Kalinowska musiała się i z takim poglądem pogodzić, a nie dał jej czasu na utyskiwanie i uwagi, bo zaraz zaczął zbierać się do drogi.

\* \* \*

Hrabianka Gizela uczestniczyła w Bazarze na Dobroczynność, sprzedawała kwiaty. W salach był tłok, jej sklep w oblężeniu, flirtowano na potęgę, złoto płynęło do kasy, gdy nagle ożywioną rozmowę z całą paczką znajomych 142

przerwał jej głos wesoly:

— Proszę o gwoździak pąsowy. Zwróciła się bezmiernie zdziwiona.

— Pan tu! Co się stało? — spytała oczom nie wierząc.

— Przyszedłem kwiat kupić — odparł swobodnie.

— Po to pan aż do Warszawy przyjechał?

Panowie z towarzystwa, satelici milionerki, oglądali badawczo obcego. Wieśniak był widocznie, bo opalony aż po czoło, i ktoś z „rodzonych”, bo ręce miał białe i starannie utrzymane. Chłop jak dąb, młody, piękny, ale zupełnie nieznan. Usunęli się też dyskretnie, tylko jeden pozostał: hrabia Kocio, sportsrnen i klubowiec, ostatni konkurent.

Oparł się o kontuar i czekał.

Hrabianka już odzyskała swobodę.; Zwróciła się do koszów z kwiatami, wybrała gwoździk i podała.

— Co się należy? — spytał.

— Sto! — odparła.

Dobył tęczową asygnatę i położył.

— Kopiejek! — dodała. — Nie ma pan drobnych?

— Myślałem, że sto rubli.

— Mogę przyjąć w imieniu biednych.

— Proszę... Warto będzie taki kwiat nosić.

— Dziękuję panu! Zatem teraz wraca pan do domu?

— Niestety, nie. Dziś ostatni dzień mojej swobody, jutro sprawa.

— Ach, prawda. Dawno pan przybył?

— Wczoraj.

— A zatem trzeba nam jechać do domu pana zastąpić.

Mama się zadesperuje. Mam nadzieję, że pan nas odwiedzi, chociażby z obowiązku?

— Byłem już dzisiaj w południe i służę na godzinę, którą pani raczy naznaczyć.

143

— O ósmej zatem, na obiad.

Zdało się jej, że nierad był godzinie, chociaż odparł:

— Będę służył.

— Zdaje mi się, że panu jakiś plan pomieszała?

— Cóż robić? Wspomniała pani obowiązek, rzecz święta.



Uśmiechnął się, a ją ten uśmiech rozgniewał, wywołał chęć zemsty natychmiast.

— O, niech się pan takimi względami nie krępuje. Adam odwiedzi pana dla interesów. Powiem mu to, gdy tu przyjdzie.

— Stanie się, jak pani postanowi — rzekł sztywnie.

Znowu byli wrogami.

Odszedł, a hrabia Kocio spytał:

— Kto to jest?

— Stryjeczny brat Adama.

— *Comment?\** Ten od pojedynków? — zawołał.

Gizela spojrzała dalej; w trzecim sklepie Regina Binstein miotła się sprzedając krawaty. Aleksander się tam zatrzymał

i pozostał.

— Rządca w naszych dobrach — dodała lekceważąco i zajęła się dalej targiem, ale wyglądała zmęczona i znudzona.

Fala ludzi zakryła Aleksandra.

Po godzinie zjawił się Adam, zrabowany przez panie, usiadł przy Gizeli i rzekł:

— Żadne opryszki tak nie obedrą, jak damy. Czy długo jeszcze tej karoty?\* Masz jeszcze grosz przy duszy, Kociu?

— Ani pół!

— No, zatem uczynili, co chcieli. Mogliby nas uwolnić.

— Idź, wyszukaj mamę. Ale, wiesz, Aleksander Kalinowski tu jest.

— On? Co się stało?

\* *Comment?* (fr.) — Co?; jak to?

\* karota — zbieranie datków, pieniędzy.

— Przyjechał na sąd wczoraj. Jutro sprawa.

— Gdzie mieszka?

— Nie spytałam, prawda! Ale go pewnie jeszcze tu znajdziesz. Zapewne niedaleko Reginy Binstein.

— Ano, idę na poszukiwanie i zabiorę go wprost do domu.

Można?

— Jak chcesz — odparła obojętnie, ale zaczęła natychmiast żywiej rozmawiać ze znajomymi, chętniej targować się o swój wonny towar.

Po dość długim oczekiwaniu z tłumu ukazała się pani Kalinowska pod eskortą Aleksandra i Adama. Zaczęto się zbierać do odwrotu, służbie pozostawiając resztki towaru i kłopot sprzątaniam. Adam przedstawił Aleksandra hrabiemu i wszyscy ruszyli ku wyjściu.

Hrabia wsadził panie do karety i pożegnał; młodzi ruszyli powozem Adama za damami.

— Jakże trening? Jest tam co obiecującego? — było pierwsze pytanie dziedzica Zborowa.

— Jest; Mont d'Or przepyszny!

— Nie może być? Żadnej na niego nie miałem nadziei.

Błede, zmęczone oczy Adama nabrały życia.

— Targuję. Ahaswera u Kocia. Pokażę ci go jutro, co powiesz. Już mówił mu „ty” bez ceremonii.

— Po Astarocie i Klepsydrze? Dobra marka!

— Znasz go? Skąd? —

— Nie, ałem studiował [studbook\\*](#) w Zborowie i brałem lekcje u Wreta.

— To dobrze! Ja ci resztę dopowiem! Szkapy to jeszcze jedna rzecz warta czegoś w życiu.

— Ba, żeby takie mieć, co by nigdy nie zawiodły.

— Kto w hazard gra, musi być i na klęskę przygotowany.

\* stud-book (ang.) — księga stadna.

145

Na to jest zimna krew.

— Żebym kiedy w życiu przegrał, tobym życie w tej chwili podkreślił i skończył. Nie warto żyć po klęsce. Zimnej krwi poskapła mi przyroda i nie starałem się wyrobić.

Niesmaczna mikstura.

— Ja przeciwnie, szczycę tym, że nigdy się nie zdradzę, co mi, jest przykre, co przyjemne, czego pragnę, czego nie chcę, co mnie cieszy, co mnie martwi. Nie drgnąłem ani się uśmiechnąłem, gdy Kormoran wziął derby w Moskwie, ani się skrzywiłem, gdy palnąłem w łeb Helladzie, jak złamała nogę na torze. A była to istota, którą kochałem najbardziej w życiu i straciłem na niej tego dnia dwadzieścia pięć tysięcy rubli. Wszystko trzeba znieść zimno.

Potakiwał smutno głową i spytał:

— Mont d'Or, mówisz, najlepszy! Zobaczę go za tydzień.

I oczy mu poweselały na sekundę.

— Czy i panie do Zborowa pojedą?

— Sądzę, że Gizela matkę namówi. Skarżyła się już w karnawale, że nudno, tym bardziej teraz.

— Pan Lasota się nie ożenił?

— Odmówiła — odparł Adam roztargniony, nie uważając, że zdradza rodzinną tajemnicę.

— Czy jest już kto na moje miejsce do zarządu? — spytał

znowu po chwili Aleksander.

— Nie — odparł Adam szczerze. — Przez czas twej kary zabawimy tam sami, a potem wrócisz. Gizela zachwycona jest raportami i mówiła, że kwestię pieniężną ureguluje z tobą na wiosnę, a ja kombinuję, że pracujesz w Zborowie dla siebie, boć po mnie to wszystko odziedziczysz, a tymczasem pensję Malcza składam w banku na twoje imię. W całem się o administratora nie starał.

Zanim Aleksander zdobył się na odpowiedź, powóz stanął

146

w Alejach Jerozolimskich; byli u celu. Kamienica należała do pani Kalinowskiej, zajmowali w niej pierwsze piętro.

W salonie znaleźli samą hrabiankę, Adam jej gościa zostawił i wyszedł. Gizela odpoczywała w fotelu, usiadł

naprzeciw niej Aleksander i nie odzywał się wcale, czekając, aż ona przemówi; przyglądał się obrazom na ścianach z miną sztucznie znudzoną.

— Czy poinformował pan już Adama o biegu sprawy? —

spytała wreszcie hrabianka niecierpliwie.

— Zostawiłem wszystko, o ile można, załatwione i mam ze sobą wskazówki i notatki potrzebne nadal.

— Ja się pytam o pana sprawę sądową?

— Ach, o moją sprawę? Nie, o tym nie mówiliśmy, bo to nikogo nie obchodzi. Rzecz prosta, będę skazany i odsiedzę w cytadeli rok najmniej.

— A tymczasem co tam będzie?

— Znajdą państwo innego administratora.

Syknęła niecierpliwie.

— Ależ ja się pytam o matkę pana i Mniszew!

Roześmiał się.

— Skądże mogłem przypuszczać, że pani o tym myśli?

Matka da sobie radę sama, od paru miesięcy już wcale jej nie pomagam., W razie jakiego nieszczęścia ksiądz mi obiecał

nią się zaopiekować.

— Więc my w niczym nie możemy być pomocni?

— Dziękuję pani.

Zmarszczyła brwi i sapnęła gniewnie.

— Zgubił już pan ten drogocenny gwoździć? — spytała po chwili ironicznie. — Zapewne kupując krawaty.

Spojrzał na klapę tużurka, zawahał się i odparł:

— Nie gubię nigdy drogocennych rzeczy. Mam ich bardzo mało.

147

— Jeśli pan w stosunku do tego zielska wszystko równie drogo płaci, zapewne zielników pan nie zbierze.

— Po to tylko sięgam, co bardzo drogie. Taniego bym nie tknął.

— Więc żebym ten gwoździć sprzedała panu za rubla, nie schowałby go pan? — spytała wyzywająco.

Chciała go zmusić do komplimentu, a potem spiorunować pogardą i lekceważeniem, ale on był uzbrojony i silny.

— Albożem go schował? Wcale nie twierdzę. Pani sprzedała mi kwiat, jam go ofiarował.

— Ach, tak! — odparła szyderczo. — I pan w handel go dał na Nalewki?

Krew mu uderzyła do oczu. Przecie rozdrażniła go: choć tyle triumfu, upokorzenie za upokorzenie. Wstał i stanął za krzesłem, cisnąc poręcz w rękach.

— Żeby pani była mężczyzną, toby jednego z nas jutro nie było na świecie. Policzkujecie mnie pani bezkarnie, bom bezbronny wobec pani. Bawi to panią. Ale teraz dosyć! Niech pani już nigdy więcej mego zuchwalstwa nie wywołuje, bo posłyszycie pani prawdę, ale nie tak, jak się pani tego spodziewa.

— Taak? — rzekła przeciągle. — To mnie właśnie interesuje i za następnym widzeniem podniosę rękawicę.

Tymczasem za policzkowanie ma pan.

Wyjęła zza paska wiązkę konwalij, wspomnienie z

[tomboli\\*](#), i podała mu.

Ten nagły zwrot zupełnie go oszołomił. Sekundę się zawahał, odurzony.

— Prawda, pan nie sięgnie, bo darmo! — dodała z uśmiechem, powstając, i urwawszy źdźbło jedno,, wsunęła mu w butonierkę, resztę zatknęła znowu za pasek.

\* tombola — zabawa połączona z loterią fantową.

148

Potem poszła do dzwonka i spytała wchodzącego lokaja:

— Pani jeszcze nie wróciła?

— Jeszcze nie.

— Posłałeś moją kartkę? Co pan hrabia odpowiedział?

— Że natychmiast służy.

— Jak tylko pani wróci, podawać obiad.

Lokaj wyszedł; usiadła na swym dawnym miejscu i mówiła, jakby wracając do przerwanej rozmowy.

— Jestem tak zmęczona dzisiejszą zabawą, jakbym ciężko pracowała. Mama wyrzuciła mnie przed bramą i pojechała do chorej kuzynki. Pojutrze czeka mnie raut na dobroczynność; w niedzielę mamy

zaproszenie do księżnej Fanny, ale to mi się okroi, bo w piątek wyjedziemy. W każdym razie na kwestę wielkanocną musimy przyjechać. Pewnie tam na wsi straszne błoto i bezdróż?

— Dosyć, żeby nie przyjechać, a za mało, by się utopić —

odparł równie jak ona swobodnie.

W tej chwili wszedł Adam zwróciła się do niego.

— Mój drogi, wypisałam sobie hrabiego Romana. Trzeba, żebyś go poprosił o protekcję w sądzie, on ich tam wszystkich zna.

— Prawda! Że mi to na myśl nie przyszło! Bądźże spokojny o swoją sprawę!

— Po co państwo mną sobie głowę zaprzatają? — odparł

Aleksander zmieszany.

— Cóż znowu? Interes rodzinny — rzekł Adam.

— I czysty egoizm. Im prędzej pan wróci, tym nam będzie spokojniej i wygodniej — dodała Gizela.

— Czego się dla interesu nie czyni! *Toutes les bassesses possibles*\*.

Miała znowu lekceważący, pogardliwy wyraz twarzy, a on snąć uznał się pobitym, słabym, bo zamiast odciąć się

\* *Toutes...* (fr.) — Wszystkie możliwe niegodziwości!

149

podobnie, głowę spuścił, bardzo nieszczęśliwy.

Tego wieczora, wracając do hotelu, błądził długo po ulicach, szedł bez celu, zamyślony i czynił z sobą ścisły rachunek.

Stało się. Pobije mnie, ilekroć zechce, opęta i uczyni, co jej będzie w danej chwili korzystne. Teraz nie dałbym za swą wolę i siłę arkusza starej gazety. Przepadłem.

A przecie wiem, kto ona. Rozpieszczona milionerka, zimna kokietka i znudzona szczęściem jedynaczka. Nie dba o mnie ani czuje sympatii. Potrzebny jej jestem na administratora, jest pewna swej potęgi i czaru, zdobycz trzymać będzie, bo jej z tym wygodnie, a jeślibym kiedy zapomniał dzielącej nas granicy wyrzuci mnie za drzwi. To jest doskonale obmyślony interes.

Ale dotąd byłem i ja pewny siebie, poddawałem się zabawie, jak silny człowiek daje się wyzyskiwać dziecku. Ale dziś uczułem raz pierwszy, co jest władza i co niewola.

Przepadłem ze szczętem, tym bardziej, żem się ze słabością zdradził. Jestem skazany na dożywotnią

niewolę. Trzeba choć pozory ratować, choć honoru nie utopić w tym opętaniu.

Dotąd walczyłem ostre na ostre, bom ją postanowił zdobyć.

Wysoko, daleko była, na szklanej górze, byłem w swoim żywiole. Teraz trzeba sobie jeszcze trudniejsze zadanie postawić, trzeba milczeć.

Staął nagle, podniecony tą myślą. Olek, rozumiesz, ty wariacie, trzeba milczeć! Będzie cię kokietować, milcz; będzie się pastwić, milcz; wyzyska cię i rzuci, milcz; każe ci służyć gachom, narzeczonemu, mężowi, milcz! Rozumiesz ty! To także coś warte, takie milczenie! Potrafisz?

Zdzierzysz? Decyduj się albo pal sobie w łeb, kiedyś tchórz!

Innego nie ma wyboru!

W łeb palić? A matka? Więc milczeć.

150

Chyba jeszcze masz nadzieję się wyzwolić, to uchodź!

Sam sobie odpowiadając, głową potrząsnął, a potem znowu szedł, szedł i nowym tym postanowieniem nabijał

sobie głowę.

— Będę milczeć, wytrzymam, może to jeszcze trudniejsze niż walka. Wytrzymam i zmilczę wyzysk i urąganie, pastwienie się i lekceważenie.

Aleć ja jej požądam jak szaleniec. Jak zmilczę kokieterię?

Jak nie dotrzymasz sam sobie słowa, pal w łeb, boś zdrajca, odpowiedziało w rozegzaltowanej duszy.

Ano, naturalnie, racja! Zakończył sprawę i był już zdecydowany.

Rozejrzał się przytomniej, zorientował, gdzie jest, i zawrócił do hotelu. Był znowu silny, bo wynalazł sobie zadanie warte zachodu...

W tydzień później, po wyroku, poddał się na cztery miesiące aresztowi. Miał wtedy czas przed sobą rozmyślać i postanowić, jak się do dzieła weźmie. Rozmyślał zaś o urzędowym, więziennym chlebie, bo pięćset rubli najsumiennie stracił w Warszawie, chociaż w listach upewniał matkę, że mu na niczym nie zbywa. Nikt też nie przerywał mu rozmyślań, bo nikt go nie odwiedził, tylko że pamiętano o nim, dowiedział się z ostatniego listu matki.

Pisała, że miała wizytę pań ze Zborowa, które bardzo uprzejmie dopytywały się o termin jego powrotu.

Zapewne był bardzo potrzebny do zniw nadchodzących.

151

## VII

Pewnego dnia, w końcu lipca, Adam Kalinowski przyszedł

na obiad niezwykle wesół i zaraz powód swego zadowolenia oznajmił damom.

— Możemy wyjeżdżać nareszcie. Aleksander pokutę skończył. Gizela podniosła głowę.

— Był u ciebie?

— Nie, ale go spotkał dzisiaj na drodze. Tydzień temu wrócił, swoje interesa urzędza, lata jak wściekły między Zabrańcami a Mniszewem. Chciałem go od dzisiaj zabrać, ale prosił jeszcze o tydzień, a potem zdejmie nam kłopot z głowy. Czy panie stanowczo jadą na Helgoland?

— Czy to już warto? — rzekła pani Kalinowska. — W

sierpniu musimy być na ślubie Izy w Krakowie.

— Jak panie chcą. Ja stanowczo jadę do Styrii i Węgier po konie.

— Cóż znowu pan Aleksander ma do czynienia w Zabrańcach? — spytała Gizela.

Adam ramionami ruszył.

— Ma tam podobno dużą plantację buraków. Napadłem i ja na niego, ale odparł, że przecie Binsteinysiedzą w Zakopanem. Chłop wysechł i szerniał, tylko mu oczy świecą. Wykręcał się jak węgorz od Zborowa, nastroczył

pięciu administratorów, ledwiem go uprosił.

— No ale jakże będzie z wynagrodzeniem? — rzekła pani Kalinowska. — Nie sposób przecie, aby nadal trwał ten dziwaczny układ z Dobroczyńnością.

— Ja mu składam pieniądze w banku. Z czasem się namysli i weźmie — rzekł Adam. — Zresztą jest moim dziedzicem, pracuje dla siebie.

152

— Aż się ożenisz.

— Dlaczego mam się żenić? — zachnął się.

— Mój drogi, wiesz, jak mi są przykre te twoje zasady tak samolubne i cyniczne. Robicie z siebie parę dziwaków!



Gizela, na przykład, odmawia hrabiego Kocia, ty robisz impertynencje księżnej Natalii. Staniecie się pośmiewiskiem całego towarzystwa.

Oboje młodych zniosło w milczeniu admonicję. Po chwili Adam rzekł:

— Powinna mama Aleksandra wyswatać. Ten będzie skłonniejszy do hyme nu\* i dla niego się zda dobra partia, panna Bujnicka na przykład.

— Czy on tu się wybiera z wizytą? — spytała Gizela.

— Owszem, mówił, że złoży paniom uszanowanie tymi dniami. Miał też Flammy spróbować do wrześnieowego wyścigu. Mamy już siedemnaście koni.

W trzy dni po tej rozmowie hrabianka wybrała się konno na spacer do jednego ze swych folwarków i mijając Mniszew spotkała małą Józię, wracającą pieszo z pola, z koszykiem w ręce i płaczącą.

— Czego Józia płacze? — spytała zatrzymując konia.

Dziewczynka zaczerwieniła się jak wiśnia i nasunęła na oczy kapelusz.

— Ja nie płaczę, tylko pani Kalinowska znowu się zmartwi, a pan Aleksander chyba naprawdę chory.

— Gdzież jest pan Aleksander?

— Już trzeci dzień przy startach za lasem. Trzeci dzień pani mu obiad posyła, a on ani tknie i jeszcze mnie dzisiaj zburczał, że w upał chodzę. A on cały dzień na tym skwarze i wreczorem ledwie herbatę przełknie. Co ja pani powiem, żeby nie zmartwić?

\* hymen — ślub

153

— Powiedz, że w Zborowie będzie na obiedzie.

— Kiedy nie będzie. Wczoraj mówił, że do Zborowa nie pojedzie, aż państwo wyjadą.

— To już nie twoja rzecz. Uspokój panią Kalinowska, że go w Zborowie nakarmią.

Trąciła konia i ruszyła w bok ścieżką ku lasowi.

Tam na mniszewskich złogach pszenica urodziła się przepyszna, pięć stert stało już gotowych, składano szóstą.

Ludzie się uwijali żwawo, a wśród nich konno stał

Aleksander, nagłąc i komenderując. Ujrzał ją, rzucił

papierosa i podjechał, z daleka uchylając czapki.

— Niespieszno panu nas odwiedzić — rzekła z widocznym nier zadowoleniem. — Należało to uczynić zaraz po powrocie.

— Chcę pokonać nagłą roboty, żeby potem być swobodniejszym. Zresztą myślałem, że już ktoś moją posadę zajął.

— I byłby pan temu bardzo rad. Posady honorowe nie są tak bardzo pojętne.

Była pewna, że wybuchnie, ale o dziwo on się tylko dziwnie uśmiechnął i odparł:

— Jaka bądź ma być, zajmuję ją od dziś za trzy dni i będę szczerze pracował.

— Jak to jaka bądź? Więc może pan przystanie nareszcie na wynagrodzenie dobrowolnie?

— Powiedziałem, jaka bądź ma być, odpowiadając na

„pojętą”. Wynagrodzenie przecie pobieram.

— Zapowiadam panu, że tak dalej nie będzie. Będzie pan pobierał pensję jak każdy administrator.

Znowu spojrzała na niego, gotowa do zuchwalstwa, ale on tylko poczerwieniał, zbladł i skłonił się w milczeniu.

Szarpnęła cugle i rozgniewana uderzyła prętem konia.

154

— Co to ma znaczyć? Nie poznaję pana! — zawołała.

— Siedziałem w więzieniu, nauczyłem się milczeć,

— Zdaje mi się, że pan zamierza mi imponować.

— Nie tylko zamierzam, ale i dokonam zamiaru.

— To znaczy?

— Że pani nie będzie miała ze mnie zabawki i nie wyprowadzi mnie już pani niczym ze spokoju i cierpliwości.

— Doprawdy? Może się założymy do jutra?

— Do jutra — odparł lekceważąco. — Za mała gra dla mnie. Ja się zakładam z panią o życie i na życie!

— O, to znowu dla mnie za długo i za wiele. Nie ręczę, czy będę pamiętała o panu aż do pojutra.

— Tym lepiej dla mnie. Moje postanowienie cierpliwości będzie łatwiejsze, gdy pani o mnie zapomni.

— Pan sobie tego życzy?

— Tak nisko i daleko jestem względem pani, że moich życzeń nigdy nie będę mógł wyrazić. Jestem i pozostanę *der Knecht Fridolin*.

— Zatem, wracając do prozy służby, niech pan tutaj robotą rozporządzi, bo pojedzie pan ze mną na obiad do Zborowa.

— W tym stroju? Dadzą mi jeść zatem w kuchni stajennych parobków — uśmiechnął się.

— Daję panu godzinę czasu na przebranie. Jadę do Izabelina; wracając, mam pana spotkać za młynem w Mniszewie. *Compris?*<sup>\*</sup>

— Wedle rozkazu — odparł przykładając rękę do czapki.

Gizela trąciła konia i odjechała. Minęła jeden i drugi folwark zborowski, i przekonała się, że wszędzie zboża były gorsze niż w Mniszewie, rola gorzej uprawiona, a buraki niedbale obrobione.

Na przyszły rok inaczej będzie, myślała. Zdobyliśmy

\* *Compris?* (fr.) — Zrozumiano?

155

najlepszego rządcę. Nie okradnie, a przez ambicję i swoje średniowieczne mrzonki będzie pracował za dziesięciu.

Zresztą nie jest niebezpieczny, a nawet zabawny. Ten przynajmniej nie jest do wszystkich podobny i żeby należał

do towarzystwa...

Urwała myśl i ruszyła ramionami.

*Enfin*, tak jeszcze lepiej. Można się zabawić bezkarnie, jak z lwem w kagańcu. Pyszny jest, gdy się nasroży i ryknie.

Zawróciła do Zborowa,, minęła Mniszew i młyn.

Aleksandra nie było nigdzie widać, ogarnął ją gniew. Czyżby się ośmiela jej rozkazu nie spełnić?

Pojechała dalej, śmiertelnie obrażona, była już o wiorstę od Zborowa, gdy posłyszała za sobą tętent szalonego galopa i Aleksander się z nią zrównał i osadził konia.

— Czy pan zawsze jest tak akuratywny względem dam? —

spytała.

— Zawsze, ilekroć matka sobie tego życzy — odparł. —

Myślałem, że pani dłużej będzie w Izabelinie.

— Spieszyłam na *rendez-vous* — rzekła ironicznie. —

Zresztą nic pocieszającego nie widzi się po tych folwarkach.

Mam nadzieję, że porządniej będzie na rok przyszedł, pod pana zarządem.

— Ha, no, o ile dam temu wszystkiemu rady.

Zapowiedziałem panu Kalinowskiemu i pani to samo powtórzę, że przede wszystkim będę się zajmował

Mniszewem i własnymi interesami.

— Jaka zmiana ról między nami! Toć pan teraz co słowo mnie obraża i wyzywa — roześmiała się.

Spojrzała na niego zmrużonymi oczyma i dodała:

— Tylko że pan gra komedię mnie już wiadomą.

Odrzucił hardo głowę.

— Gdy pani to mówi, to ja odpowiem. Owszem, niech 156

rzeczy będą jasne: pani komedia wiadoma, o ile ją pani ułożyła, ale nie, o ile ja ją wykonywam. Było tak: dokuczili pani złodzieje, rządcy, znalazł się po drodze chłop z szaloną głową, ale uczciwy i zdatny, odmówił panu Kalinowskiemu, pani o zakład poszła, żartując że pani nie odmówi. Z ludźmi niższej kondycji można przecie się zabawić bezkarnie.

Wygrała pani zakład, rządcą się znalazł, wszystko w porządku. I teraz ma pani rację, ja gram komedię. Wiadomo i mnie, i pani, dlaczego służę, i wolno pani ze mną się dalej bawić bezkarnie, póki stanie ochoty. Tylko pani niewiadomy koniec tej gry, gdy mnie się ona sprzykrzy i gdyby wtedy matki mojej nie było już na ziemi. Teraz powiedziałem wszystko, żeby pani nie pomyślała, że służę z jakąś nadzieją lub z interesu. Pierwszy raz w życiu hrabianka Gizela nie znalazła ni ciętej odpowiedzi, ni lekceważącego szyderstwa i chwilę milczała. Wreszcie roześmiała się dziwnie i rzekła: —

Uzbrajam się w cierpliwość znoszenia pana impertynencji.

Zapłaci mi pan drogo za nie w swoim czasie. *Un temps de galop, sil vous [plait!](#)\**

I ściągnęła cugle konia.

W tydzień później pałac zborowski stał pustką i Aleksander objął już Ina stałe zarząd wszystkich dóbr całej rodziny.

W sierpniu przyszły z Węgier konie kupione przez Adama, a pierwszych dni września on sam zjechał, cały zelektryzowany wyścigiem dystansowym. Przybyło z nim kilku sportsmenów i Lasota: Pałac się zaludnił, a że dam nie było, młodzież spędzała czas bardzo szumnie i swobodnie.

Grano po nocach w karty, pito dużo przy obiedzie, dnie spędzano w stajni lub konno.

Adam po sto razy na dobę odrywał Aleksandra od zajęci

\* Un temps... (fr.) — Galopem, proszę!

157

nawykł wyręczać się nim we wszystkich sprawach, każde rozporządzenie, kłopot lub kwestię zdając na jego głowę.

Lasota grał grubo i szczęśliwie, był w wyśmienitym humorze i robił szalone zakłady.

Nareszcie na trzy dni przed wyścigiem zatelegrafowały panie o konie, zapowiadając, że wiozą gości z Galicji.

Zamęt tego dnia panował nie do opisania, a że przy tym trzy lokomobile młóciły po folwarkach i zaczynało się kopanie buraków,

Aleksander był przeforsowany robotą i w najgorszym humorze.

Adam odesłał mu depeszę w pole, aby zbyć fatygę rozporządzenia powozów, i dalej debatował o godzinie startu, a w ślad za depeszą przybył na pole Lasota konno, na gawędkę, bo panowie w zapale wyścigu zapomnieli o kartach.

— Ciekawym, czy Tekeny zjawi się razem z paniami? Ten chyba dobije targu — rzekł Lasota.

— Co za Tekeny znowu? — burknął Aleksander.

— Ano, właściciel Alanki, na którą jest dotychczas najwięcej zakładów, i ostatni konkurent. Jakże, zobaczywszy konie i jeźdźców, masz wiarę w swoją klacz? Ja się boję trochę trzymać za tobą, boś za wielki, *respective*\* za ciężki.

Aleksander ramionami ruszył.

— Nie myślę, abym przegrał tak mało. Tekeny może zdobędzie hrabiankę, ale mojej klaczy jego szkapa nie weźmie na dystans.

— Adam stawia na ciebie. Zaryzykuję i ja tysiąc rubli przeciw Żarskiemu. Ale, *à propos*, moglibyśmy dziś wieczorem pojechać do Żarskich.

— Ja? — zdumiał się Aleksander. — A toć mam dzisiaj

\* respective (ang.) — tu: a więc odpowiednio

158

roboty w kasie do północy.

— Projektujemy wszyscy całą bandą jutro wyjechać na spotkanie pań. Będzie to próba koni.

— Adam pojedzie na Flammie. Ja nie mam czasu.

— A wiesz jeszcze jedną rzecz? Przywozi z sobą pani Kalinowska swoją kuzynkę, Bujnicką z Galicji. Jedną z siedmiu wprowadzie, ale to partia dla bardzo dobrych aliansów. Otóż, tylko mnie nie zdradz, to dla ciebie ją tutaj wiozą. Cały plan ukartowany. Pani Kalinowska chce cię ożenić i oddać w dzierżawę Wolice, pozostawiając zawsze administrację reszty dóbr. Cóż ty na to?

— Jeszcze panny Bujnickiej nie widziałem, na dzierżawę nie mam środków, a o małżeństwie dotąd nie myślę. Zresztą mam nadzieję, że jeśli hrabianka przyjmie tego nowego kandydata, pani KaHnowska zajmie się wyprawą i o mnie zapomni. Któż jest ten Tekeny?

— Magnat, bardzo elegancki, ma doskonałe konie i pysznie tańczy czardasza. Czyś ty już wysłał konie do kolei?

— Wracam do Zborowa i wydám rozporządzenie.

— Pozwolisz mi skrócić do Mniszewa i wziąć twoje kuce do Żarskich? Nie będzie gry dzisiaj, nie ma po co w Zborowie siedzieć.

Rozjechali się tedy. Aleksander wysłał powóz i wolant, i wedle zamiaru siedział w kasie do późna, i ledwie nad ranem zasnął na parę godzin.

Obudziło go trącenie energiczne w ramię. Stał nad nim Adam, ubrany do konia.

— Wstawajże! Czas jechać!

— Przecie ty masz jechać na Flammie. Ledwie zasnąłem, daj mi spokój. Obejdzie się beze mnie.

— To nie wypada. Mamy się zaprezentować w komplecie.

Gizela koniecznie tego chciała.

159

— Ręczę, że mego braku nie spostrzeże, a muszę zasnąć koniecznie parę godzin, żebym do wyścigu był przytomny.

Obrócił się (do ściany i zasnął, czy udawał sen.

Panowie pojechali, kawalkada była przepyszna, ale Gizela przecie zauważyła nieobecność Aleksandra i po przywitaniach, gdy powozy ruszyły, otoczone jeźdźcami, spytała Adama:

— Cóż to? Zmiana? Ty jedziesz na Flammie?

— Aleksander miał jechać; ale zasnął i zlenił się. Nie mogłem go z łóżka wyciągnąć. Ale do wyścigu stanie.

Hrabianka złowieszczo zmarszczyła brwi i zaczęła bardzo uprzejmie rozmawiać z Tekenym, który jechał z paniami w powozie.

Niedaleko Zborowa, na polach mniszewskich, zobaczyła wreszcie Aleksandra Lokomobila młóciła pszenne sterty, a on stał konno, wydając rozporządzenia Michałowi. Nie obejrzał

się nawet na jadących ani się ukłonił, ledwie parę minut się zatrzymał i klusem dalej pojechał, w przeciwną stronę.

— Patrz no, Giziu! — rzekła pani Kalinowska. — To, zdaje mi się, pan Aleksander, tam, pod lasem.

— Może być. Pilnuje młócki. Ciekawam, czemu to dotąd u nas nie zaczął kopać buraków? Całe łąny nietknięte.

Lasota, który najbliżej jechał powozu, odparł:

— Mówił mi wczoraj, że ma trzecią część wybraną.

— W Mniszewie zapewne. Taki rządcą, a zarazem właściciel własnego folwarku, zawsze ma u siebie wszystko pierwszej zrobione.

Lasota spojrział na hrabiankę i złośliwie się uśmiechnął.

— Nia powiedziałyby mu tego pani.

— Owszem, będzie to pierwsza rzecz, co powiem.

— Chyba pani ma już na jutro zastępcę?

— O, nie! I on wcale za służbę nie podziękuje. Dbą o nią 160

więcej, niż się zdaje.

— Taak? — rzekł Lasota przeciągle.

— Tak, bo rachuje na dziedzictwo po Adamie i Adama nie zechce obrazić.

Lasota popatrzył znowu na hrabiankę, długo, złośliwie i rzekł:

— *Tiens, tiens!*\*

— Może mi pan raczy wytłumaczyć to *tiens, tiens* —

zawołała z brwią zmarszczoną, wyzywająca.

— Owszem, ale nie w tej chwili — odparł nie przestając się uśmiechać.

Kawalkada wjeżdżała w bramę zborowską.

Wypróżniły się powozy. Oprócz pań domowych przybyła panna Bujnicka, szczupła, anemiczna blondynka, z ojcem; pani hrabina Natalia, ciotka Tekenego, młoda, fertyczna wdowa, i pani Pomorska z mężem, młode małżeństwo, krewni pani Kalinowskiej z Galicji.

Zapełnił się pałac i po paru godzinach całe towarzystwo poszło do stajen i tam się rozpierzchno.

Adam oprowadzał hrabinę Natalię i pannę Bujnicka, zanudzając je genealogią koni; Wert tłumaczył to samo. Przez chwilę hrabianka i Lasota zostali sami.

— Może pan teraz raczy swe ironiczne uśmiechy i półsłówka wytłumaczyć! — rzekła gniewnie.

— Pani koniecznie chce? Będzie to nieprzyjemnie, że się pani zdradziła.

— Z czym?

— Ze swą dużą sympatią bez wzajemności.

— Do rządcy! *Cest le comble!*\* — roześmiała się. — Jakże pan domyślny! *Je l'adore\**, a on jeden nie ma oczu dla mnie.

\* *Tiens, tiens!* (fr.) Patrzcie! Patrzcie!

\* *Cest le comble!* (fr.) — To szczyt wszystkiego

\* *Je l'adore* (fr.) — Uwielbiam go

161

Zakochałam się w oficjaliście i gdyby raczył mnie chcieć, gotowam mu oddać serce i rękę. Tak, zdradziłam się, nie będę dalej ukrywać miłości wobec pana i zaraz usłyszysz pan *ma declaration\**.

Skinęła na stajennego chłopca.

— Idź, zawołaj no do mnie rządcę!



Chłopak pobiegł ku oficynom, a oni stanęli w progu stajen, przyglądając się Kormoranowi, którego Adam kazał

wyprowadzić. Panna Bujnicka przysunęła się ku nim i szepnęła nieśmiało:

— Czy to najpiękniejszy koń? Dlaczego on taki chudy i cienki? Czy to ładnie?

— Niechże pani z tym się nie wyrwie przy Adamie Kalinow—skim, bo go szlag ubije! — roześmiał się Lasota.

— To syn Grand Ovena czy coś podobnego.

— O, ja wszystkie chwałę po kolei, bo żadnego bym nie rozpoznała. Naprawdę, tak się koni boję, że jestem półżywa ze strachu. Tam w kacie stoi jakiś żółty strasznie zły.

— Chryste! Żółty koń! — parsknęła śmiechem Gizela. —

Żeby to Adam posłyszał! To jego ukochana Flamma, żółty koń! Iziu, ty znasz się tylko na odcieniach jedwabi!

— Nie mogę sobie przedstawić pani jako żony sportsmena

— rzekł i Tasota.

— Niech mnie Bóg broni! Umarłabym ze strachu.

— Albo on z rozpaczy!

Od oficyn szedł Aleksander powoli, nie kwapiąc się. Tylko co z konia zsiadł, zakurzony, w długich butach i zmiętej czapce. Prętem obijał liście z krzewów i gwizdał przez zęby, gładząc drugą ręką łaszczącą się doń Wartę, wyzlicę.

O kilkanaście kroków przed stajnią przestał gwizdać i pręt wsunął w cholewę.

\* ma declaration (fr.) — moje oświadczenie

162

Adam go spostrzegł i zawołał:

— Posłałeś na kolej po paki?

— Posłałem — odparł uchylając czapki i stanął przed hrabianką.

— Czy to pan dysponował powozy? — spytała, ledwo skinąwszy głową.

— Ja.

— Niechże pan na drugi raz raczy pamiętać, żeśmy nie śledzie, i każe obejrzeć, co posyła. W wolancie jedno koło skrzypi, a w powozie drzwiczki się nie zamykają. Zapewne pan nieczęsto zagląda do wozowni?

— Nawet wcale nie zaglądałam, bo nie mam na to czasu.

— Zapewne nie ma pan też czasu pomyśleć o kopaniu buraków, tylko w Mniszewie.

Bujnicka spojrzała przerażona na nią, potem na Aleksandra i usunęła się o kilka kroków. Lasota, bardzo zajęty, słuchał, co dalej będzie. Na twarzy Aleksandra ściągnęły się muskuły.

— Czy pani ma mi co do rozkazania, poza tym — spytał

głucho.

— Mam polecenie, żeby pan się raczył zająć trochę staranniej swoim obowiązkiem u nas, a mniej myślał nad stworzeniem z Mniszewa *ferme modele\**.

— Postaram się — odparł uchylając na pożegnanie czapki.

I odszedł, a Bujnicka szepnęła wystraszona:

— Jak ty go okropnie traktujesz! Ja bym się nigdy nie ośmieliła.

— Jakże być może? Taki pan musi czuć, że jest subalternem\*, bo inaczej w głowach im się przewraca.

— Ale to przecie kuzyn wasz?

— Chociażby, ale jest płatny, więc mam prawo wymagać pracy!

\* *ferme modele* (fr.) — wzorcowe gospodarstwo rolne.

\* *subaltern* — podwładny.

163

— Biedny — szepnęła cichutko panna Bujnicka i serce jej zabiło o tego sponiewieranego.

Wracając do domu na obiad, hrabianka zwróciła się do Lasoty i rzekła:

— Przestał pan uśmiechać się dwuznacznie.

— Tak, bo jestem cały przejęty wdzięcznością dla losu, że nie na mnie padł wybór pani. Wolę już kosza, którego dostał, niż pani okrucieństwo.

Ruszyła ramionami.

— Wobec tego nie warto mówić więcej o tym przedmiocie. Zostawiam panu swobodę mrzonek.

I odeszła ze złą zmarszczką na czole.

Na chwilę przed obiadem przyszedł Aleksander, wyświeżony i przebrany. Adam przedstawi go gościom, a pani Kalinowska zatrzymała przy swym fotelu, rozmawiając uprzejmie.

Gdy lokaje otworzyli drzwi jadalni, szepnęła:

— Podaj pan ramię panie Bujnickiej i staraj się być przyjemnym towarzyszem. Miluchna dziewczeczka.

U stołu znalazł się Aleksander naprzeciw hrabianki, która bawiła się doskonale z Tekenym.

Śmiech jej zalotny i francuskie słowa słyszał wyraźnie.

Flirtowała ostro i piła więcej niż zwykle wina. Ani razu nie spojrzała w jego stronę, on także oczu na nią nie podniósł, rozmawiając bardzo uprzejmie z panią Bujnicką. Znaleźli zaraz wspólnych znajomych, gdyż jej brat był w Dublinach jednocześnie z Aleksandrem, a drugi kolega, Sochowicz, osiadł w ich sąsiedztwie i bywał w ich domu. Mówili potem o stosunkach galicyjskich, o ludzie i Żydach, wreszcie przeszli do osobistych spraw i opowiedział jej szczerze swe dzieje, dobrodziejstwo Lasoty, nabycie Mniszewa, mówił o matce, wspomniał Józię i zamiar, żeby ją do Jazłowa odwieźć na lat 164

parę.

Tedy zajęła się szczerze tą sprawą, bo miała ciotkę zakonnica; obiecała napisać do niej, zapewnić miejsce w pensjonacie, i gdy obiad się skończył, byli najlepszymi przyjaciółmi, jakby się od dawna znali. W salonie usiedli obok siebie i ona zaczęła mu opowiadać swoje troski i uciechy. Lubiła wieś, życie domowe, posiadała i kochała muzykę, uczyła się malarstwa, umiała wypalać na drzewie i malować na atłasie, bawiła się tym doskonale.

Teraz niedawno dostała od pani Kalinowskiej aparat fotograficzny i to była ostatnia namiętność.

— Przywiozłam go z sobą i będę od jutra wszystko tu fotografować. Cały album mieć będę z tej wycieczki i wyścigu. Śliczne tu— położenie.

— Niechże pani mnie weźmie za cicerona\* do pięknych widoków tutejszych, bo chyba najlepiej znam okolicę. Dwa szczególnie powinna pani uwiecznić. Jeziorko na wysokiej górze za Malicami i debrę w zborowskim lesie, no i ruiny na wyspie.

— Ach, dobrze! Namówię Pomorskich, którzy lubią spacerować, i pan nas poprowadzi. Ale kiedy?

— Jutro, bo pojutrze wyścig.

— I pan należy do wyścigu? Pan wygra.

— Pani tak „pewna? Dlaczego?

— Zobaczy pan, że tak będzie. Dostanie pan ten śliczny puchar, który Gizela przywiozła z Wiednia.

— Jak w balladzie — uśmiechnął się i zacytował: *Wer wagt es, Rittersmarm oder Knapp...*\*

\* cicerone (wł.) — przewodnik

\* Wer wagt es... (niem.) —

„Kto się odważy w wodne iść gardziele

Po ten bezcenny, złoty puchar mój,

Rycerz czy giermek, jeśli w śmiałym dziele

Skończy zwycięsko z elementem bój,

165

Z daleka, z prezydialnego fotelu, pani Kalinowska patrzyła ku nim z widocznym zadowoleniem.

Hrabina Natalia spojrzała też raz i drugi, i rzekła do Gizeli żartobliwie:

— Panna Bujnicka ma dobre oko i gust. Wybrała sobie najprzystojniejszego kawalera i bawi się doskonale. Ten jeden nie cierpi widocznie na bzika, bo reszta, *ils sont assomantst.*\* Obyź prędzej ta sztuka się odegrała i oni przyszli do przytomności.

Gizela spojrzała w ich stronę. Aleksander się uśmiechał

rozmawiając żywo.

— Nasz rządca rozsiadł się widocznie na cały wieczór —

rzekła obojętnie.

Panowie wrócili do salonu po cygarach i gwaro się zrobiło. Hrabina siadła do fortepianu, Pomorski z Bujnickim do partii szachów, Lasota zabawiał Pomorską, hrabianka z Tekenym przechadzali się po salonie.

Nagle zatrzymali się przed Aleksandrem i Gizela rzekła:

— Pan Tekeny ma pilną depezę do wysłania. Proszę pana to załatwić jak najprędzej.

Aleksander drgnął jakby ze snu obudzony, i wstał.

— Owszem, proszę o depezę, wyślę natychmiast — rzekł.

— Ależ, przepraszam pana — odparł Tekeny — nie śmiałbym pana tym utrudzać.

— Spodziewam się. Rozkazuje mi moja pani, więc spełniam. Proszę o depeszę.

— Kiedy pan tak uprzejmy, to proszę przynieść pióro i papier.

Klnę się, że weźmie dar królewski za to:

Ten złoty puchar będzie mu zapłatą”.

Fryderyk Schiller: „Nurek”,

przeł. Stanisław Maykowski, W-wa, 1985

\* ils sont assomants (fr.) — są potwornie nudni.

166

— Cóż znowu! — zaprotestował Tekeny. — Pójdziemy z panem do gabinetu pana Adama.

Wyszli; hrabianka zwróciła się do panny Bujnickiej.

— Jakże się bawisz? Pewnie cię bawi rozmową o fernalce, nawozach i burakach?

— Ależ nie! Bardzo przyjemnie rozmawiamy.

— O czymże innym taki rządca może mówić?

— Z tobą, naturalnie, bo go tak traktujesz, ale on jest tak wykształcony i czytany jak mało kto.

— Chcę wierzyć — zakończyła hrabianka ironicznie.

— Moja Giziu, kiedy go tak nie cierpisz, po co trzymasz?

Toć ani jemu, ani tobie niemiłe.

— Trzymamy go, bo możemy jeszcze na gorszego trafić.

Zresztą Adam ma słabość do niego, a on trudny jest do wyrzucenia, jak uważasz. Nie jest obraźliwy ani domyślny.

— Mnie się zdaje, że go nie znasz i źle sądzisz.

— A tyś tak prędko poznała? — roześmiała się ironicznie Gizela. Panna Bujnicka zarumieniła się, ale w tej chwili wrócił Tekeny

i rozmowa się przerwała.

Aleksander nie pokazał się więcej w pałacu, siedział nad rachunkami w biurze, gdy około jedenastej wpadł do niego Lasota.

— Mój drogi! Nie masz przy sobie tysiąca rubli? — spytał nerwowym tonem.

— Mam. Sprzedałem przecie pszenicę.

— To mi je daj do jutra. Zgrałem się. Uspokojony usiadł i rzekł ziewając.

— Nie będę więcej grał, pogawędzimy. Ależ hrabianka ma miluchny humorek. Za co ona ciebie potraktowała jak psa i to przy Bujnickiej? Kobieta, jak zła, żadnego nie ma taktu.

Aleksander podał mu tysiąc rubli, potem księgi złożył, 167 zapalił papierosa i wyciągnął się wygodnie w fotelu.

— Nie uważam, aby mnie dzisiaj traktowała inaczej niż zwykle — odparł zamyślony.

— A to ci wieszuję przyjemności — roześmiał się Lasota.

— Można do wszystkiego przywyknąć. Rzadko ją widuję

— rzucił obojętnie Aleksander.

— Wiesz, co ja przypuszczam? Że ona się kocha w tobie.

Powiedział to prędko, niespodziewanie, i spojrzał, jakie wrażenie zdradzi twarz Aleksandra, ale nie dostrzegł

żadnego.

— Nie myślałem nigdy o tym ani będę myślał — odparł

widocznie czymś innym zajęty.

— Właśnie dlatego pastwi się nad tobą. Żebyś ty się zakochał i jej to okazał, przestałaby dbać i zapomniałaby o twym istnieniu. Cóż, jakże ci się podoba Bujnicka?

— Bardzo.

— Ożenisz się?

— Nie, za nic. Cóż to dla mnie za koniec kariery? Pobrała się bieda z nędzą i będą pchać taczkę pod górę, krok na rok; potem przyjdą dzieci, kłopoty wychowania, potem choroby, starość i basta. Nie, za silnym do takiego przeciętnego losu i nie poświęcę jedyne go mego skarbu: swobody.

— Co prawda, dziwnie tej swobody używasz. Zaprząłeś się w jarzmo, Bóg wie po co. Zajęty interesami Kalinowskich swoich zaniedbujesz i nieprędko się wybijesz.

— Owszem, pamiętam o sobie. Na przyszły rok spłacę cię zupełnie i sprzedam Mniszew. Wtedy zabezpieczę byt matki i Józi, i będę miał prawo o swym losie pomyśleć.

Tymczasem trzeba czekać i brać pracę, jaka się nadarzy.

— No ale powiedz otwarcie: Czy dla ciebie hrabianka nic nie mówi? Musisz wyznać, że jest cudownie piękna, co gorsza, pociągająca.

168

Aleksander się roześmiał.

— „Pociąga” ona mnie tego po cierpliwości i uczy milczenia. Jak na przykład dzisiaj milutko mi w twarz rzuciła, zem złodziej.

— Toteż nie poznaję cię, że to znosisz.

— Ha, próbuję swej mocy! Przecie nie mogę się z nią bić, jak z Wojewódkami.

— Więc czemu nie rzucisz takiej służby?

— Bo mnie prosiła i dałem słowo do jej zamążpójścia zajmować się tym wszystkim.

— Wpadamy w błędne koło. Kiedy prosiła, dlaczego teraz maltretuje? Powinieneś się z nią rozmówić jasno.

— Ja? — rękoma strzepnął Aleksander. — Ja tylko marzę, żeby jej nigdzie nie spotkać, nie tylko nie rozmawiać. W

głębi duszy musi mi oddać sprawiedliwość, bom nic nie zaniedbał, a narażać się samochcąc na złe humory i impertynencje ani myślę.

— Mów, co chcesz. Cały ten interes krzywo mi wygląda i ja to wyświetlę. No, dobranoc!

Wyszli razem na ganek i natknęli się na stajennego chłopca, który podał Aleksandrowi kwit wysłanej depeszy.

— Szkoda, że już panie śpią — roześmiał się Lasota. —

Powinieneś był odnieść ten kwit własnoręcznie hrabiance i podać na tacy, jak lokaj.

— Poczekaj, przyjdzie do tego — odparł Aleksander. —

Będę ja jeszcze Tekenemu strzemię podawał.

— Czyś oszalał? Po cóż to znosisz?

— Tak sobie, dla oryginalności.

Lasota ramionami ruszył i odszedł zamyślony. Był pewien, że coś odkrył, ale teraz znowu nic nie rozumiały Aleksander zbił go zupełnie z tropu.

Nazajutrz hrabianka wstała bardzo rano i kazała osiodłać 169

sobie konia. Wszyscy jeszcze spali w pałacu, tylko na folwarku ruch już panował pracowity.

— Czy rządcą już wstał? — spytała dozorca, który eskortował czeladź w pole.

— Już dawno wyjechał do Izabelina, do młocki.

Ruszyła tedy w przeciwną stronę, żeby go nie spotkać, i objechali plantacje buraków. Wszędzie robota w pełni i spotkała nawet transport, dwadzieścia fornałek, na drodze do fabryki.

— Skąd to? — spytała.

— Z Liszni — odparli fornale czapkując nisko dziedzicze. Był to jej folwark.

— Dawno już odstawiacie?

— Już trzy dni.

— A zborowskie idą?

— Dzisiaj pierwsze.

Minęła ich i skręciła w pierwszą boczną dróżkę polną, obejrzała zasiewy zborowskie i już niedaleko od domu spotkała Aleksandra.

Uklonił się i rzekł:

— Czy pani każe sprzedać pszenicę?

— A zborowska sprzedana?

— Tysiąc korcy zdaję dzisiaj, po sześć rubli.

— Jeśli pieniędzy potrzeba, proszę sprzedać.

— Pieniądze są, ale cena spadnie.

— Pan tak myśli, ano, to wolę poczekać; zobaczymy, kto wygra.

— Pani każe długo czekać?



— Tydzień.

— Przyślę kupców do pani.

— Dobrze. Jakiż wydatek buraków?

— W Zborowie lepszy trochę niż w pani folwarkach, a 170

najlepszy u pani Kalinowskiej. Sto dwadzieścia do stu pięćdziesięciu korcy z morgi.

— Bywało lepiej. Bardzo obrzynają w fabryce?

— Nie, pięć, siedem procent. Jeszcze niewielki ścisk i jeszcze nie doszło do zerwania towarzyskich stosunków.

Byłem pierwszego dnia tylko, wczoraj nie mogłem dojechać, bo młockarnie szły wszystkie.

— A mniszewskie już pan odstawia?

— Jutro mają zacząć. Tam wożą tak małe partie, że nie mam cierpliwości nawet się o to dowiadywać. Będą się z tym bawić pewnie trzy tygodnie.

— Niechże pan tam użyje wszystkich naszych fornalek i zda w jeden dzień.

— Dziękuję pani.

— Zgoda?

— Nie. Dziękuję za pani uprzejmość, ale fornalki mają u siebie dość roboty.

— Widzę, że pani jest śmiertelnie na mnie urażony.

— Za co? Owszem, bardzo jestem wdzięczny za dobrą chęć.

— Co za komedią! Czy pan wraca do Zborowa?

— Tak. Pani Kalinowska poleciła mi dzisiaj towarzyszyć państwu Pomorskim i pannie Bujnickiej w wycieczce z aparatem fotograficznym.

— Ach, tak! Zapomniałam, że to przecie swaty na wielką skalę. Ma panna Bujnicka dać panu razem ze swą ręką dyplom do towarzystwa.

— Panna Bujnicka razem ze swą ręką da więcej niż dyplom do towarzystwa. Da bardzo miły charakter, duże wykształcenie i czyste uczucie. Ona sama będzie najlepszym towarzystwem dla swego wybranego.

— Ten panegiryk pachnie bardzo krytyką dla innych 171

panien! Jak to szczęśliwie, żel są amatorowie na zły charakter, małą naukę i nieczyste uczucia.

— O, nawet takiej mają największe powodzenie.

— Zaczawszy od pana — roześmiała się ironicznie, popędzając konia naprzód. Przy samej bramie zwolniła, a gdy on nadjechał, rzekła:

— Podobno pan jest pewny wygranej w wyścigu?

— Tak, wygram — odparł spokojnie.

— Pan Tekeny jest równie pewny swej Alanki.

Poprzysiągł mi, że o godzinę was wszystkich wyprzedzi.

Ciekawam, który z was większy blagier.

— Szkoda przysiąg i filigranowej Alanki, jedna i druga przepadną marnie.

— I moje tysiąc rubli, bo trzymam za nią przeciw panu Lasocie i Flammie.

— Tak i pani tysiąc rubli weźmie pan Lasota.

— Dałabym jeszcze dziesięć, żeby pan przegrał. Byłaby zdrowa nauka dla pańskiej zarozumiałości.

— Nie jestem zarozumiała, ale znam klacz i siebie. Nie takie małostki mi przegrywać, ani jej. Przegramy ostatni wyścig, gdy trzeba będzie kark skrócić. Ale wtedy zakład będzie większy.

— Więc przecie przypuszcza pan przegraną?

— Naturalnie. Los, byt, stanowisko w moich rękach i mocy. To wszystko wezmę, bo chcę. Ale gdy mi się zachce krzaku kwitnącego bzu w listopadzie albo ognia z wody, albo wody z kamienia, wtedy mogę przegrać, jeśli” z uporem trwać będę w chęci.

— Myślałam, że pan i o tym nie wątpi. Przecie odkryłam w panu trochę zdrowego rozsądku. Żegnam tymczasem i życzę przyjemnych wrażeń z aparatem fotograficznym!...

172

## VIII

Start był wyśmienity. Punkt o szóstej rano ruszyło dwunastu jeźdźców, a za nimi Adam, Lasota i Żarski popędzili na bicyklach, na przełaj, w trzy rozmaite punkty toru. Dystans był mil dziesięć, więc panie wróciły do pałacu, naturalnie debatując o wyścigu i krytykując jeźdźców.

— Pyszny był Tekeny — śmiała się hrabina Natalia. —

Ćmił sobie najspokojniej cygaro i ruszył jak na spacer.

— A pan Jaźwiński zaraz stracił czapkę — ozwała się panna Bujnicka. — Ja bym już leciała z odkrytą głową, a on stanął i podniósł ją. Może przegrać z tego, powodu.

Nieprawda, tatku?

— Wszystkie te fanfaronady furda, żeby paniom zaimponować — odparł Bujnicki. — Dziesięć mil to dobra próba końskich nóg i zdrowia paniczów. Odechce się im rychło czapek i cygar.

— A pan do kogo ma największe zaufanie? — spytała Gizela.

— Do młodego Sławskiego. Chłopak jak pięść, a koń olbrzym. Dobrą klacz miał pan Kalinowski, ale on dla niej za ciężki.

— A ja przysięgnę, że Tekenego zobaczymy najpierwej —

upierała się hrabina Natalia.

— Niechże pani nie przysięga, bo go klacz zrzuci i pierwszy wróci, ale piechotą — roześmiał się Bujnicki.

Tymczasem na drodze kłęb jeźdźców, zrazu zbity, zaczął

się wydłużać. Aleksander, klacz hamując, wypuścił naprzód połowę koni i pilnował tylko, by jechać tuż za Tekenym.

Dzień był jasny, chłodny, droga sucha, tylko w lasach dokuczały korzenie. O trzy tylko konie dbał Aleksander, i te 173

trzy mu przodowały na czwartej mili, reszta pozostała daleko.

Wtedy zwolnił zupełnie biegu klaczy, tamci raz pierwszy użyli szpicruty.

Dał się klaczy wysapać, poklepał ją po szyi i rzekł:

— Widzisz, tamte, już dostają napomnienie! Ty tego nie lubisz, patrz, rzucam pręt, żebyś swój honor znała. Nabierz tchu, złota, bo musisz być pierwsza. No, śmigaj!

Puścił cugle, klacz wyciągnęła się największy pęd. Minęła Tekenego, potem Jaźwińskiego. Miał rację stary Bujnicki.

Sław—ski był na czele, ale jego olbrzym sapał złowieszczo.

Jakiś czas jechali obok siebie, przelecieli koło Adama, który z zegarkiem na nich oczekiwał. Sławski ćwiczył konia, wściekły.

Na każde świśnięcie klacz Aleksandra wzdrygała się cała i tuląc uszy zmykała jak wiatr od tak

nieambitnego towarzysza.

Wtem koń Sławskiego się potknął, była to sekunda, ale już Flamma wzięła czoło i nie dała się dopędzić. Aleksander utrzymywał ją w tym tempie godzinę, wtedy się obejrzał, był\* sam o milę od Zborowa i słońce zachodziło. Zwolnił

biegu, wyprostował się i zdjął czapkę.

— H«j, hej. Tekeny, gdzieżeś? —r zawołał upojony triumfem. — Przegrałeś, a pokonanego nie przyjmie Gizela.

Ani ty, ani ja. Tak będzie. Leć, złota!

I pomknął znowu na czerwoną łunę zachodu.

Z okien pierwszego piętra wyglądano na drogę. Wszystkie lornetki były przy oczach i na wszystkich twarzach malował

się niepokój.

— Jada! — zawołał Pomorski. — Z lasu wyjeżdżają.

— Ilu? — śpijała Gizela, która jedna nie miała lornetki.

— Szarzeje! Źle widać. Dwóch, nie, jeden!

— Tekeny! — krzyknęła hrabina Natalia.

— Pewnie Sławski! — upierał się Bujnicki.

174

— Zjechał w dół, już nic nie widać. O, teraz drugi z lasu się wynurza. Chodźmy na ganek.

Zbiegli wszyscy na dół, wlepiono oczy w bramę.

Zaczerniało w wysadzie\*, triumfator jechał wolna.

— O, ten dopiero pali w porę cygaro! — zaśmiał się Bujnicki. — I czapki nie ma na głowie, bo spotniał.

Awantura, a toć pan Kalińowski! O, zgrali się panowie, i ja, i pani też — zwrócił się do Gizeli.

Uśmiechnęła się, jakby wcale nie cierpiała na tym.

Aleksander zatrzymał się i uklonił.

— Wiwat! Brawo! — zaczęto wołać i otoczonym się ujrzał.

— A reszta? — spytał Bujnicki.

— Pan Sławski zaraz będzie.

— A co? Nie mówiłem? A pan Tekeny?

— Tegom daleko zostawił.

Zsiadł i oddał klacz stajennemu. Wret już ją oglądał i cmokał.

— To jest krew Alicji. To jest skarb! Nie dostała ani jednego pręta i gotowa dalej iść. Winszuję panu i dziękuję.

Stawiałem na nią.

I odszedł za klaczą ku stajniom, wesoło gwizdząc. Teraz ukazał się Sławski i wołał od bramy.

— Tamtych nie ma co czekać dzisiaj. A, przeklęte dziury i korzenie! Mój Wampir do takiego terenu nienawykły. Żeby nie to, nikt by go nie wziął!

— Gdzie Tekeny? — wołała desperacko hrabina Natalia.

W bramie na bicyklu ukazał się Lasota.

— Panie Wret! — wołał. — Żywo weterynarza i ludzi posyłać! Klacz pana Tekenego dogorywa, pan Kaliński tam nad nią został. Może uratujecie.

\* wysada — aleja wysadzana drzewami; rząd, szereg wysadzonych drzew.

175

Zeskoczył na ziemię i do Aleksandra się zwrócił.

— A twoja jak przyszła? Druga?

— Pierwsza i cała. Ja bym rad spocząć i gardło odświeżyć, ale że tam po drodze pewnie więcej jest kalek, skoczę z pomocą. Hej, Ignacy, osiodłajcie mi Alaryka!

— Chwilę, niechże pan wypije! — zawołała Kalinowska oglądając się za lokajem.

We drzwiach stanęła Gizela niosąc honorowy puchar —

złotnicze cacko — nagrodę zwycięzcy, za nią lokaj niósł tacę z winem i wodą. Aleksander chciwie sięgnął po karafkę, ale hrabianka go powstrzymała, wzięła butelkę wina, wylała w puchar i podała mu.

— Człowiek wyjątkowy musi wyjątkowe mieć pragnienie.

Proszę spełnić zdrowie, jakie pan chce, z moich rąk tym pucharem.

— Służę. Zdrowie pań!

Skłonił się damom, puchar podniósł i wypił od ust nie odrywając. Potem postawił go na balustradzie ganku, skłonił

się raz jeszcze, a że mu już przyprowadzono osiodłanego konia, wskoczył nań i ruszył z miejsca kłusem na drogę.

— Zwali się za bramą w rów i tam zanocuje! — rzekł

Sławski.

— Dostanie zapalenia płuc! — dodał Bujnicki.

— Nic mu nie będzie — zakończył Lasota.

— Ma pan rację — rzekła Gizela. — Taki dziki chłop, zahartowany od dziecka, przywykły do twardego życia, zniesie wszystko bez szwanku.

Bujnicka spojrzała na nią z wyrzutem.

W tej chwili w bramie ukazał się znowu Aleksander, a z nim Żarski na bicyklu. Wpadł pod ganek, zeskoczył i rękoma strzepnął.

— Klęska, okropność! — wołał cały w gorączce. — Cała 176

droga usłana ofiarami. Daj Boże, żeby trzy konie zostały zdrowe i całe. Jaźwiński ma rękę wybitą, Tekenego klacz *kaput*, Duglas Kowińskiego ochwacony kompletnie. Jednym słowem, rzeź! Zawróciłem pana Aleksandra, żeby zabrał z sobą furgony, ludzi i bryczki dla jeźdźców! A to dopiero *fiasco*! A nie chcieli mi wierzyć, jakim mówił: macie „konie do zabawy, nie macie do rzetelnego użytku! Ot i przekonali się, poniewczasie. Szkoda biednych szkap!

— Gdzież Adam? — spytała hrabianka.

— Odprawiają egzekwie nad Alanką z Tekenym. Pójdę zobaczyć bohaterkę.

Poszli wszyscy do stajen. Flamma najspokojniej w świecie wyciągała siano z kosza; Wampir Sławskiego leżał.

— Panie Aleksandrze — zawołał Żarski do młodego człowieka, który wydawał rozkazy konno, nagląc ludzi do pośpiechu — sprzedaj mi pan swoją klacz.

Tamten się roześmiał, głową potrząsając.

— Jeszcze niejeden wyścig przede mną, a mam ją jedną —

odparł i ruszył za bramę.

Całą noc niepokój i ruch nie ustał w Zborowie, a nazajutrz odbyło się smutne sprawozdanie i rachunek strat.

Trzy konie padły, pięć było zupełnie zniszczonych, jeden wysadził jeźdźca na drugiej mili, a sam, wyhulawszy się do woli, został zajęty w szkodzie przez chłopów i wykupiony nazajutrz. Tylko Flamma i Wampir wyszli cało i szczęśliwie.

Panowie mieli miny zmęczone i osowiałe, Tekeny wstyd porażki odchorowywał. Jaźwiński jęczał z bólu wywichniętej ręki, wszyscy byli grubo zgrani na zakładach, tylko Lasota był wesół, bo” się dzięki Aleksandrowi odegrał i Adam triumfował z Flammą.

Zaraz z rana hrabianka odwołała go na bok.

— Mój drogi — rzekła — należałoby Kalinowskiemu dać 177

co za wygraną.

— Naturalnie. Ale co?

— Ano, grubo wygrałeś. Daj mu tysiąc rubli.

— Hm, a jak się obrazi?

— Cóż znowu? Nasadź nań Lasotę.

— Spróbuję. Zaraz po niego poślę.

— Jak przyjdzie, daj mi znać. Każę mu sprzedać pszenicę.

Posłano po Aleksandra, ale go nie było. Pojechał do fabryki z Żarskim.

Późnym wieczorem przyszedł do gabinetu Adama zmęczony, zabłocony i w złym humorze.

Pełno było panów, grano w karty, trochę już ochłonęli po klęsce.

Aleksander spojrzał na grę, pokręcił się tu i tam, i rzekł do Adama:

— Masz co do mnie, to mów prędko, bo zasnę stojąc.

— Wyglądasz mocno zirytowany.

— Spodziewam się. Cały dzień kłóciłem się o wagę buraków, a całą noc zbierałem niedobitki wyścigu. Mam też na jutro ważny, osobisty interes, nad którym głowę łamię w nocy, bo mi hrabianka nie pozwala myśleć o Mniszewie.

— Mój drogi, nie podziękowałem ci jeszcze za zwycięstwo.

— Podziękuj klaczy, nie mnie.

— Wiesz, wygrałeś mi piętnaście tysięcy. Słusznie ci się należy połowa.

— Nic mi się nie należy, bo cię o współkę nie prosiłem.

Nie mam z czego przegrywać, więc nie mogę wygrywać.

Możesz klaczy sprawić złote podkowy.

— Nie żartuj! Nie zrobisz mi przykrości odmową!

— A ty mnie nie bierz za dżokeja! Jeśli ci chodzi o zrobienie mi przyjemności, to mi daj urlop na cztery dni.

178

— Ależ musisz tu być właśnie te cztery dni. Matka mi poleciła, żebyś co wieczór bawił damy. Jest przecie Bujnicka.

— Ba, ale ja mam kupca na Mniszew, a targuję u Binstaina Zabrańce.

— Bój się Boga! Zabrańce warte dwakroć, a Mniszew trzydzieści. Może ci trzeba pieniędzy?

— Nie, dziękuję ci. Właśnie dlatego interes smaczny, że szalony. Jeszcze nie znam warunków Binstaina.

— Doda ci Zabrańce do córki. Zobaczysz, że cię te Żydy oplaczą.

Aleksander milczał, Adama to przeraziło.

— Ja ci na to nie pozwolę, urlopu nie dam! Będziesz bawić damy. A teraz poczekaj chwilę! Gizela chciała się z tobą widzieć. Powiem jej, że jesteś.

— Nie mogę się pokazać w salonie w tym stroju.

— Może przeze mnie powie ci, czego chce. Adam wyszedł, a któryś z panów rzekł:

— Spróbuj pan szczęścia w baka. Ręcę, że pan ma i do tego wene.

Aleksander, śmiejąc się, położył dziesięć rubli i wygrał, podwoił i znowu wygrał.

Nie upłynęło kwadransa, miał przed sobą kilkaset rubli.

Wtem przyszedł Adam i rzekł:

— Gizela prosi, żebyś sprzedał pszenicę.



— Cena spadła o trzydzieści kopiejek na korcu.

— I co dzień spada! — dodał Sławski.

— Ostrzegałem hrabiankę pozawczoraj. Kazała czekać.

Powiedz jej, Adamie, czy się na cenę zgadza.

— Idź, powiedz sam. Czyta sama w salonie.

— Idź, idź — zawołał Lasota — bo jak będziesz dalej grać, to obedrzesz nas do koszuli. Po coś zaczepiał tego szczęśliwca, Józiu?

179

— Myślałem, że taki piękny chłop w karty musi przegrać.

— Ba, kiedy nie mam dotąd czasu na kochanie.

— Biedny! Żyje jak pustelnik! — szydził Lasota.

— Dobranoc panom! — zaśmiał się Aleksander i wyszedł.

Hrabianka czekała na niego.

— Cóż zarobię na pszenicy? — spytała.

— Tyle, co na Alance pana Tekenego.

— Pan sądzi, że straciła — odparła z uśmiechem. —

Owszem dużo, bardzo dużo wygrałam dzięki panu i mam do spłacenia dług wdzięczności.

Pokręcił, głową, nie rozumiał, a bał się pułapki.

— Otóż proszę pana sprzedać pszenicę po bieżącej cenie i pokończyć różne, rozpoczęte roboty. Na Nowy Rok uwolnię pana od ciężaru administracji. Cóż, dogodziłam panu?

— Zupełnie mi to obojętne. Dawałem rady wszystkiemu i służyłem z dobrą chęcią. Im więcej zajęcia, tym mi weselej na świecie. Czy pani już ma zastępcę, czy też, wedle naszej pierwotnej umowy, wychodzi pani za męża?

— A cóżby pan wołał? — spytała.

— Nie potrafię ułożyć—porównania.

— To nie odpowiedź.

— Jedyna możliwa.

— Jeśli się nie ma odwagi powiedzieć prawdy. Zatem cofam pytanie, a raczej zapytam, jakie pan ma zamiary, gdy pozbędzie się pan pracy administratorstwa i zostanie tylko z Mniszewem?

— Jutro już sprzedaję Mniszew, wyrosłem z niego. Po spłaceniu pana Lasoty zostanie mi dziesięć tysięcy.

— O, z tym chyba kupi pan pół powiatu!

— Kupię może Zabzańce.

— Razem z piękną Reginą?

Podniósł oczy na nią i popatrzył bez słowa. Ona nie 180

spuściła wzroku ani go skarciła za wyzwanie zuchwałe, które w nich było. Owszem, zdawała się go wyciągać, ośmielać.

Przychodziły tak na nią fale fantazji dla pięknego chłopaka, owe chwile, których on się lękał najbardziej.

Postąpił krok naprzód, zapomniał o wszystkich postanowieniach, przysięgach, zaklęciach, czuł tylko swą bezmierną miłość.

Patrzyli wciąż na siebie. Jej wzrok łagodniał, gasł, zda się, w zamyśleniu, w półśnie. Odrzuciła głowę na poręcz fotelu i uśmiechnęła się rozkosznie.

Wtedy on do kolan jej się usunął, rękę do ust podniósł i rzekł:

— Niechże mnie pani zabije teraz, jeśli chce ze swej drogi usunąć, bo żyw nie ustąpię.

Powoli usunęła rękę.

— Czy pan oszalał? Proszę wstać! — odparła pół

napominająco, pół żartem.

W tej chwili ktoś drzwi otworzył. Gizela skoczyła z fotelu, obejrzała się, ale ten ktoś drzwi na powrót zamknął. Zwróciła się do Aleksandra blada zmieniona, z gniewem w oczach.

— Kto to był? — rzuciła niespokojnie.

— Nie wiem — odparł obojętnie.

Wtedy jej krew uderzyła do twarzy i spojrzała nań z takim rozdrażnieniem i wzgardą, że się cofnęła, przerażony zmianą.

— Nie wie pan? Ano, to ja wiem! Zapewne przyjaciel pana, pan Lasota, takiż sam łowca posagowy. Musiał on pana ośmielić, uzuchwalić i czatować za drzwiami.

Obrachowaliście dobrze mój fundusz, ukartowaliście świetny interes. Co za bezczelność i brudy! Ale mnie nie znacie, jestem dość bogata, żeby drwić z kompromitacji i skandalu.

Idź pan precz, poznałam nareszcie pana.

Przez chwilę ogłuszony podziwem i zgrozą Aleksander 181

skoczył jak ranny lew. Oczy mu krwią zaszyły, porwał go napad szału, w którym już bywał niepoczytalny.

— Poznała mnie pani — wybuchnął głuchym, dzikim głosem — to niechże się mnie pani strzeże! Dbam i pożądam milionów pani, dobrze, nie weźmie ich więc nikt i pani nie weźmie. Ostatni policzek dostałem i tego pani nie daruję, i zabiję panią, zabiję w ten dzień, gdy pani komu odda swą rękę i fortunę.

Gizela przeraziła się pierwszy raz w życiu, cofnęła się przed nim i dałaby w tej chwili wiele, żeby cofnąć swe słowa.

Poza szalem wściekłości był ryk rozpaczony w głosie Aleksandra i była prawda okropnego bólu.

Zatoczył się, ręce do twarzy podniósł i rzucił się ku drzwiom jak pijany.

Wyleciał do sieni na ganek i poszedł przed siebie zupełnie nieprzytomny.

Gizela została sama i długą chwilę myślała. Wreszcie zadzwoniła na lokaja, i kazała prosić do swego buduaru Adama.

Czekając na niego, obmyślała plan rozmowy i była gotowa, gdy wszedł.

— No cóż? — spytał z uśmiechem.

— Miałam dzisiaj bardzo przykre zajście z rządcą — zaczęła.

Adam przestał się śmiać, spojrział zdziwiony.

— Przykre? — powtórzył.

— Zapowiedział mi, że mnie zabije, gdy zechcę wyjść za mąż.

— Co? Skądże do tego doszło? Oszalał?

— Nie. Tylko mu się ukartowana scenka nie udała.

Oświadczył mi się, a Lasota za drzwiami czatował i zajrzał w tej chwili Powiedziałam mu, co myślę o jego zamiarach, i 182

wtedy wpadł we wściekłość i zapowiedział, że mnie zabije.

Chciałam ci to dzisiaj oznajmić, żebyś wiedział, co zrobić, gdyby jutro się ośmielił tu wejść.

Adam milczał, skubiąc faworyty, i mars miał na czole.

— Lasota wcale od kart nie wstawał — rzekł wreszcie. —

Więc ktoś inny. Mniejsza z tym, chodziło o świadka.

— To ja byłem. Chciałem właśnie odwołać Aleksandra, żeby wyciągnąć Lasotę, który się zgrywał okropnie, a jego jednego by może posłuchał. Cofnąłem się widząc, że wam przeszkadzam.

— Jak to? Nie przyszedłeś mi na obronę?

— Wcaleś obrony nie potrzebowała. On klęczał przed tobą i całował cię w rękę, *tu le laissait faire\**, wycofałem się, żeby nie być niedyskretnym.

— I znajdowałaś w porządku, że mi się rządcą oświadcza?

— Nie znajdowałem nic nadzwyczajnego, że ci się oświadcza mój stryjeczny brat i że ci się podoba przystojny chłopak. Co prawda myślałem odchodząc, że idąc za niego nie będziesz płacić kawalerskich długów swego męża, co cię dotychczas czekało z innymi konkurentami.

— Tak, ale tamci przynajmniej byli ludźmi dobrze wychowanymi, a ten gbur, parobek. Bardzo się dziwię, że mnie nie obił w końcu. To byłoby bardzo do niego podobne.

Adam głową pokręcił.

— A tyś z nim, postąpiła delikatnie? Daruj, ale mi tego nie wmówisz, żeś go nie ośmieliła.

— Ja? Możesz go zapytać, jakem go traktowała.

— Byłem często sam świadkiem, ale pomimo to nie wierzę, ażeby cię napadł bez racji. Zresztą widziałem, żeś go nie odtrącała, gdy klęczał. Licho mnie przyniosło, wtedy się przestraszyłaś, zawstydziałaś, obraziła się twa próżność,

\* *tu le laissait faire* (fr.) — pozwalałaś mu na to 183

wpadłaś w gniew, uknułaś całą brudną intrygę, sponiewierałaś go i obrałaś ze czci i wiary. Innych konkurentów zbywałaś grzecznie, jego musiałaś okropnie obrazić i rozdrażnić. Wtedy on też się zapomniał.

— A zatem przyznajesz mu słusność, bronisz go! Biedna ofiara, bezinteresowny bohater Może mam

go jutro przeprosić?

— To ci nie grozi, bo go więcej nie zobaczysz.

— Aż mnie przyjdzie zarznąć albo zrobi skandal głośny na cały kraj!

— Mam nadzieję, że do tej chwili już ochłonął i wyleczył

się z miłości, więc i pamięć o tobie prędko straci. Możesz być spokojna.

— Ale on musi mieć karę! — zawołała. Adam znowu się uśmiechnął.

— Za co? Żeś go przyjęła, czy żeś go odrzuciła? Żachnęła się niecierpliwie.

— Idź sobie! Ten nędznik, intrygant nawet ciebie otumanił! Mój dom już nie w Zborowie.

— Ależ Giziu, trochę flegmy i logiki! Przede wszystkim nikt sceny nie widział ani wie, co między wami zaszło. Ja a nikt, to jedno, wiesz o tym. Czegóż więc chcesz? Żebym mu jutro wymówił dom i posadę? Ależ w takim razie ludzie właśnie się zdziwią i zaczną szukać powodu. Pierwsza matka podniesie alarm. Co jej powiem? Wierz mi, nie traktuj tego tragicznie. Odrzuciłaś go, jak wielu innych, których już nie pamiętasz. I o nim zapomnisz za tydzień. Ja się z nim, jutro rozmówię, ułożymy w cztery oczy, jak ma się urządzić z administracją twych majątków, żeby nie potrzebował ci się nawijać na oczy, umityguję wariata i będzie, jakby nic nie było. Moja droga, to głupstwo, i musisz być nie lada 184

zdegenerowana, że cię to tak zalterowało\*.

Gizela istotnie była bardzo nieswoja, bo nagle wybuchnęła płaczem. Adam się przeraził i stał nad nią nieradny.

— Co ci znowu? Dajże pokój! A to awantura! Nie bójże się, nic się nie stało! Nie zobaczysz go więcej.

Syknęła niecierpliwie.

— Ja wiem, ja go znam! — zawołała. — On mi nie daruje!

Co za fatum nieszczęsne tu go przyniosło!

— Czyś i ty oszalała? Jak możesz wierzyć, że on myślał, co mówił w rozdrażnieniu. Chcesz, pójdeż zaraz do niego.

— Nie, nie! Ale jutro powtórzysz mi, co ci powie.

— Dobrze. Napij się chloralu i zaśnij. Jutro obudzisz się spokojna.

Pocałował ją w rękę i odszedł kręcąc głową. Pierwszy raz nie poznawał Gizeli.

— Aleksander mi jutro zagadkę wyjaśni — rzekł i poszedł

do graczy.

Gra przeciągnęła się do rana, wreszcie poszli wszyscy spać, tylko Lasota, zamiast się położyć, blady, ledwie żywy, wyszedł z pałacu wprost do mieszkania Aleksandra.

Na progu spotkał stróża nocnego.

— Jest pan Kalinowski?

— Nie ma.

— Już wyjechał w pole?

— Nie. Wcale tu nie nocował.

— Łotr, całą noc gdzieś się łajdaczy — mruknął do siebie Lasota. — Gdzie go teraz znajdę?

Ale w tej chwili Aleksander ukazał się w bramie. Szedł z głową spuszczoną i wolno.

— A, jesteś! — zawołał Lasota. — Ładnie się prowadzisz!

— Myślisz? — odparł Aleksander apatycznie. — Zdaje mi

\* zalterować — wzburzyć, zaniepokoić

185

się, żeśmy obaj nie spali tej nocy.

Weszli do biura. Lasota rzucił się na kanapę.

— Może być, tylko ja więcej trochę straciłem niż ty.

— Myślisz? — powtórzył Kalinowski z dziwnym uśmiechem.

— Tak, bo ja straciłem wszystko, co miałem i czego nie miałem. Muszę dzisiaj zapłacić Tekenemu piętnaście tysięcy, a na to mam to.

Wydobył z kieszeni i rzucił na ziemię garść srebra.

Aleksander się zerwał na nogi, otworzył okno i zawołał na stróża:

— Niech mi natychmiast dają konia!

— Gdzież ci to tak pilno? — rzekł Lasota obrażony.

— Zdaje mi się, że do południa niedaleko, a do Zabrańców półtorej mili.

— Cóż to ma jedno do drugiego?

— Ano, żebym na czas wrócił z pieniędzmi.

— Dostaniesz? Poratujesz mnie? — zerwał się Lasota jak wskrzeszony z martwych.

— Żartujesz ze mnie! Gdym kupował u ciebie Mniszew, miałem tyleż, co tego srebra na podłodze. Prześpij się do południa i bądź spokojny.

Koń już stał przed gankiem i zanim Lasota odpowiedział, Aleksander już był na siodle i za bramą.

Tedy Lasota odetchnął i z niefrasobliwością człowieka, który już nieraz bywał w podobnych wypadkach, zawrócił do pałacu i do łóżka.

W progu spotkał Adama, który mu rzekł ziewając:

— Ułożyłem wszystkich. Idę trochę odetchnąć stajnię i wracam spać. Nie widziałeś Aleksandra?

— Owszem. Pojechał do Zabrańców.

— Ano, to nie ma co go czekać. Rozmówię się jak wróci.

186

I z czystym sumieniem zasnął Adam i przespał południe, a potem, zajęty obowiązkami gospodarza, nie miał czasu na rozmowę, tym bardziej, że Aleksander był niewidzialny, a Gizela spokojna bawiła się doskonale. Wieczorem znowu rozpoczęła się gra i Lasota wygrywał, miał sporo pieniędzy.

Nazajutrz zaczęli się goście rozjeżdżać i zamęt panował w Zborowie. Na chwilę ujrzał Adam” Aleksandra w rozmowie z Lasota, potem przy pożegnaniu Bujnickich, ale nie zamienili z sobą trzech słów, zajęcia bardzo obydwu.

Nareszcie ostatnia odjechała hrabina Natalia z Tekenym i Lasotą, i w Zborowie zostali tylko domowi.

Wtedy Adam poczuł zmęczenie niezmiernie i zasnął

spokojnie noc całą, na laujach. Wygrał na Flammie, wygrał w karty i byłby zupełnie szczęśliwy, gdyby jego przebudzenia nie truła myśl rozmowy z Aleksandrem.

Ale ledwie wstał, przyniesiono mu kartę: „W bardzo pilnym interesie jadę do Lublina na dwa dni. Rozporządzenia wszelkie wydane, o nic się nie troszcz”.

— Dobrze i dwa dni. Im dalej, tym ten wielki jego występki straci w oczach Gizeli, a jego interesa zupełnie otrzeźwią. Pewnie sprzedał Mniszew i traktuje o Zabrańce.

Zupełnie wesół poszedł do pań i zasiadł z nimi do gawędki w buduarze Gizeli.

Pani Kalinowska przeglądała całotygodniową pocztę, hrabianka czytała sportowe angielskie pismo kołysząc się w fotelu.

— Ciekawym, czy się Lasota odegrał? — rzekł Adam. —

Pojechał za Tekenym, a raczej za swymi pieniędzmi, do Lwowa.

— Lasota źle skończy — odparła hrabianka. — A nieszczęście jego, to są sukcesje. Ile on już wziął, a ile stracił!

— Ano, czeka go jeszcze największa, po starym Malickim.

187

— Potrafi i tę stracić. Ileż on tu przegrał?

— Ba, albo się przyzna?

— A wiesz, dlaczego mama taka markotna? — roześmiała się Gizela. — Wyobraź sobie: zesłała Tekenego z hrabiną Natalią w nadzwyczaj czulej pozycji.

— *Tiens*, z ciocią?

— Czy mogłeś coś podobnego przypuszczać? — zawołała pani Kalinowska.

— Myślałam, że trupem padnę. I on się ośmielał myśleć o Gizeli!

— A mama gwałtem chciała go złapać, *notabene*.

— Byłaś nim zachwycona w Trenczynie.

— Bo tańczy jak nikt, i tyle!

— Ale, mój drogi, jeszcze jedną miałam zgryzotę.

Aleksander tak ślicznie zaczął z Bujnicką i potem zniknął jak kamfora. Czy on aby nie chory po tym obrzydliwym wyścigu?

— Nie. Był zajęty odstawą buraków, a dziś pojechał do Lublina.

— Poczciwy chłopak! Ślicznie dopilnował restauracji kościoła. Znalazłam dzisiaj rachunki najskrupulatniej zakończone i ksiądz był z podziękowaniem. Będzie pojutrze nabożeństwo na naszą intencję w zupełnie odnowionym kościele. Jak ten chłopak na wszystko ma czas i pamięć!

Żebyż jeszcze znalazł czas na Bujnicką! Jestem pewna teraz, że ją dostanie. Ale, pokażę wam prezent, który mu dam za to zajęcie się kościołem.



Wyszła pani Kalinowska, a Adam rzekł półgłosem do Gizeli:

— Nie mówiłem z nim dotąd, ale dobrze się stało, żeśmy kwestii nie poruszali. Wyobraź sobie minę mamy. Gorzej by było niż z Tekenym i hrabiną.

188

— To jej nie minie — odparła Gizela brwi marszcząc.

— Co?

— Scena i skandal.

— Jeszcze w te brednie wierzysz?

— O, nawet jestem przygotowana bronić się przed nim sama. W tej chwili wróciła pani Kalinowska i pokazała Adamowi pierścionek z pięknym szafirem.

— Dam mu to na zaręczyny — rzekła.

— Bardzo ładny, ale dzięki niebu, że nie dla mnie. Cóż, Giziu? Może byśmy zrobili konno rewizję folwarków?

Dawnom nie widział stadniny.

— I owszem. Przysłano mi właśnie z Warszawy nową amazonkę. Mamy przecie polować z chartami, spróbujemy nowych koni. Każ osiodłać.

I wyszła coś nucąc.

— Więc my tu chyba zazimujemy? — zawołała w rozpaczycy pani Kalinowska. — Pierwszy raz słyszę o tych polowaniach. Przecie onegdaj umawiała się z Pomorskim, że się spotkamy w Wiedniu.

— Ba, a wczoraj umówiła się z panami o charty. Czy mama jej jeszcze nie zna?

— Nie. I chyba już nie poznam.

Adam uśmiechnął się. On właśnie zaczynał ją poznawać...

189

**IX**

O jeden dzień później wrócił Aleksander z Lublina i zaraz przyszedł do gabinetu Adama.

— Cóż? Sprzedałeś Mniszew i kupiłeś Zabrańce?

— Mniszew sprzedałem. Mam zdać za miesiąc.

Zabrańców nie kupiłem.

— Zabrakło ci pieniędzy? Chcesz, założę ci ile trzeba.

— Nie. Jeszcze się namyślam. Nie mówiłem z Binsteinem.

Może się co innego zdarzy — odparł wymijająco i przeprowadził rozmowę na temat interesów zborowskich.

Był zresztą swobodny, bez cienia zgryzoty. Adam szukał

w głowie wstępu do rozmowy o Gizeli, ale mu nic na myśl nie przychodziło. Wreszcie rzeki:

— Matka o ciebie co chwila pyta. Zachwycona kościołem i przygotowała ci prezent: pierścionek zaręczynowy.

Aleksander się dziwnie roześmiał i głowę spuścił patrząc ponuro na dym z cygara.

— Nie bardzo wesoło przyjmujesz tę wiadomość.

— Bo wygląda mi w tej chwili na ironię.

— Dlaczego?

— Po tym, o czym w Lublinie mówiłem z Wolskim.

— Z tym wariatem? Jak to, wrócił żyw z Algieru?

— Wrócił, ale ledwie żywy. Pięć lat był w Legii Cudzoziemskiej.

— To podobno przedsiónek piekła.

— Jak kto lubi. Mnie się jego opowiadanie tak podobało, że mam ochotę spróbować.

— Zwariowałaś?

— Może być, ale to mnie kusi.

— Mówiłeś o tym matce?

190

— Jeszcze nie.

— Ano, to jestem spokojny i chodźmy na obiad.

— Wybacz mi, ale właśnie do matki mi pilno, więc się wynoszę. Wstał, uścisnęli sobie dłonie i Aleksander wyszedł.

Czekały na niego kuce mniszewskie i wnet zniknął za bramą.

Czekała też na niego z biciem serca matka, przed którą trzymał duszę otworem.

Ciężkie przeżyła dni od tej chwili, gdy po rozmowie z Gizelą przyleciał do niej, straszny szaleńcem i rozpaczem, i wyznał

wszystko.

Teraz miał znowu zwierzenie na sercu.

Nie pytała o nic, ugościła go i nakarmiła, a dopiero ułożywszy do snu Józię, zasiadła z robotą naprzeciw niego, u kominka, i rzekła:

— Więc tedy sprzedałeś Mniszew? Ileż ci zostało pieniędzy?

— Nic. Oddałem wszystko Lasocie. Może mi lada dzień odeśle dziesięć tysięcy, a może nieprędko. Czy miałem go opuścić, żeby zachować siebie?

Kalinowska nie przestała szyć, myślała.

— Żebyś mu nie odpłacił, nie wart byś był dobrego słowa; ale, mój biedaku, nie dobijesz się ty niczego. Znowu tedy jesteś na tym samym miejscu, co przed półtora rokiem.

— Nie, stoję wyżej. Kupiłem przecie od Raczkowskiego domek i ogród w miasteczku, wymówiłem z Mniszewa kuce, pięć krów i dwie morgi lasu. Sprzęty domowe nam zostały, więc matka i Józia będą u siebie i niegłodne.

— Nie o nas chodzi. Mnie wszędzie dobrze, byle zajęcie, a dziecko przy mnie było bezpieczne. Ale ty?...

— Dla mnie to szczęście. Po tym, co mnie od niej spotkało, wolę nie mieć nic niż tę trochę, co mnie trzymało na łańcuchu. Spłaciłem dług panu Lasocie, takem z tego 191

szczęśliwy, że mnie tamto mniej boli. Pójdę dalej w świat, bom wolny. Tutaj tak strasznie ciasno i tak mało jest do roboty. Do nowego roku muszę pozostać, a potem jak ptak wylecę. Nie mam na co czekać, kiedy mi mama nie pozwoliła jej zabić.

— Ja nie wierzyłam, byś to uczynił, ale bałam się skandalu. Zabić ją, mój biedaku! Sam byś zginał raczej, a jej nie tknął.

Wzdrygnął się i jęknął:

— Jezu! Ale gdy ją kto weźmie! Ja muszę stąd precz iść, bo śmierć zrobię!

Zerwał się i zaczął chodzić po pokoju.

— Śmierci mi się chce! — wybuchnął z rozpaczą.

— Olek, a ja? — rzekła z cicha. Jak stał, tak runął jej do nóg.

— Mamusiu, mnie się już rozum płacze i tak mnie dusza boli, że bym się jej pozbyć chciał z ciała. Co mam robić, co z sobą począć?

— Ja ci powiem. Nie targaj się, nie szalej! Czy pan Lasota zwróci te tysiące, czy nie, tu musisz pozostać aż do mojej śmierci.

— Matusiu, oszaleję z bezczynności!

— Będziesz służył w Zborowie.

— Jako ubogi krewny, wyglądający łaski bogatego?

Powtórzenie Kuhacza.

— Nie zhańbiłeś się tam, nie zhańbisz tutaj.

— Ależ ona! Ja jej widzieć nie chcę!

— Dlaczego? Wstydzisz, się?

— Kocham, takem podły! Powinienem nienawidzić!

— Ona sama ułoży tak stosunki, żeby ciebie unikać. Po tym, co między wami zaszło, będzie uważniejsza. W Każdym razie ja się będę po trochu przeprowadzać do miasteczka, a ty 192

zajmij się jeszcze gorliwiej Zborowem, to cię rozerwie.

Jednakże Aleksander łudził się jeszcze nadzieją, że go Lasota nie zapomni. Ale minął miesiąc, nowonabywca sprowadził się do Mniszewa, Kalinowska z Józia osiadły na nowym miejscu, ubogo znowu było, skąpo, zaczęto bardzo oszczędzać, łątać; nastąpiła zima, a o Lasocie i wieści nie było.

Wtedy Aleksander ręką machnął, przegryzł zawód i lżej mu się zrobiło na sercu.

— Odwdziczyłem się dobrodziejowi. Zawsze i to dobry interes. A on jeden nigdy mnie nie ukrzywdził.

W Zborowie jeszcze bawili dziedzice i pełno było gości na polowaniu. Przez październik szczerzo zające i lity; hrabiankę, na czele eleganckiej kawalkady, widywał Aleksander przelotem, w polu, gdyż się od bytności na salonach zupełnie usunął, a sprawy ważniejsze załatwiał w kancelarii Adama, w godzinach, gdy wiedział, że nikogo nie spetka.

Najtrudniej mu „było usunąć się od pani Kalinowskiej, która, o niczym nie wiedząc, zapraszała go bezustannie, gderała za dzikość i obarczała tysiącem poleceń, które go zmuszały do częstych,

sprawozdań.

Tam też spotykał hrabiankę. Zwykle składał sztywny ukłon, ona odpowiadała kiwnięciem głowy i na tym się kończyło.

Pewnego dnia w końcu października Michał, który należał

do remanentu przeprowadzonego z Mniszewa do miasteczka, wpadł konno do Zborowa i rzekł, zdyszany:

— Niech pan zaraz jedzie do domu! Przyjechał jakiś stary pan po naszą pannę Józję i pani mi kazała duchem pana sprowadzić.

A to co znowu? pomyślał zdziwiony Aleksander, zamykając spieszenie biuro i wołając o konie.

Spotkał Adama na progu.

193

— Gdzie to jedziesz tak nagle?

— Matka mnie wzywa. Ktoś po naszą sierotę przyjechał.

Nic nie rozumiem. Jak ją nam zabiorą, to się matka zagryzie, tak się do dziecka przywiązała. I zafrasowany wszedł na wózek.

Dom swój zastał jasno oświetlony, a w saloniku przy kominku matkę rozmawiającą z jakimś siwym panem. Józia, zapuchnięta od płaczu, siedziała przy Kalinowskiej trzymając się jej ręki.

— Oto właśnie mój syn — przedstawiła go matka.

Stary pan podniósł się i ukłonił, badawczo go mierząc oczami.

— Jestem Malicki, wuj tej małej — rzekł podając mu rękę.

— Przed tygodniem przypadkiem w rozmowie z panną Bujnicką dowiedziałem się, że mam siostrzenicę, i naturalnie oto jestem, aby państwu podziękować za opiekę i zabrać swą dziedziczkę.

— Ja nie chcę! Ja nie pójdę! — zawołała Józia, pewna, że jej przybył w sukurs.

Stary pan się uśmiechnął.

— Ten krzyk serca dowodzi, jaka była opieka, a ja wnoszę z opowiadania pani, że żeby nie wy, dziecko by się zmarnowało dawno. Niegodziwa była ta stara Wojewódzka!

— Czy była krewną pana? — spytał Aleksander.

— Nie, dzięki Bogu! Rzecz się tak miała...

Tu głos zniżył i szepnął do Kalinowskiej:

— Niechby dziecko tego nie słyszało.

— Idź no, Józiu, przygotuj nam herbatę.

— Dobrze, ale pani mnie nie odda! Ja nie chcę być bez pani! — wybuchnęła dziewczynka rzucając się jej na szyję.

Staruszka objęła jej głowę, ale i ją łzy dławiły, więc wyszła też z pokoju.

194

Aleksander przeprowadził je oczami aż do progu, a potem ze stłumionym westchnieniem rzekł:

— Słucham pana.

— Otóż miałem siostrę, dużo młodszą, jedyną, ukochaną.

Dla niej się nie ożeniłem, była radością mego życia, myślałem, że się nigdy nie rozstaniemy, bo odrzucała najlepsze partie mówiąc, że jej ze mną najlepiej. Wierzyłem głupi, aż mi pewnego dnia wyznała, że czyniła tak dotychczas dlatego, że kochała skrycie i bez wzajemności, aż dzisiaj jest nareszcie pewną tej wzajemności, szczęśliwą i wychodzi za mąż. Pytam, kto jest ten wybrany i dowiaduję się, że to Sławski, mój rządcą, awanturnik, hulaka i rozpustnik, którego miałem od roku za zuchwalstwo wydalić. Naturalnie wyrzuciłem go jeszcze tego wieczora, a w tydzień potem Józia się z nim wykradła. Rozumie pan, że na długie lata wymazałem ją ze swej pamięci i serca, a ona ze swojej strony nie dawała znaku życia. Dowiadywałem się o nich z uczuciem zadowolonej zemsty, że za jej posag, który odesłałem przez urząd, imć pan Sławski kupił majątek, przehulał go, za resztki wziął dzierżawę i tę stracił, a potem przeszedł do Królestwa, dostał jakąś posiadłość, spadał coraz niżej, aż wreszcie nikt nie wiedział, gdzie się podzieli.

Dopiero po kilku latach odebrałem list od zupełnie mi nie znanej pani Wojewódzkiej, że jej daleki krewny, Sławski, owdowiawszy, oddał jej na wychowanie swą jedyną córeczkę, Józię, sam wkrótce umarł, a w rok po nim zmarło i dziecko na odrę, pomimo jej wielkich starań. Tu oto jest ten list. Po co kłamała, tego dotychczas nie rozumiem! Chyba, żeby mieć bezpłatną służącą, gdyż tym była u niej moja siostrzenica, i żeby nie państwo, może by dotychczas poniewierała się po garderobach i czeladnych izbach.

— Niewieleśmy jej dać mogli i żadnej nie mamy zasługi.

195

— Za pozwoleniem. Właśnie dlatego, że sami niezamożni, dziecko było dla was wielkim ciężarem. Troskał się pan o jej wychowanie, kiedy prosił panny Bujnickiej o umieszczenie w Jazłowcu. Dziecko „wszystko panu zawdzięcza, bo gdyby nie to, umarłbym nieświadomy, fundusz by zabrał ten nicpoń Lasota, a sierota Józi mojej nigdy by swych praw nie poznała.

— Więc to pan Lasota jest spadkobiercą pana? — spytał

zdziwiony Aleksander.

— Nie, już nie jest, dzięki Bogu, gdym tę małą odnalazł. A jestem pewien, że na mój rachunek gra i traci od dawna.

Dawnom mu dom wymówił, ale teraz dopiero umrę spokojny.

— Oddam panu natychmiast papiery Józi — odparł

Aleksander chmurnie. — Pan ją zechcesz zaraz zabrać?

— Ejże, przenocujecie mnie przecie! — uśmiechnął się Malicki.

— Nie o tym myślałem — poprawił się młody człowiek.

— Ale panu dziecka żal, nieprawdaż?

— Zżyłem się z tą myślą, że ono nasze, i tak niespodziewanie je tracimy...

— To też po co się rozstawać? Jedźcie z nami!

Na tę szczególną propozycję Aleksander popatrzył na gościa i lekko się uśmiechnął.

— Mam tu pracę, a tam nic — odparł.

— Kiedy panu mówię: „Jedźcie z nami”, to wiem, co mówię. Słyszałem, jaką pan ma pracę i jakie kwalifikacje, i ręczę, że tam, u nas, dalej pan zajdzie, niż tutaj. Moja Struga warta Zborowa. Zresztą, ponieważ ja z małą chcę lat parę mieszkać we Lwowie, zostawię panu majątki w dzierżawie aż do mojej śmierci, a jeśli dłużej pociągnę, niż myślę, to do zamążpójścia małej.

Teraz już się Aleksander naprawdę roześmiał i spytał: 196

— A w ilu też tysiącach dzierżawy idą pana dobra?

— Zawsze sam zarządzam. Weźmiemy przeciętne cyfry dochodów dziesięcioletnich i to będzie cena. Mniej więcej od dwudziestu pięciu do trzydziestu tysięcy to wyniesie. Zresztą to wszystko fraszki. Załatwimy tam na miejscu w kwadrans.

Główna rzecz, że pan jest wolny, bardzo pan przyjemne zrobił na mnie wrażenie, matka pana zaopiekuje się Józia, a ja się nią nacieszę, na emeryturze, we Lwowie.

— Dziękuję panu za łaskawą propozycję, ale to interes nie na moją możność i nie mogę się go podjąć. Trzeba się z dzieckiem rozstać i tkwić tutaj, gdzie los przykuł.

— Co za los? Chyba własna wola. Nie umiałby pan podać mi racji, dla której mi odmawia?

Pod badawczym wzrokiem starego Aleksander czuł, że się czerwieni, więc prędko odparł:

— O, bardzo łatwo ją podam. Nie mam żadnego majątku.

— Niepotrzebny kłopot. Weźmie pan Strugę z tym, co w niej jest, zapłaci mi pan w końcu roku, a zda w tym stanie, w jakim obejmie.

Zachnął się Kalinowski.

— Czy mi pan chce w ten sposób płacić za chleb, co Józia jadła? Zarobiłem nań uczciwie i z serca jej dałem, a ona stokrotnie już zań nam odpłaciła, bo nas kocha.

Ale i Malicki się zaperzył.

— Mogę być dziadem pana, więc niech mnie pan nie obraża! Nie myślę wam płacić, bo za takie usługi nie ma zapłaty, ale sądziłem, że pan zrozumie, kto robi lepszy interes z nas —dwóch, i jako młody staremu zechce pan się potrudzić.

— Nie rozumiem.

— Przecie to jasne! Daję panu gotowy warsztat i powiadam: chce mi się już spocząć, tyś młody, daj mi tyle, 197

com zarabiał, a jeśli więcej się nastarasz, to twoje.

— Na taką łaskę wielu pan znajdzie amatorów. Proszę ogłosić.

— Myli się pan. Nikt się nie zgłosi, bo cała Galicja zna sknerę i lisa Malickiego, i wie, że on ani się oszukać, ani okłamać nie da, a pan sam, co tak parska obrażony, za łaskę może by po roku łaski prosił.

— Ja? Gdybym się czego podjął, tobym się nie cofnął.

— Otóż to! Przede wszystkim trzeba interes znać, a potem go odrzucać lub przyjmować. Ja mej propozycji nie cofam, a pań ją powinien rozważyć rozsądnie. To mi się nawet od pana należy, bom urażony. A teraz mówmy o czym innym! Niech mi pan opowie o tej Wojewódzkiej. Nie wie pan, jak skończył Sławski?

Kalinowska poprosiła na kolację; przeszli do jadalni i Malicki rzucił się zgłodniały do jadła, oczy jednak co chwila na Józję podnosząc.

Zapłakana, wystraszona siedziała obok Aleksandra, nie tykając żadnej potrawy, tylko patrząc żałośnie to na niego, to na swą opiekunkę.

— Jedzże, Józiu! — powtarzała co chwila staruszka bezskutecznie.

Wreszcie Aleksander zwrócił się do niej.



— Jedz! — rzekł jedno słowo.

Sięgnęła posłusznie po widelec, a Malicki się roześmiał.

— Oho, większy respekt ma dla pana niż dla pani.

— Rzadko go widuje. Ja spowszedniałam — odparła Kalinowska dobrotliwie.

— Boisz się pana Kalinowskiego, Józiu? Podniosła wzrok na Aleksandra.

— Wszyscy się boją — odparła.

— Otóż kto mi daje dyplom na ludożercę! — roześmiał

198

się. — No, już przestanę cię straszyć.

— Nie, nie! — zawołała desperacko.

— Masz serce z nią się droczyć? — szepnęła z wyrzutem Kalinowska.

— Józiu, zastanówże się, jaką wujowi robisz przykrość! —

upominał surowo. — Wstyd mi za ciebie!

Pohamowała się natychmiast

— Ja będę wuja też kochać, jeśli mnie stąd nie zabierze.

— A jeśli zabiorę? — spytał Malicki. —1— To ucieknę!

— Śliczne zamiary — mruknął Aleksander. — Ale, żeś nie dziecko już, więc ci powiem, że pojechać powinnaś z wujem i kochać go, i być mu córką, bo jeśli będziesz się tak nierozsądnie buntować, to żadne z nas ciebie nie odwiedzi i już nas nigdy nie zobaczysz. Ale gdy twój wuj napisze, żeś dobra i uległa, to często matka do ciebie pojedzie i długo zabawi.

— A pan? — spytała niespokojnie.

— I ja przyjadę przeegzaminować cię, czy się dobrze uczysz.

Dziewczynka spuściła głowę i zapadła w rozmyślanie. Już ani razu tego wieczora nie zaprotestowała przeciw swej nowej doli i słuchała posepnie, jak Malicki pytał, o godzinę wyjazdu, jak mu Aleksander oddawał jej urzędowe papiery, a potem patrzyła suchym okiem, leżąc w łóżku, jak Kalinowska pakowała jej sukienki i bieliznę w mały tłumoczek, sztukę każdą rosząc łzami.

Aleksander, ułożywszy gościa, poszedł do dworu, gdyż w małym domku nie było gościnnych pokoi, ale rano przyszedł, gdy Malicki jeszcze spał.

Kalinowska przygotowała śniadanie, Józia siedziała beczynnym pod ścianą, ubrana już do drogi i zacięta w upartym milczeniu.

199

— Uspokoiła się — rzekł z cicha do matki.

— Nie, tylko od wczoraj postarzała o dziesięć lat. Cierpi już jak dorosły człowiek i ma do nas żal, żeśmy jej nie bronili, nie zatrzymali. Wyjedzie z pierwszą goryczą i zawodem w sercu, i to od nas.

— Ha, no, cóżeśmy winni! Może tym łatwiej przeniesie tęsknotę. Za parę miesięcy zapomni o nas.

Żeby spojrzeć w tej chwili na Józję, żeby przypuszczał, że słyszy z drugiego pokoju...

Dziecinna jej twarzyczka istotnie o lata była starsza, uśmiech był grymasem gorzkim, a brwi się zbiegły w złowieszczy mars.

— A my? — szepnęła głucho Kalinowska.

— My? — uśmiechnął się i ręką machnął. — Kto nic własnego nie ma, powinien się oswoić ciągle tracić. Z tego się nasza dola składa.

Kalinowska zawahała się chwilę wreszcie rzekła nieśmiało:

— A żebyś przyjął propozycję Malickiego?

— Niedawno — mama, kazała mi tu zostać — odparł.

— To prawda. Masz rację, trzeba się przemóc. Dziecku tam dobrze będzie.

— A my nie będziemy posądzeni, że chcemy za opiekę wynagrodzenia. Przeklęte pieniądze! Prześladowają mnie zawsze i wszędzie!

Westchnęła Kalinowska i znowu się odezwała:

— Malicki mnie bardzo prosił, żebym przeprowadziła Józję i zabawiła czas jakiś, aż się oswoi. Waham się, bo jakże ty tu się obejdiesz beze mnie.

— Wproszę się na wikt do proboszcza. Niech mama jedzie

— rzekł chętnie. — Będzie dziecku lżej.

Józia podniosła oczy na niego przez szparę drzwi i cicho 200

zaczęła płakać. I na zaciętość jej miał talizman, chociaż się go bała zawsze, a od wczoraj nienawidziła z głębi zdradzonej duszy.

Oddał ją przecie z zimną krwią, oddał jak synowie Jakuba brata Józefa do Egiptu.

Wszedł do pokoju, stanął nad nią i rzekł łagodnie:

— No, nie płacz, Józiu! Matka z tobą pojedzie, nie będziesz wśród obcych. No, dziecko, cicho, nie płacz!

I schylił się, pogładził ją po głowie i wreszcie, snąc mu jej naprawdę żal było, pocałował we włosy.

Dziewczynka załkała, chwyciła go rękoma za szyję i jakby się nigdy nie bała, przygarnęła mu się do piersi ile sił

zaciskając ręce.

— A pan kiedy przyjedzie? Na święta? Przyjedzie pan?

— Przyjadę, dobrze! — odparł zdziwiony tym wybuchem.

— Bo jakby pan nie przyjechał, to ja umrę! Będzie pan musiał na pogrzeb przyjechać!

— Co ty bredzisz? Wstydz się! Takiś zuch dziewczyna była zawsze, a teraz jakby cię ktoś odmienił! Przecie powiadasz, że się mnie boisz, a chcesz, żebym przyjechał.

— Ja się chcę pana bać zawsze, co dzień. Po co pan mnie oddaje? Żeby pan mnie kochał, toby mnie pan nie oddał!

— Oddaję, bo nie mam prawa zatrzymać, a tam będzie ci lepiej niż u nas. Zobaczysz, że po roku nas zapomnisz.

Będziesz miała koleżanki, będzie ci wesoło. Zresztą przecie i tak miałaś, być w Jazłowcu, to jeszcze dalej niż Lwów.

— Ale pan miał mnie tam odwiedzić i zabierać na każde święta i wakacje, a teraz mnie pan całkiem oddaje i do domu już nie wrócę!

— Teraz twój dom tam będzie, u wuja.

— Nie, nigdy! Muszę tam jechać, gwałtem mnie biorą, to nie dom! Bracia Józefa ciężko zgrzeszyli, gdy go oddali do 201

Egiptu, i pan tak samo grzeszy, ale ja panu przebaczę, jeśli pan na święta przyjedzie.

— A cóż ci przywieźć na święta? — spytał chcąc nadać inny kierunek jej myślom.

— Nic, tylko przyjechać! Na pewno! Niech mi pan da słowo honoru!

— Dobrze, dam słowo honoru — odparł śmiejąc się.

Malicki wszedł na te słowa i zawołał:

— Widzę, że Józia odzyskała rezon. Dziękuję panu za to zwycięstwo. Żebym jeszcze uprosił matkę pana z nami.

— Matka jedzie i pozostanie, ile zechce. Ja się do proboszcza wproszę na wikt tymczasem.

— Jak to? Więc pan nie jest domownikiem u swego kuzyna, jak mi mówiła panna Bujnicka? Przecie pan ma tutaj majątek.

— Miałem, sprzedałem niedawno, a wymówiłem się od pańszczyzny salonowej w Zborowie, bo mi to przeszkadzało w pracy i zabierało masę czasu. W tym towarzystwie jestem trochę dysonansem.

Malicki badawczo mu się przyglądał. Musieli mu Bujniccy wiele opowiadać, a teraz kombinował to, co słyszał i co widział. Bardzo był sprytny widocznie, bo zagadnął:

— I Lasota się z panem przyjaźnił. To szczęście, że pana nie oskubał z wielkiej sympatii.

Aleksander żywo odparł:

— Względem pana Lasoty mam tyle długów wdzięczności, że żadnej usługi mu nigdy nie odmówię ani go sądzić nie będę, lecz zawsze bronić.

— Murzyna bielić! Daj pan sobie pokosi Szkoa pana zapału! Słyszałem, że panu na dogodnych warunkach sprzedał ten folwark, który mu jak z nieba spadł. To żadna z jego strony zasługa, bo po pierwsze: pewnie prędzej odebrał

202

od pana należność, niżby otrzymał z kolonizacji, a po drugie szuler jest zawsze wspaniałomyślny, gdy mu szczęście idzie, a zawsze oszust, gdy się wena odwróci. Jedno i drugie mało go kosztuje, bo on całe życie żyje na cudzy koszt. Zresztą, wywdzięczając mu się, nie spełni pan dobrego uczynku ani jemu się nie przysłuży. Przedłuży pan egzystencję szkodliwego pasożyta, ja wymawiając mu dom, dałem najlepszą radę: żeby sobie w łeb palnął. Posłałem mu nawet dwadzieścia pięć reńskich na rewolwer. Czy pan tam był u niego w tych nieszczęsnych dobrach?

— Nie.

— Jest tam miasteczko pełne lichwiarzy, którym on oddał

na pastwę ziemię, lasy, wody i wszystko, co po tej ziemi chodzi, co na niej mieszka. Zgroza, co tam za wyzysk, krzywda, ruina i nędza! Dawno by stracił i tytuł własności, który mu tylko pozostał, ale Żydzi to utrzymują, żeby do skończenia świata wyciskać sto za sto. A przecie to była pańska fortuna i rodzice jego zostawili jedynakowi czystą jak szkło! A teraz w ich domu mieszka Żyd dzierżawca, a po ich mogliach pasą się jego kozy czy krowy. A jednak życie spędza na szulerce, nie mając odwagi rozbijać po traktach, co na jedno wychodzi. Pojedź pan tam kiedy do tej nieszczęsnej Czernicy, a wtedy bron pan Lasoty.

Stary ręką machnął i zabrał się do kawy, ale po Chwili coś sobie snąć przypomniał, bo spytał:

— Toć on podobno konkurował o hrabiankę Starzę?

— Nie wiem — odparł lakonicznie Aleksander.

— To jest: nie chce pan powiedzieć. Ale ja wiem wszystko

— położył nacisk na ostatnim wyrazie.

— Może pan nawet więcej wie niż ja — zaśmiał się Aleksander.

— Piękna hrabianka nie ma szczęścia do konkurentów, 203

boć to i Tekeny w szranki stawał.

— Pan Tekeny, sądzę, to dobra partia. Ma olbrzymie dobra, stada, pałace, no i magnackie nazwisko.

— Wszystko fałsz, zacząwszy od dóbr, skończywszy na nazwisku. Prawdziwa tylko to ta historia z ciocią. Ładnie by wpadła hrabianką, żeby wyszła za tego draba.

— Aleksander milczał, nie chcąc się zdradzić, że go to zajmuje. Wyrzwał oknem na stojące przed domem pocztowe konie i zawołał Michała, żeby znosił pakunki.

Rozpoczął się rejwach wyjazdu, tysiące poleceń i pożegnań, podziękowania Malickiego, chlipy Józki, szczekanie Warty, aż wreszcie stary, rozklekotany kocz ruszył sprzed bramy, obryzgując błotem gapiów i Aleksander, przeprowadziwszy go wzrokiem aż do zakrętu, nie wrócił już do pustego domu, ale poszedł ku dworowi, zniechęcony do życia i czynu, zbuntowany na los, przysięgając sobie najuroczyściej, że już nigdy sierot nie będzie brał w opiekę.

Zajęcia rozproszyły mu czarne myśli, ale wieczór w biurze wydał mu się nieznośnie długim; deszcz padał, do pustego domu nie miał odwagi pójść. Proboszcz szedł spać z kurami, więc, znudzony, ubrał się porządniej i poszedł do Adama.

Słoty rozpędziły większą część gości, zostało dwóch czy trzech sportsmenów i suspirantów hrabianki, jej zwykły dwór.

Ci spędzali wieczory w salonach, więc kancelaria Adama była pusta i tam się ulokował Aleksander, nad stosem gazet; słuchając półuchem fortepianu z salonów.

Siedział tak dość już długo, gdy wszedł Adam.

— Jesteś! No i co słyhać? — zawołał.

— Ano, zabrali nam dziecko, matka z małą pojechała.

Jestem zły jak pies.

— Więc ten jegomość naprawdę jej krewny?

— Rodzony wuj, Malicki.

— Malicki, Juliusz?

— Kat go wie, czy Juliusz. Nie byłem ciekawy spytać, kiedy obchodzi imieniny.

— Człowieku! Jeśli to Juliusz Malicki ze Strugi, to najbogatszy szlachcic w Sokalskiem. Awantura! I ta mała to jego rodzona siostrzenica?

— Niestety, tak.

— No, to teraz Lasota *kaput*. Nie ma sukcesji. Więc już zabrał dziecko?

— Dziś rano i matkę pociągnął. A że wiem, jak ona do małej przywiązana, nieprędko ją z powrotem zobaczę.

Jeszcze i mnie gotowa tam za sobą przeciągnąć.

— Patrzcie no, z tobą się dzieją nadzwyczajności!

— Istotnie, i wszystkie bardzo przyjemne — mruknął

ironicznie Aleksander. — Za każdą nadzwyczajnością coś tracę. Zdaje mi się, że wreszcie to się skończy, bo nie będę miał już nic i nikogo na pastwę.

— A wiesz, że to dziecko za kilka lat będzie najpierwszą partią w Galicji? Mój drogi, jak się z nią ożenisz...

— Albo ty.

— Ja za stary.

— A ja za młody. Żal mi dziecka; kobiety nie będę pożądał. W tym wszystkim szkoda mi też Lasoty. A może właśnie to go opamięta.

— On w łeb sobie palnie. Toć on od trzech lat pożyczka na rachunek Strugi, ostatnimi czasy pojechał do Monte Carlo odegrywać się, bo się haniebnie splukał w Wiedniu. Za dni kilka wieść o tej małej obleci Galicję i wtedy Lasota jest człowiekiem umarłym. Chyba, chyba, wena mu wróci! No, ale to niesłychana nowina! Muszę ją zanieść do salonu.

Chodź i ty!

— W tym czarnym humorze? Dziękuję ci, wolę studiować politykę, a potem zasnąć.

Nie zasnął jednak, bo go zaczęła trapić myśl o Lasocie i póty ją w głowie obracał, aż uwierzył w zdanie Adama, że to się skończy samobójstwem. Postanowił tedy go ratować.

Jechać na Rivierę nie miał za co, ale napisał serdeczny list i wysłał go do Lasoty.

Minęło parę tygodni, wreszcie miesiąc, miewał częste wieści ze Strugi, ale matka nie obiecywała powrotu przed świętami, a Malicki wciąż powtarzał swą propozycję dzierżawną. Kalinowscy i Gizela wyjechali do Warszawy, rozpoczęły się słoty i listopadowe szarugi. Zajęcie w porządku zorganizowanych dobrach było za małe dla Aleksandra. Zaczęła go męczyć nuda i żądza trudu i walki. W

samotne wieczory męczył się nieznośnie, bunt wzbierał, a w głębi duszy bolało to niefortunne kochanie, które przeklinał

słowem, a pozbyć się nie mógł, a może i nie chciał.

Wreszcie pewnego dnia pojechał do Warszawy. Zabawił

dzień jeden, do Kalinowskich wcale nie poszedł, ale zobaczył

hrabiankę w teatrze. W najdalszych rzędach krzeseł ukryty patrzył ku loży, pewny, że go nie spostrzegą. Raz tylko, sekundę, poczuł lornetkę Gizeli skierowaną w, tę stronę i przerażony, zaraz wyszedł. Też nocy wyjechał z powrotem.

A przecie Gizela go dostrzegła, a co dziwniejsza, nie wspominała o tym Adamowi. Nazajutrz spodziewała się, że Aleksander kuzyna odwiedzi, ale gdy się nie zjawił, uśmiechnęła się dziwnie i była dnia tego podwójnie wesoła i zalotna względem swych asystentów. W jakiś czas potem oznajmiła matce, że na święta muszą być w Zborowie. Pani Kalinowska zaprotestowała desperacko. Nie lubiła wsi latem, tym bardziej nienawidziła zimą. Ale córka miała gotowy argument.

206

— Mama przecie wie, że od Nowego Roku tracę rządę.

Trzeba go obrachować i uwolnić.

— I po co ci ten kram? Był spokój, samaś narobiła kłopotu swymi fantazjami.

— Nie cierpię tego człowieka i łask jego nie potrzebuję.

Adam, który rozmowy słuchał, milcząc uśmiechnął się nieznacznie.

— Może zaprosimy kogo na święta?

— Nie chcę! Ludzie mi obrzydli!

— Czy nie myślisz wstąpić do Kanoniczek? Dałaś znowu podobno kosza temu pocziwemu

Fredziowi?

— Ty nas poróżnisz z całym towarzystwem — zawołała pani Kalinowska. — Pół Warszawy jest obrażonych.

— Phi, nie zabraknie w tym zacnym społeczeństwie amatorów na moje pieniądze.

— Wybacz, ale Fred ma sam miliony i starał się tylko o ciebie — oburzył się Adam. — I to ci przepowiadam, że lepszej partii mieć już nie możesz.

— Owszem, lepsza będzie ta, która mi się spodoba.

— Było jasne jak słońce, że ci się Fred podobał.

Wyróżniałaś go na każdym kroku. Od tygodnia bez żadnej racji wpadł w niełaskę.

Gizela ruszyła ramionami za całą odpowiedź i nie czekając natarcia ze strony matki, wyszła z salonu. Naturalnie postawiła na swoim. Wyjechali w przeddzień wigilii, zastali na stacji ekwipaże zborowskie, sanie, bo pyszna była sanna i słoneczna pogoda. Gdy stanęli na miejscu, Adam spytał zaraz o Aleksandra.

— Pan administrator wyjechał do Galicji — oznajmił lokaj.

Gizela zmarszczyła brwi.

207

— Kiedy? — spytała ostro.

— Wczoraj, jak tylko konie wysłano. Zapowiedział, że wróci na Nowy Rok.

— Bardzo uprzejmie z jego strony, że raczy niedługo kazać czekać na siebie — ozwała się po francusku Gizela. —

Ale proszę cię, Adamie, wyślij do niego zaraz depeszę, że go wzywam na drugie święto dla zdania rachunków.

— *Mais, ma chere\** — upomniała matka. — Do czegoż to podobne?

— Wcale nie wiem, gdzie wysłać depeszę — rzekł Adam.

— A gdzież by? Do Malickiego. Przecie on tam ma zamiar przenieść swe operacje finansowe i matrymonialne. Pilnuje bogatej dziedziczki.



— Ma rację. Nie trzeba mu przeszkadzać. — odparł

flegmatycznie Adam. — Zawsze się bałem Binsteinów dla niego. Tę małą wychował, niech się z nią żeni.

— Ależ i owszem! Przede wszystkim jednak niech tu skończy swe zobowiązania. Nie będę czekać na niego!

Uklonił się, rysi mu się skurczyły, był sztywny, urzędowemu uważający na siebie.

Wychyliła się nieco i skinęła głową.

— To ja kazałam wezwać pana. Przepraszam, żem popsuł

miłą zabawę. Będzie to ostatni raz. Słyszałam, że pan jest rozrywany w Galicji. Winszuję, robi pan świetny interes.

— Nie świetny, ale szalony. Wierzę w swoją gwiazdę.

— Nigdy pana nie zawiodła?

— Dotychczas nie. Bez grosza dostałem Mniszew, teraz grosza obejmuję Strugę.

— Jak to bez grosza? — wtrącił Adam. — Przecie masz pieniądze za Mniszew.

Aleksander poczerwieniał i Sekundę się zawahał.

\* Mais, ma chere (fr.) — Ależ moja droga

208

Niechący sicy zdradził.

— Te za Mniszew rozeszły się — odparł wreszcie.

— Gdzie? Na co? — badał Adam, a hrabianka bystro nań patrzyła.

— Już nawet nie pamiętam na co. Poszły w świat, to los pieniędzy. Mniejsza o nie, będą inne. Jak się jest na dorobku, to się tak bardzo nie liczy ani skrupulizuje. Dziedziczne nakładają obowiązki względem przodków i następców, a zarobione są wyłączną moją własnością. Antenaci i\* nic mi nie zostawili, więc nie mam żadnego depozytu. Życie mnie nie pieściło, mogę się byle czym obyć, a jak mam, tracę, to jest sukcesja karmazynowej krwi.

Skinął lekceważąco ręką i zwrócił się do Gizeli.

— Pani rozkaże jutro zdać administrację? Komu?

— Jutro zapolujemy na lisy o księżycu — odparła.

— Doskonały teren. Jadąc dzisiaj, widziałem kilka. Ale zdać administrację mogę do wieczora. Przygotowałem wszystko przed świętami.

— Jak to? Może i Zborów chcesz zdać jutro?

— Nie. To zajmie trochę czasu. Ale do lutego muszę skończyć. Już mnie tam ciągnie.

— A ja cię wcale nie myślę uwolnić.

— Ani się spostrzeżesz, jak się zamiana robi. Nie wszystko ci jedno, kto tkwi w biurze, byle był dochód i spokój, a za to ci ręczę.

— Lekkim sercem zmienia pan stosunki i zajęcie —

wtrąciła Gizela.

— Bezdomny człowiek nie może się bawić w tęsknotę.

Zresztą za mało mam tu roboty, próżniactwo tylko złe myśli rodzi. Zdrowiej mi tam będzie.

— A ja ci powiadam, że tak ciągle fantazją się rządząc,

\* antenat — przodek

209

niczego się nie dobijesz! — rzekł gniewnie Adam. — O co ci chodzi? Żeby nie służyć? No, to bierz Zborów w dzierżawę!

Lepsze ci dam warunki niż Malicki.

— To nietrudno, ale właśnie ja tego nie chcę. Nie będę pieczeniarem u bogatego krewnego.

— Jeśli wolisz być posądzonym, że pilnujesz bogatej dziedziczki Malickiego, to niech ci służy.

— Dowiodę, że tak nie jest, a potem oszczerców nauczę, jakem przekonał Wojewódzkich. To mój los, że mnie szkalują, ale ja potrafię się z każdym porachować. Jak się jest ubogim a ambitnym, to się nazywa na świecie, że się jest awanturnikiem. Ten stempel muszę nosić od kolebki do grobu. Niech tam! Ruszył ramionami i wstał:

— Zatem jutro polujemy. Nie będę państwa dłużej sobą zajmował. Dobranoc — rzekł lekkim tonem, składając hrabiance głęboki ukłon.

— Pan pozwoli jeszcze zatrzymać się na kolację — rzekła wstając. — Nikt pana w domu nie oczekuje, więc proszę do jadalni.

— Chodźmy — wziął go pod rękę Adam widząc, że się waha, i pociągnął w głąb domu.

Przechodząc przez salon Gizela rzekła półgłosem:

— Matka cierpi na migrenę. Będziemy sami.

Obejrzała się na niego, on zadrżał. Były to znowu te oczy dawne, jego opętanie. Przeraził się. Co znowu? Czy znowu pastwić się zacznie? Ale wnet lęk zagłuszyła krew; buchnęła mu do serca, do twarzy. Niech się pastwi, niech depcze, ale niech da sekundę takiego szczęścia, takie spojrzenie!

Zasiedli we troje w jadalni. Kazała podać przekąski i herbatę, własnoręcznie nalała mu koniaku. Adam zaczął mu opowiadać nowiny stajenne warszawskie, rozmawiali półgłosem, służba się snuła bez szelestu, atmosfera była 210

ciepła, rozmarzenie coraz bardziej ogarniało Aleksandra.

Niekiedy oczy podnosił i widział Gizelę równie zamyśloną, nieobecną duchem przy rozmowie, a łaskawą, jak bywała niegdyś, w rzadkich chwilach, za które potem ciężko pokutował. I zapomniał tej ostatniej sceny, jakby jej nie było nigdy, i wszystko jej darował.

— Otóż jak mi radzisz? Ustąpić Kociowi Kormorana za trzy tysiące? — pytał Adam.

— Ustąpić, ustąpić! — odparł machinalnie.

— A którego kupić: Sandwicha czy, Selkirka?

Ocknął się, zastanowił.

— Czy aby pewne, że Selkrik po Fortunacie?

— Jak to? Pokażę ci *studbook*.

Adam się zerwał i poszedł. Była chwila milczenia i nagle ozwała się Gizela.

— Więc pieniądze za Mniszew oddał pan Lasocie?

— Skądże pani to przypuszcza?

— Bo to do pana podobne.

— Pani to mówi o mnie? — zawołał gorzko.

— Tak. Znam przecie pana.

— Nie myślałem, sądząc po tym, co pani mówiła zwykle.

— Nie potrzebuję mówić, co myślę.

— Dlaczego? Żebym cierpiał?

— Dlaczego? — roześmiała się. — Jeśli mnie bawi, gdy kto cierpi, mogę sobie na to pozwolić. Ale nie wierzę w pańskie cierpienia.

— Niech pani nie wierzy. Jestem szczęśliwy.

— Niewiele panu trzeba — uśmiechnęła się ironicznie.

Adam wrócił, zanim Aleksander odpowiedział, i rozpoczęła się znowu rozmowa o koniach, wiosennym treningu, nadziejach na trzylatkach, cały kram sportowy. Aleksander silił się, by uważać, ale tak bezskutecznie, że hrabianka co 211

chwila uśmiechała się, a wreszcie i Adam zauważył brednie, które plół, i rzekł:

— Musisz być bardzo zmęczony. Idź spać, boś nieprzytomny. Żadnej pociechy nie ma z ciebie.

Na pożegnanie hrabianka podała mu rękę i wyszedł jak pijany.

Całą noc chodził po biurze, obracając bezustannie w myśli pytanie, co znaczy ta zmiana postępowania. Jak on postąpi, gdy da—lej kokietować i drażnić go będzie?

Wreszcie nad ranem zasnął, znajdując tę tylko odpowiedź, że jest jej zaprzędany bez siły i woli, i że szalony był, rozporządzając sobą, kiedy zależy od fantazji i kaprysu kobiety, która dla zabawy chwilowej, z nudów i próżniactwa, gotowa wszystkie jego postanowienia i zamiary zniszczyć jak dziecko zabawkę.

Ale już teraz nie desperował ani marzył ją zdobyć.

Z tym samem niedbałym zuchwalstwem, z jakim się wyzbył testamentu Wojewódzkiej, Lasocie oddał na przepadłe grosz ciężko zdobyty, a służył w Zborowie bezinteresownie, tak samo rozprawiał się ze swym sercem.

Ma służyć za zabawkę, ha, no, trudno! Niech służy! Nie chce przestać kochać, głupie jest, uparte, niech cierpi.

Sądzono mi wszystko na marne dać! Po co się borykać z losem? Pokutuje we mnie dusza niefortunna.

Zwykle po takiej rozprawie z sobą wracała mu fantazja i siła. Jakoż nazajutrz wesół był i ochoczy do życia i czynu i, pośpiewując, z czapką na uchu, poszedł do pałacu.

Pani Kalinowska przyjęła go bardzo serdecznie, wypytała o galicyjskie sprawy i wzdychając zgodziła się na Sochowicza.

— Naturalnie. Tamto dla pana korzystniejsze. Z całego serca życzę powodzenia i dobrego losu. Niechże pan nas nie 212

zapomni i uważa za najlepszych przyjaciół. Serdecznie dziękuję panu za pracę. Nie zastąpi pana nikt.

— Wierzę — zaśmiała się Gizela. — Nikt nie będzie pracował *pour le roi de Prusse*\*.

— Niech pani mnie nie przecenia. Przybyłem tutaj pod zarzutem złodziejstwa i oszustwa. Dano mi możliwość rehabilitacji; ręka, którą mi Adam podał, za brata mnie uznając, dała mi wstęp do towarzystwa równych mi urodzeniem. Za małym wyplacił jeszcze i zawsze mu dłużny zostanę.

— Tak, ale zawieszasz wypłaty i zmykasz — odparł

żartobliwie Adam. — Ej, coś tam jest podejrzanego w tej Galicji! Przyjadę do Strugi i wyszpieguję.

— Toć wiesz, że mam zdobyć księżniczkę. Muszę się starać o pałac dla niej.

— Dobrze, dobrze — ucieszyła się pani Kalinowska. —

Żeń się pan, ja służę za swatkę. Gizela, widocznie zniecierpliwiona, ruszyła ramionami.

— *C'est stupide!*\* — zamruczała, tak, żeby matka nie dosłyszała, a głośno dodała:

— Cóż będzie z naszym polowaniem na lisy?

— Uda się dobrze, bo mamy pełnię na niebie, a ciszę na ziemi. Trzeba tylko wybrać spokojne konie i niechybkie sanki, a ręczę, że oszukamy Reineka.

— Konie — zawołał Adam — ano, to chodźmy do stajen i wypróbujemy kilka par.

Poszli we troje i po długiej naradzie założono pierwszą parę. Aleksander wziął lejce w ręce i powiózł ich wiorst kilka. Konie J okazały się za ostre i niespokojne, założono drugą parę. Tak przebierając zabawili się do południa, wreszcie Adam zaproponował wyścig, a że hrabianka

\* *pour le roi de Prusse* (fr.) — na cudzą chwałę (rachunek)

\* *C'est stupide!* (fr.) — To głupie!

213

trzymała z Aleksandrem, Adam pojechał sam, oni we dwoje.

Naznaczono metę w Małyniach i ruszyli.

Jak ptak lecieli. Wiatr im siekł twarze, konie szły największego kłusa, nie ustępowały na krok jedne drugim.

O parę wiorst za miasteczkiem rzekła Gizela:

— Puść go pan naprzód, niech przeforsuje swoje konie.

Dopędzimy przed Małyniami.

Wstrzymał konie i rzekł z uśmiechem:

— Niechże pani zapamięta, że z pani woli przegram. Już za parę minut nie napędzimy tamtej pary. Stracone!

— Mniejsza z tym. Wicher mi oddech tamuje, wolę przegraną niż chrypkę.

Pokręcił głową.

— A ja wolę nawet tyfus niż przegraną.

— Ano, to leć pan!

— Już teraz za późno — rzekł patrząc przed siebie.

Roześmiała się.

— Gdyby nie to, mniejsza o moją chrypkę. Grzeczny pan bardzo!

— Myślałem, że pani chodzi o wyścig.

— W tej chwili nie. Chciałam spaceru i rozmowy. Dobowe się pan bawił ostatnim razem w Warszawie?

Spojrzał na nią.

— Ja wcale nie byłem tymi czasy w Warszawie.

— Nie wiem, co pan nazywa tymi czasy. Pytam o tę bytność, kiedy pan był na *Carmenie*.

Milczał chwilę, wreszcie odparł:

— Wtedy byłem chwilowo za osobistymi sprawami.

Możem i wstąpił do teatru, nie pamiętam.

— A nas pan nie spostrzegł w loży?

— Adam mnie widział? — spytał niespokojnie.

— Nie sędzę. Był pan tak ukryty, że ja nie byłam pewna, 214

czy się nie mylę.

Uśmiechnęła się złośliwie, więc on się rozgniewał.

— Byłem, prawda, i widziałem panią. Nie wolno mi?

Dlaczego się pani śmieje? Czy to panią bawi?

— Czasami, tak — odparła powoli. Śmignął batem.

— Gdybym należał do towarzystwa pani, miałbym szczęście przeflirtowania jednego karnawału.

— Może być. Lubię różnorodność.

— No to się cieszę, że stoję na uboczu, bo po takim karnawale postrzelałbym następców.

— *Tiens*, a może by i to było zabawne. Miałby też pan sporą robotę, bo: *die Dummen werden nie alle\**.

Roześmiał się.

— I taka różnorodność bawi panią.

— Wszystko jest głupstwem — odparła lekceważąco.

— To mi pani żal. Musi być nudne życie pełne małostek.

Czynić czy czuć, na umór, to dopiero zabawa!

Roziskrzyły mu się oczy i rozdęły nozdrza.

Spojrzała ku niemu. Miała czasami pociąg do tej suchej, nerwowej twarzy, z której tryskała siła, wola i namiętność.

Był tak różny od przeciętnych ludzi i flirt z nim byłby też oryginalny. Ale się go bała i cofała jak przed przepaścią.

Teraz jednak ośmieliła się więcej niż zwykle.

— Sądząc po pana słowach zgroza ogarnia jak przed szaleństwem natury, ale tak nie jest. Ma pan za wiele woli i ambicji.

— Jedną pani właśnie tego nie poznała, niestety! Nie miałem ambicji, gdym się przed panią ukorzył, ani woli, żeby, odtrącony, panią znienawidzić, za najcięższą obelgę, jaką zniosłem, a pozwą—łać pani dalej bawić się z sobą jak z pinczerem. ;

\* *die Dummen...* (niem.) — głupców nigdy nie zabraknie.

215

— Zaczynają się impertynencje — roześmiała się. — Czy nie; dość panu mej łaski, że je zwykle cierpliwie znoszę? I ja siebie—nie poznaję w tym razie. To powinno panu bardzo pochlebiać..

— Wcale a wcale. Płaciła mi pani za tę chwilową łaskę impertynencjami wobec towarzystwa.

— *Vous êtes imbécile!*\* — zawołała niecierpliwie. —

Robiłam, co mogłam, żeby rządcy się pozbyć.

— A teraz, gdy się pani pozbyła?

— Staraj się pan mnie bawić czasami. Niezbyt często, żebym; się nie znudziła, i niezbyt rzadko, żebym nie zapomniała.

— I tak *ad infinitum?*\*

— To zależy od pana.

Zaciął konie i umilkł na chwilę.

— Zbiera się nowa seria impertynencji — zauważyła z uśmiechem.

— Nie — potrząsnął głową. — Myślałem o czym innym.

Służę pani do zabawy, tylko gdy mnie się taka zabawa sprzykrzy, zakończę po swojemu.

— Jak?

— Zobaczy pani. Postaram się, żeby nie było nudne.

— I pozabija pan wszystkich? — odparła żartobliwie.

Dojeżdżali do Małyń, gdzie już stał triumfujący Adam.

— Czy pan uważa siebie za pobitego? — spytała zalotnie Gizela.

— Naturalnie, bom żadnej nagrody nie zdobył — odparł, pewny, że go spiorunuje.

Ale uśmiechnęła się tylko zagadkowo i zaczęła wołać na Adama:

— Możemy wracać. Wygrałeś, szczęśliwcze! Siadaj z

\* *Vous êtes imbécile!* (fr.) — Głupiec z pana!

\* *ad infinitum* (łac.) — w nieskończoność

216

nami. Mama już pewnie z obiadem czeka.

— A dobrze — odparł Adam. — Ręce zmroziłem chyba.

Ty bo, Olku, masz żelazną wytrzymałość, aż ci zazdroszczę.



Ale się końmi półkrwi nie porywaj na córki Kormorana!

Mówiłem ci. Czy wam nie zimno? Wiatr syberyjski dmie.

Kazałam klacze wziąć do stajni. Przyślę po nie Walentego. A co? Jak szły!

I, uszczęśliwiony, całą drogę prawił i prawił, nie czekając odpowiedzi...

Ubierając się do obiadu hrabianka długo przeglądała się w lustrze, zamyślona, wreszcie uśmiechnęła się po swojemu, trochę zalotnie, trochę lekceważąco i szepnęła przez zęby:

— Niech jedzie! Wróci, kiedy zechcę, i będzie, czym zechcę!

217

X

Lasota od miesiąca bawił w swej Czernicy.

Zajmował dwa pokoje w opuszczonym pałacu i od rana do późnej nocy ujadał się z Żydami. Potrzebował jak zwykle pieniędzy i sprzedawał, co miał, co mógł mieć i czego mieć nie mógł.

Wszystko mu było jedno, że go odzierano ze skóry, byle zarwać na razie jak największą sumę i jak najprędzej z domu się wyrwać.

Nudziło mu się nieznośnie, toteż ucieszył się okrutnie, gdy pewnego wieczora zjechał doń Aleksander Kalinowski ze Strugi.

— Zbawco! Bóg cię tu zsyła! — zawołał radośnie. — Od dwóch tygodni chrzczonej duszy nie widziałem.

— Ładnie musiały cię niechrzczone urządzać! — odparł

Aleksander.

— Phi! — lekceważąco odparł Lasota. — Najgorsze, że tak długo męczą. Przed niedzielą się nie uwolnię. Cóż u ciebie słyszać? Podobno dokazałeś cudu, okpiłeś starego Malickiego i porastasz w pierze na Strudze. Wiesz, powinieneś kupić u mnie Czernicę. Dam ci *a fond perdu*\*.

Weszli do gabinetu. Aleksander poszedł do komina i grzał

ręce, bo wieczór październikowy był chłodny.

— Stary Malicki sam cenę dzierżawną oznaczył, więc się chyba sam okpił. Rzeczywiście dobre miałem te trzy lata, i żeby takich jeszcze kilka, Czernicę będę mógł kupić!

— Koszałki–opałki! Za lat kilka będziesz panem na Strudze, a moja Czernica przejdzie na Stary

Testament. Nie mniej czekać lata.

\* a fond perdu (fr.) — na poczet straconej sumy 218

— Myślisz, że się ożenię z Józia? Nie!

— Okropnie jesteś głupi! Tyle lat dać się za nos wodzić kokietce i życie marnować. Żeby twoja matka była, opowiedziałbym jej, w jakich złych jesteś rękach.

— Moja matka zna mnie do gruntu i nie miałem przed nią tajemnic.

— I może pochwałała to zapamiętanie bezsensowne?

— Nie znajdowała, żeby to było marnowaniem życia i wołała to niż wasze romanse na setki. Zresztą mówmy o czym innym. Dokąd wyjeżdżasz stąd?

— Sam nie wiem. Gdzieś na polowanie zapewne.

— Jedź ze mną do Zborowa. Masz pewnie zaproszenie.

— Mam, ale nie wiem, kto więcej będzie. Żeby tam spotkał Freda i Gucia, tobym pojechał.

— Widziałem ich obu na wyścigach jesiennych i wybierali się stanowczo.

— Ano, to jadę. Weźmiesz mnie na swoje konie, bo nie trzymam stajni w tej mojej Jerozolimie.

— Więc w poniedziałek ruszamy.

— Fe, poniedziałek feralny dzień! Jeszcze który z nas żyw stamtąd nie wróci.

Aleksander ruszył ramionami.

Zapalił cygaro, wyciągnął się w fotelu przed kominkiem i uradowany z towarzystwa przyjaciela, wesoło zaczął:

— Ależ Tekeny skończył niefortunnie!

— A cóż! Musiał poślubić ciocię.

— Uciekł od niej, ale go odnalazła i zaprowadziła jak Ifigenię do ołtarza.

— Śmieję się, śmieję! A dałbyś wiele, żeby ciebie tak zaprowadzili, zamiast wodzić po manowcach flirtu.

Aleksander poczerwieniał i brwi zmarszczył:

— A któż więcej ze mną do tych łowów należy?

— Wyznam ci na pociechę, że ostatnimi czasy hrabianka była bardzo stała w swej ostatniej fantazji, tak, że aż zaczęto o tym gadać. I to dla ciebie najgorzej.

Aleksander podniósł gorejące oczy z niemym pytaniem.

— Bo złęknie się plotek i kompromitacji, i wpadniesz w niełaskę. Innego epilogu być nie może, bo jesteś dla jej pychy i dumy za małą partią na męża. Zresztą miałeś szalone szczęście! Wiesz, gdym się o nią oświadczył, daję ci słowo honoru, kochałem, nie myślałem o fortunie. Nie zyskałem nic, nic, najmniejszej łaski. I nie ja jeden! Legion był

odtrąconych bez litości. Aleksander wstał i przeszedł się po pokoju rozdrażniony. Żadna moc nie zmusiłaby go do wyznań.

— Zatem jedziemy w poniedziałek. Zaproszenie jest na środę, a wcześniej nie mogę się wybrać. Jadę jutro do Malickiego, do Lwowa, zajmie mi to trzy dni. Przyjedziemy w porę, wieczorem na tańce. W piątek polowanie z chartami.

Prowadzę dwie sfory doskonałych psów dla Adama.

Lasota zadzwonił, kazał podawać kolację i światło, i grzebiąc zawzięcie pogrzebaczem w głowniach komina, rzekł:

— Wiesz ty, coś powinien zrobić? Pogodzić mnie z Malickim.

— I owszem, tylko przestań grać.

— Ba! A cóżbym robił? Pracować już się nie nauczę, a nic innego mnie nie bawi. Ty tego nie rozumiesz, bo ty jeszcze możesz kochać, czuć, jesteś pełen życia. A mnie to jedno zostało! Et, lepiej zagrajmy w baka! Licho bierz Malickiego, za tydzień mogę być od niego bogatszy, a od ciebie szczęśliwszy. Zeszłej zimy w Nizzy\* wygrałem w jeden wieczór trzykroć sto tysięcy franków i omal ci nie odesłałem

\* Nizza — Nicea

długu. Ile tam tego jest?

— Nie pamiętam. Mniejsza!

— Nazajutrz przegrałem połowę.

— No i co byś zrobił, żebyś przegrał sześćkroć?

— A co byś zrobił, żebyś przegrał swoją szklaną górę, na którą się drapiesz tyle lat? Ty także

uprawiasz hazard całe życie, a mnie się dziwisz. No cóż, zagramy?

— Nie dzisiaj, bo mi się spieszy. Wpadłem, żeby cię do Zborowa zamówić, chwilę pogawędzić i kolację zjeść. Jestem w drodze do S okala.

— Niechże cię lichy porwie z tą wieczystą jazdą i interesami. O wiele wygodniej traci się pieniądze, niż się je zbiera, dlatego nigdy nie miałem gustu do zbierania. Powiedz no jeszcze jedno: ładna ta Józia Sławska?

— Bardzo przystojna.

— I zawsze w tobie zakochana?

— Niegroźne są zakochania siedemnastoletnie. Bywa tam u nich młody Nietyksza, bardzo porządny i elegancki chłopak. Ten ją weźmie.

— Naturalnie, jeśli ty nie upilnujesz. To jest zgroza tak wszystko marnować. Ty do niczego nie dojdiesz, pomimo szalonego szczęścia. Słuchaj no: ostrożnie, za wiele stawiasz na kartę!

— Zawsze wszystko co mam.

Lasota głową pokręcił i wstał, bo oznajmiono kolację.

Pomimo namów Aleksander nie dał się zatrzymać na noc i wyjechał zapowiadając, że wstąpi rano w poniedziałek.

Jakoż o świcie tego dnia zbudził Lasotę i gwałtem wyciągnął z tózka. Konie stały pod gankiem, węgierska czwórka, doskonale dobrana, pogoda była jasna i sucha, droga dobra.

— Przyjedziemy za wcześnie — ziewał Lasota. — Te 221

bestie muszą wściekle chodzić.

— Mamy komorę i złe tam drogi. Wielki czas.

— Bodajeś kark skręcił z tą gorączką. A gdzież psy?

— Wyprawiłem naprzód.

— Trzeba być chłopem, żeby wstawać o tej porze. Józef, pakuj rzeczy!...

I mrucząc poddał się losowi.

Ruszyli tedy ku granicy. Aleksander sam powoził, konie szły jak wicher, on, szczęśliwy, pogwizdywał; dobra była jazda. Ale na komorze zmitrężyli godzinę dłużej i wieczór był ciemny, gdy z miasteczka wjechali w dworską wysadę i zobaczyli rześkie oświetlony pałac zborowski.

Aleksander umilkł, bo mu za mocno tłukło się serce w piersi. Zajechali pod boczny ganek i weszli na korytarz gościnnych mieszkań, gdzie na nich już czekał lokaj.

Muzykę słycać było z salonów i gwar zabawy.

— CzeKaliście nas? — spytał Lasota.

— Po południu przyszły psy i dojeżdżacz pana Aleksandra. Pan dziedzic kazał czekać i przeprosić, że nie będą panowie mieli osobnych pokoi Pełno dam najechało.

Jasny pan będzie mieszkał z hrabią Alfredem, a pan Aleksander w gabinecie pana dziedzica. Pałac zapchany jak nigdy.

— Ślicznie! Bardzom rad z towarzystwa hrabiego Alfreda.

A hrabia Gustaw jest?

— Jest.

— To mi nic do szczęścia nie brak, tylko wody, mojego kuferka i twojej pomocy.

Teraz Lasota gwizdał, szczęśliwy.

Aleksander rozlokował się w gabinecie Adama, przebrał w strój balowy i poszedł do salonów.

Chwilę stał w progu, patrząc na tańczących i witając 222

znajomych, wreszcie ruszył do pani Kalinowskiej, królującej wśród starszych dam.

Zatrzymywany co krok rozmową, zapytaniem, posuwał się powoli, spełniając towarzyską powinność, klnąc ją w duchu, a uśmiechając się uprzejmie.

Kilkanaście par tańczyło walca, parę razy hrabianka przemknęła obok niego, nie patrząc jakby nie poznając. Ale te czasy minęły, gdy wątpił i lękał się zdrady.

Gdy usiadła na chwilę, stanął przed nią i głęboko się uklonił. Wstała leniwie, jakby przez grzeczność, niechętnie, i walc ich uniósł.

Wtedy ciężko się na nim oparła i rzekła niecierpliwie:

— *Vous avez pris du temps pour venir?*<sup>\*</sup>

Odpowiedział jej tylko spojrzeniem, pod którym zadrżała.

— Patrzą na nas — szepnęła.

— A moich tańców nikt nie zabrał? — spytał.

— Co było pana, to i będzie.

— Wszystko? Zawsze?

— Zawsze, najlepsze! Dosyć tego walca! Tańcz pan ze wszystkimi, nie zwracaj uwagi.

— *Quelle corvee!*\* — wyrzucił z siebie wściekle.

— Jednak ja ją spełniani. Pierwszy kontredans pański, proszę nie zapomnieć.

Wysunęła się z jego rąk. On, posłuszny, zaangażował

pierwszą lepszą damę i tańczył dalej, aż dopóki wodzirej nie dał muzyce sygnału. Wtedy się rozejrzał i nie widząc w sali hrabianki, wyszedł do gabinetu, niezdolny do rozmowy i uwagi. W gabinecie pełno było gruchających, par, szmeru rozmów, szelestu balowych sukien, ukrywanych uśmiechów.

Perfumy i kwiaty tworzyły rozmarzającą atmosferę, nikt na niego nie uważał.

\* Vous avez... (fr.) — Nie śpieszyło się panu, prawda?

\* Quelle corvee! (fr.) — Co za pańszczyzna!

223

Poszedł dalej i znalazł się w buduarze pani Kalinowskiej, także pełnym ludzi i szeptów. W tej chwili Gizela ukazała się w dalszych drzwiach i zawołała swobodnie:

— Przysłali pana po kotylionowe przybory? Dobrze, zabierz je pan, tu leżą.

I usunęła się; wszedł do jej saloniku, oświetlonego jedną tylko purpurową lampą. Nie było tu nikogo; na stoliku, za wysokim ekranem, leżały stosy fraszek jaskrawych.

— Bierz pan! — szepnęła prawie bez dźwięku.

A on ją ramionami do siebie przygarnął i gorejącymi usty całował. Ręce Gizeli splotły się na jego szyi i trwała długo cisza. Wreszcie ona usunęła go jakby z żalem i rzekła głucho:

— Idźże, zostaw mi trochę przytomności na resztę balu!

— Po co być przytomnym, kiedyśmy szczęśliwi! —

odparł.

— Ażeby nimi pozostać. *Tu es fou!*\* Tylu ludzi! Zabieraj te ordery i wynoś się! *Au revoir!*\*

Przechyliła się, musnęła ustami po czole i dłonią zakryła mu oczy.

— Zgaś je, bo nas zdradzą! — dodała z uśmiechem.

I wymknęła się do dalszych apartamentów.

\* \* \*

Kiedy nad ranem bał się skończył, Aleksander jeden z ostatnich przyszedł do gabinetu Adama, przebrał się i, nie myśląc nawet o śnie, rzucił się na fotel, aby żyć dalej wspomnieniem szczęśliwości bezmiernej.

Siedział tak rozmarzony, bogom równy, przechodząc

\* Tu es fou! (fr.) — Jesteś głupcem

\* Au revoir! (fr.) — Do widzenia!

224

myślą wrażenia rozkoszne, gdy wszedł Adam.

— Nie śpisz? To dobrze! Nie mieliśmy czasu trzech słów do siebie powiedzieć, a bardzo ciekawy jestem, co myślisz o moim liście.

— Jakim liście?

— No, ostatnim, com wysłał przed tygodniem.

— Wcalem go nie otrzymał. Byłem ciągle poza domem.

— *Tiens*, więc ci muszę znowu wszystko *da capo* opowiedzieć. Wyobraź sobie, żenię się!

— Serdecznie wieszczę! Zawszem cię namawiał. No i któraż zdobyła twe sportowe serce?

Adam wyglądał nieswój; zacząć było łatwiej niż skończyć.

— Wiesz, ja sam dotąd nie oprzytomniałem. To było coś tak niespodziewanego, nagłego, że dalibóg gdyby nie dotykalne dowody, myślałbym, że śnię. Tyle lat byłem ślepy i niedomyślny, że Gizela mnie kocha, aż mi ona sama otworzyła oczy.

Odetchnął Adam, ale nie śmiał spojrzeć na kuzyna i prędko dalej mówił, chodząc po pokoju:

— Wszystko wtedy zrozumiałem: jej ciągle odrzucanie najlepszych partyj, częste rozdrażnienia i fantazje, i różne z nią rozmowy. Strasznie byłem głupi. No, teraz minęło i doszliśmy do porozumienia. Jeszcze zaręczyny nie ogłoszone, ale matka już wie i ja wygrałem wielki los. W

karnawale ślub. Nieprawda, że to niespodzianka?

— Więc hrabianka sama ci się oświadczyła? — spytał

Aleksander zachrypniętym głosem.

Musiał się przeziębic na tańcach.

— Było to tak. Matka na nią kiedyś napadła, że o opinię nie dba, że się bawi z każdym, że się naraża na plotki.

Zwykły temat gderania. Wtedy ona przyszła tutaj do mego gabinetu i powiada, że raz chce koniec zrobić, że jej to życie 225

obrzydło, że przecie powinien się domyślić, na kogo czeka i kogo pragnie; no i zrozumiałem. Mówię ci, od tej chwili jestem bezustannie pijany.

— I napisałeś do mnie pod pierwszym wrażeniem?

— Tak. Bo widzisz, po pierwsze: należało ci się to, jako najlepszemu krewnemu, a po drugie: czuję przez skórę, żeś mi prawdziwie brat i życzliwy przyjaciel. Musiałem ci moim szczęściem się pochwalić.

— I hrabianka o tym wiedziała?

— A jakże. Powiadam: nie wytrzymam, napiszę do Aleksandra; a ona odparła: napisz, że go pasuję na najbliższego domownika.

Aleksander zerwał się z miejsca. Tego było zanadto. Więc wiedziała o wyprawieniu listu, była pewna, że go odebrał, gdy przed paru godzinami, w zimowym ogrodzie...

Zachwiał się i ręką oczy zakrył.

— Co ci? — spytał Adam. — Pewnie cię łeb boli. No, a ja ci tu baję! Już idę. Kładź się spać!

I wyszedł wołając lokaja, czy kąpiel gotowa.

Aleksander do okna przystąpił.

Z mgieł wstawał dzień późny, jesienny, dzień bez słońca i koloru. Jednolicie szary był cały świat. Aleksandrowi się zdało, że w szarość tę zstępuje, osuwa się porwany próżnią.

Wokoło niego huczało i szumiało, a on jak wariat zaczął

ustami poruszać, szeptać wciąż jedno, co mu, nie wiadomo skąd, przyszło do pamięci:

Wer wagt es, Rittersmann oder

Knapp...

Wer wagt es, Rittersmann oder

Knapp...



Przymknął oczy, widział kłęby mgły przecięte tęczkami krwistymi, słyszał szum i czuł zawrót otchłani. I jak obłąkany powtarzał wciąż machinalnie:

Zu tauchen in diesen Schludh?

Stał tak może godzinę, wreszcie się poruszył i zaczął

zdejmować balowe ubranie.

Zęby mu szczękały, a twarz płonęła.

Przebrał się w strój do konnej jazdy i wyszedł z pałacu ku stajniom i kazał sobie osiodłać Flammę.

Klacz się rozrosła i spoważniała, jak przystało na matkę trzech potomków krwi Alicji, i masztalerz, podając strzemię, rzekł:

— Ciężka już, ale nogi czyste. Jeszcze niejedną młodą pobije. A jaka matka!

I pieśczośliwie ją pogłaskał.

Aleksander się uśmiechnął i ruszył żywo.

Minął miasteczko i znanymi sobie miedzami, prostkami wyjechał do Mniszewa.

Zmieniony był doszczętnie. Nowonabywca, spekulant, rozparcelował cały7 folwark, nawet dwór.

Wycięte były stare sady, zniesiony dom i budynki, trzy kolonie zajęły ich miejsce.

Grosz na groszu zarobił właściciel na tym interesie Niemcy—koloniści nie dbali o upiory, na miejscu owych tajemniczych mogił były teraz grzędy z kapustą.

Jadąc stępą, Aleksander oglądał to wszystko i widząc idącego drogą znajomego chłopca, pozdrowił go i spytał, gdzie się podziała niema Walera.

— O, będzie już trzy lata, jak ją Niemcy ubili — odparł

chłop, ponuro na kolonię patrząc.

— Jak to ubili?

— Kołami ubili, gdy im nie dawała mogił orać. Znaleźli ją nasi półmartwą pod płotem w rowie i w trzy dni zmarła. Żeby mówiąca była, odsiedzieliby zbóje w kryminale, ale taka to i nie pomszczona odeszła.

— Toście wielką prawdę rzekli, gospodarzu — rzekł

Aleksander żegnając chłopca.

Teraz klaczy cugle puścił, na gościniec się wydostał, minął

Małynie, lasy zborowskie, aż do pól, kędy owa sławna szopa stała, gdzie piorun ich trafił.

Szopa była teraz nowa, wokoło nowe runie, na niebie październik ponury, w powietrzu zapach pleśni i wilgoci.

Drobniutki deszczyk mżył i chłodził rozpalone czoło.

Zatrzymał się i rozglądał po krajobrazie, i przypomniał.

Sześć lat minęło od owej chwili, gdy w te strony jechał, by zdobyć szklaną górę.

Przez te sześć lat Wojewódzcy się rozwieli, Lasota sto razy się odegrał, Adam zdobył Gizełę, Józia odzyskała rodzinę i majątek, każdy coś zyskał, do czegoś doszedł, tylko on był przegrany i pobity, i wstecz myślą sięgał jak człowiek, co przed sobą już nic nie ma.

On i żebraczka Walera nie umieli się bronić albo też raczej walczyli o mrzonki i służyli grobom.

Ona nie miała sił do obrony, a on nie miał prawa. Ją zabili, on musi sam ustąpić.

Powoli, zatopiony w myślach, zawrócił Flammę. Zaczął z sobą obrachunek. Przez te sześć lat nie popełnił przecie nic złego, nie opuścił żadnego obowiązku, a jednak oto był

pobity, przegrany, odtrącony.

Więc tylko będąc bez czci i wiary, można ludziom imponować i dojść do czegoś.

Trzeba wyznać wszystko Adamowi i zdradzić kobietę albo 228

milczeć, żyć dalej i zdradzić Adama.

Krew mu się rzuciła do oczu. Przecie to ona przypuszczała, że on to uczyni, ona tak układała. Miał być

„domownikiem najbliższym”. Ohyda! Tak go kochała!

Rozpacz, wstyd i ból zmieszały się w duszy.

Taką kochał nad życie, taką ubóstwiał i taką ona jemu dała nagrodę, i taką zdobył u niej opinię! Był dobrym tylko na kochanka, na współnika zdrady i kłamstwa. Po to zdobywał

szklaną górę, głupi entuzjasta!

Skręcił w las, w gąszcz bez drogi, a gdy się głęboko zaszył

w młody jodłowy zagajnik, zsiadł z konia, na ziemię się rzucił i wył, gryząc wściekłymi usty mchy.

Potem się uspokoił i długo leżał bez ruchu, z twarzą zimną i skamieniałą. Tak zwykle po wybuchach wściekłości odzyskiwał swą moc i miał silne postanowienie. Jakoż i teraz podniósł się z ziemi, wsiadł na koń, w położeniu się zorientował, wyostał się na znany sobie tryb leśny i w pewnym już kierunku klacz poprowadził.

Las się skończył i wiankiem półmilionowym objął faliste pola izabelińskie, folwarku Gizeli, skąd się zwykle polowania rozpoczynały. Zwierz lubił tu przebywać, mając kryjówki po debrach i wąwozach, którymi te łany były pocięte i które opóźniały psów i jeźdźców.

Nieraz tu Aleksander szczuł chartami lisy i zające, więc znał wszystkie zakątki.

Rozejrzał się, oczami szukając „Pańskiej Debry” i ku niej na przełaj ruszył.

Łan był, zda się, tam gładki i równy, klacz szła rażno, gdy wtem raptownie się zatrzymała, wyciągnęła głowę, stuliła uszy i zachrapała.

Roześmiał się pogardliwie.

— Hej, złota, postarzałaś się i znikczemiałaś w 229

dostatkach. Boisz się śmierci, głupia! Wolisz pójść Żydowi na skórę, przy końcu kariery! No, nie — na taki koniec my z tobą nie rośli.

Ale jej nie zmuszał do skoku, tylko się na siodle przychylił

i patrzył.

Tu grunt się kończył przepaścią na kilka sążni głęboką, na dnie, wiosną, strumień biegł z lasów, rwał grunt coraz drapieźniej, nawłóczył gałęzi, pni, kamieni. Dąb, który niedawno rósł przy brzegu, podmyty wodą zwałił się, w głąb i sterczały korzenie jego połamane, ostre jak szpony, ziemia była niepewna, pod kopytami klaczy zaczęła się usuwać, zwierzę uskoczyło przerażone, kręcąc się i sapiąc.

Aleksander znowu wkoło się rozglądał, jakby plan topograficzny zdejmował, notował sobie w pamięci jakieś punkta. Wreszcie cugle zebrał i zawrócił ku drodze.

Chłodno było, ale twarz mu wciąż gorzała.

Spojrzał na zegarek: była druga po południu.

W Zborowie zapewne już odespali przetańczoną noc, musiał się spieszyć i musiał zupełnie siebie opanować, żeby się niczym od reszty towarzystwa nie różnić.

— Przecie potrafię udawać jedną dobę — mruknął. — Inni udają całe życie...

Gdy wrócił, była piąta godzina. Panowie grali w karty u Lasoty, panie ubierały się do obiadu, w tłumie i gwarze nikt się nie dziwił jego nieobecności, tylko Adam spytał, gdzie jeździł.

— Tak, trochę w pole, żeby się do jutrzejszego polowania przetrenować. Wszak od Izabelina zaczniemy.

— Naturalnie. Ale, mój drogi, poprowadzisz dzisiaj Gizelę do obiadu. Skarzy się na ból głowy, a z tobą nie potrzebuje forsować się rozmową.

— Służę, będę sam mówił, nie wymagając odpowiedzi.

230

— Dziękuję ci. Nie wiesz, jak mi jest miła ta zgoda między wami. Bałem się ciebie.

— Mnie? Dlaczego?

— Tak, myślałem... Aleksander przerwał śmiechem.

— Myślałeś, że ci nie brat. Uspokój się. Nie będziesz miał drugiego wierniejszego, i podali sobie ręce, W tej chwili odwołano Adama, a Lasota dojrzał

Aleksandra i zaczął go wzywać do gry.

— Bój się Boga! Gdzie się kryjesz dzień cały? Tyle drogiego czasu przeszło! Spróbuj szczęścia!

Spróbował i zaczął wygrywać, więc po chwili cisnął karty i rzekł niechętnie:

— Nie cierpię takiej weny. Toć tu nawet nie ma przyjemności walki z losem.

— Istny Polikrates. — Ktoś się roześmiał.

— Tak, trzeba Eryniom ofiarę dać — odparł Aleksander takim szczególnym głosem, że pomimo gorączki karcianej Lasotę to tknęło i oczy na niego podniósł.

Jakie on ma paskudne oczy, pomyślał. Musiało mu się coś stać. Trzeba będzie się dowiedzieć.

I z tym życzliwym postanowieniem wrócił myślą do gry.

Aleksander przebrał się do obiadu i poszedł do salonów, gdzie mniej zapamiętali gracze już się zbierali około dam.

Z daleka ujrzał Gizelę, wzywającą go oczami, ale pozostał

przy pani Kalinowskiej i rozmawiał swobodnie o wspólnych galicyjskich znajomych, aż dopóki lokaje nie otworzyli uroczyście drzwi do jadani.

Wtedy się zbliżył do hrabianki i podał jej ramię. Była obrażona, niełaskawa; milcząc zajęli miejsca u stołu.

Dopiero gdy gwar rozmów objął całe towarzystwo, zwróciła się ku niemu i spytała niecierpliwie:

— Gdzież to pan spędził dzisiejszy dzień cały?

231

— Byłem na schadzce — odparł.

— Z jakąś dawną flammą, w miasteczku? — rzuciła pogardliwie. — Nie traci pan czasu i szerokie ma serce.

— Serce mam szerokie, ale zawsze na jedną tylko osobę.

Dziś miałem schadzkę z tą, która je po pani zajmie. Pierwszy raz ją widziałem dzisiaj, ale jutro już do niej należeć będę, a ona do mnie.

— *Elle n'est pas diffidle!*\*

— O nie, tylko mało kto ma do niej gust.

Roześmiał się; Gizela ruszyła ramionami.

— Impertynencje pana stają się coraz brutalniejsze —

mruknęła rozdrażniona.

Spuścił głowę, jakby zbierał myśli, i po chwili rzekł ciszej:

— Dowiedziałem się rano dzisiaj od Adama, że się żeni z panią. Listu jego nie odebrałem.

Spojrzał na nią, była zupełnie spokojna, czekała, co dalej powie.

Ale on znowu umilkł z powodzi słów wybierając setne, aby utrzymać spokój i siłę, i nagle zaczął mówić tonem głuchym i smutnym:

— Wiadomo pani, że oprócz magnackiego nazwiska ojciec mi nic nie zostawił. Postanowiłem zdobyć, co mi wydarto, a uchować w całości wszystkie tego jednego spadku obowiązki. Jest to stara idea, średniowieczna, z której bardzo słusznie szydzą plebeje, bo ci, którzy ją przedstawiają, sponiewierali ją doszczętnie. Alem ją dosłownie wziął i powiedziałem sobie: fortuny może nie zdobędziesz, ale wielkim bądź. W ten tylko sposób magnatem zostaniesz.

— Dlaczego mi pan to mówi, tak bez racji? — przerwała mu Gizela lekko zaniepokojona.

— Dlatego, żeby, gdy kto kiedy spyta panią o Aleksandra

\* Elle n'est pas difficile! (fr.) — Ona nie jest nieprzystępna!

232

Kalinowskiego, mogła pani odpowiedzieć, że go znała, że był

to człowiek może głupi i szalony, ale prawy i czysty na honorze, nikogo nie zdradził, nigdy nie skłamał, nic nie ukradł, nie znał, co wstyd i hańba, i nie potrafiłby przeżyć przypuszczenia nawet, że go o cośkolwiek takiego posądzić mogą.

— *Vous devenez complètement fou\** — szepnęła hrabianka.

— Nie, pani, ja właśnie odzyskałem przytomność —

odparł spuszczać oczy pod jej gorącym spojrzeniem.

Zagryzła usta, ale tak była pewna swej nad nim mocy, że po chwili uśmiechnęła się lekceważąco. Naturalnie, będzie się buntować, warczeć, wyć jak lew ranny, ale ona mu da rady i zachowa tę swoją fantazję, jedyną, o którą dbała, ze wszystkich swych wielbicieli.

— Po co być przytomnym, gdy się jest szczęśliwym —

szepnęła tak, że on tylko mógł słyszeć.

Na to wspomnienie zadrżał i twarz mu się skurczyła, ale ani nic nie rzekł, ani oczu nie podniósł.

Machinalnie odsuwał podawane półmiski i odmawiał

wina, a pił tylko dużo wody.

Gizela zaczęła rozmawiać ze swoim sąsiadem z prawej strony, aby go więcej nie drażnić, a na siebie nie zwrócić uwagi towarzystwa.

Wieczorem, po obiedzie, znajdziemy swobodniejsze miejsce i chwilę. Wtedy mu uszu natrę i do rozumu zagadam.

Ostatecznie mniej jest wściekły, niż się spodziewałam, myślała.

Biedny magnat! Tak go rozumiała!

Ale po obiedzie i wieczorem już się ani na chwilę nie spotkali. Aleksander krótko zabawił w salonach i potem gdzieś zginął. Adam przypuszczał, że zmęczony musiał się

\* Vous devenez... (fr.) — Pan zupełnie oszalał.

233

schować do Sochowicza, do oficyn, aby spokojnie zasnąć.

## XI

Nazajutrz wymarzony był dzień do polowania.

Rosa opadła i grubymi kroplami szklila się na trawie, niebo było czyste, powietrze jasne, pełne rzeźwych zapachów. Nabrały barwy wyraźnej lasy i szmaragdowe runie, a białe pajęczyny sunęły nad ziemią, wróżąc jeszcze ciepłą jesień.

Posiodłane konie parskały ochoczo, a charty tarzały się z uciechy lub posforowane, gotowe do lotu, nastawiały uszy i wyciągały niecierpliwie spiczaste pyski, poglądając za bramę.

Zbierali się myśliwi i szykowne amazonki, flirtowano wesoło przed pałacem, nawoływano się i dowcipkowano.

Adam, pomagając wsiąść na koń Gizeli, zdobył się nawet na komplement i rzekł z zachwytem:

— Nie wiem, kto piękniejszy i bardziej rasowy: ty czy ten twój Macduff.

— Nie udawaj! — roześmiała się. — Żeby trzeba było wybierać, poświęciłbyś mnie bez wahania.

— Nie, na serio, nie! — odparł z przejęciem. Wtedy podskoczył i poczerwieniał z gniewu.

— Kto się ośmielił ruszać i osiodłać Flammę? — zawołał

na masztalera, który klacz podprowadzał.

— Ja kazałem — odparł za nim głos Aleksandra.

Zgarnął cugle i wskoczył na siodło, i porządkując strzemię dodał:

— Klacz, którą z sobą przyprowadził, zakulała w drodze.

Wziąłem tedy moją starą, żeby przypomniała młode lata.

— Ależ czy się godzi? To kryminał! — protestował

oburzony Adam. — Zresztą ona nie do chartów.

— Bądź spokojny, że dojdzie tam, gdzie żaden z waszych 235

nie dojdzie.

— Nie nudź — upomniała Gizela. — Wszyscy gotowi, ruszajmy!

Adam odszedł klnąc przez zęby.

Gizela ruchem pręta i wzrokiem wskazała Aleksandrowi miejsce obok siebie, i kawalkada ruszyła ku bramie.

Lasota zbliżył się do hrabianki i tak we troje wyjechali na końcu.

— Ja się nie spodziewam laurów na tym polu. Mam krótki wzrok, nic nie dopatrzę, a przy doganianiu nigdy dość konia nie wypuszczę, bo się wiecznie boję kark skrócić w tych przeklętych debrach. To zabawka średniowieczna, zachowaną dla przyjemności takich siłaczy jak Aleksander.

— Co? Skręcenie karku czy szczucie zajęcy? — tamten spytał z uśmiechem.

— Żebyś sobie postanowił nawet takie głupstwo, jak zamordowanie nieszczęśliwego zająca, tobyś gotów kark skrócić. Może nie?

— Zawsze lepiej kark skrócić niż kark giąć lub wykrzywiać. Krótszy ból i prędszy skutek.

— To moja zasada w grze. Lubię stawiać *en plein\**. Ale w życiu lepiej się udają kombinacje i kompromisy z losem, i tylko giętkie karki dochodzą do celu i do szczytów.

— A ja drwię z celu, do którego się pełza, i z zaszczytów, które tak się zdobywa. Przy pierwszym takim kroku już człowiek jest pobity, bo musi sobą pogardzać, a wtedy już nawet dobrej śmierci nie jest wart!

Lasota i Gizela spojrzeli na niego: Był blady, usta miał

spieczone i ponure, złe spojrzenie. Patrzył przed siebie w próżnię i dodał po chwili przerwy i namysłu:

— Tchórze i hipokryci ponadawali nikczemności różne

\* en plein (fr.) — otwarcie.

236

nazwy, ale kto śmiały, rzecz nazywa po imieniu, bo się nie boi o siebie.

— Co mu jest? — szepnął Lasota do hrabianki.

Poruszyła brwiami i zarumieniła się.

— Skądże mogę wiedzieć? — odparła. — Spytaj pan.

Pokręcił głową, ale w tej chwili ktoś na przodzie krzyknął:

„heż ha!” i kawalkada się zmieszała. Ruszono pierwszego zająca i wszyscy zajęli się łowami.

W tej chwili Aleksander zwrócił się do hrabianki i rzekł, wskazując punkt jakiś na podorywce:



— Widzi pani tego?

— Gdzie? Tam jest zając? — zawołał Lasota.

— Jest, ten będzie mój.

Obejrzał się na swoje charty, które tuż za nim chłopak wiódł na smyczy, kazał sobie smycz podać, schylił się przed hrabianką.

— *En vorte honneur ma chasse d'aujourd'hui!*<sup>\*</sup> — rzekł i ruszył naprzód.

— Gdzie on widzi zająca? To rola! — wołał Lasota.

Skręcili w bok za nim, zaciekawieni.

Wtem skiba się ruszyła, szarak wyskoczył.

— Heż ha! — krzyknął Aleksander puszczając charty i cugle Flammy.

I pognął jak wicher.

— Co za wzrok! — zawołał Lasota ruszając za nim.

Szarak gnał ku lasom, w bok polowania, po chwili oddzielili się we troje od reszty towarzystwa, ale Aleksander dużo naprzód się odsądził i znikł im zupełnie z oczu w parowie.

Konie szły cwałem, upajał ich pęd; ale gdy wypadli na wzgórze, nie zobaczyli nigdzie ni psów, ni Aleksandra i zawahali się chwilę.

\* En votre honneur... (fr.) — Dzisiaj poluję na pani cześć!

237

— Ku lasom! — zawołała zdyszana Gizela.

Polecieli dalej, wydostali się na izabelińskie pola, w dali słyhać było krzyki myśliwych, gdy wtem Gizela zawołała:

— Patrz pan!

I wskazała charty Aleksandra zziajane, wyciągnięte obok zduszonego szaraka.

Były tak zmęczone, że go nawet nie szarpały.

— A gdzie on? — zdziwił się Lasota.

Obejrzel się: kopyta klaczy znać było na polu. Lasota podskoczył za tym śladem nie oglądając się na hrabiankę.

Coś go tknęło, był niespokojny.

Ona się zatrzymała i widziała, jak ujechawszy kroków paręset nagle się zatrzymał, przechylił, krzyknął „Oleś!” i z konia zeskoczył.

— Co tam? — zawołała.

— Nie ma go! Jezus Maria! Ratunku! Ludzi! — zaczął

krzyczeć i biec nieprzytomny, i nagle zapadł się jak pod ziemię.

Już była tam i rozumiała wszystko.

Aleksander z klaczą zwał się w „Pańską Debrę”. Flamma przygniotła go padając na korzenie dębu, potem zwała się na samo dno jaru, a on, wbity między rosochy, leżał na wznak, nieruchomy; klacz jeszcze się rzucała w ostatnich drganiach, on twarz okrwawioną i martwą miał ku niebu zwróconą i już był spokojny.

Lasota o kilkadziesiąt kroków dalej zsunął się w głąb po mniej ostrej ścianie parowu i dopadł do niego w chwili, gdy Gizela spojrzała.

Obejrzał go, poruszał za głowę, do piersi dotknął i ramiona opuścił desperacko.

— Skończył! — szepnął bladymi ustami, drżąc cały.

Na górze rozległ się krzyk, podniósł oczy: hrabianki koń 238

uciekał z pustym siodłem, ona zemdląca.

W tydzień potem w Zborowie został z gośćmi tylko Lasota.

Aleksandra uroczyście przyjęto do rodziny, bo go pochowano z wielką okazałością w grobach Kalinowskich, w pięknej herbowej trumnie, przy uczestnictwie wielu hrabiów i magnatów, a teraz Adam z damami wybierał się za granicę i uprosił Lasotę, by im towarzyszył i pomógł rozerwać panie, wypadkiem tym okropnym bardzo wstrząśnięte.

I Adam przybity był i zgnębiony, zaniedbał stajnię i chodził osowiały z kąta w kąt, po sto razy na dzień powtarzając:

— I co mu się stało? Taki jeździec, taki przytomny! To fatalne! Tak marnie skończył! Dałbym pół Zborowa, żeby żył! Mówiłem mu: nie bierz tej klaczy!

Nie domawiał, może sam nie zdawał sobie sprawy z uczucia tego, ale w żalu po nim był i miał żal do niego za zmarnowanie córki Alicji.

Lasota przez tydzień ten nie wziął kart do ręki, zapomniał

o nich. Dniem i nocą zadawał sobie pytanie: co zabiło przyjaciela? W wypadek nie wierzył, zbyt dobrze go znał.

Ale myśli swe chował dla siebie i tylko obserwował, i badał. Sądził zrazu, że znajdzie w pugilaresie zabitego jakiś list, papier, co by mu prawdę odkrył, ale gdy z Adamem spełnili ten przykry obowiązek, znaleźli tylko ułożone w porządku świadectwo

o  
odnalezieniu pieniędzy

Wojewódzkiej, protokół pojedynku, pokwitowanie z zarządu Zborowa i Izabelina, kontrakt z Malickim, parę listów matki i na samym spodzie parę zeschniętych kwiatów, które za dotknięciem rozsypały się w proch.

Domyślał się Lasota, od kogo były kwiaty, ale zauważył  
przy tańcach takie spojrzenia ich obojga, a teraz widział

239

hrabiankę tak poruszoną nieszczęściem, że podejrzenia nawet nie miał złego.

A jednak to nie był wypadek.

Aż pewnego dnia, gdy o zmierzchu wszedł do salonu, tknęło go, że u żelaznego kominka ujrzał siedzących blisko siebie Adama i Gizelę.

Nie mówili do siebie nic, on trzymał w dłoniach jej rękę i pochylony chował.

Lasota zatrzymał się na sekundę, jakby oczom nie wierzył, a wtem Adam się obejrzał i cofnął.

Gizela nie zmieniła postawy, posepnie patrzyła w żar.

Gdy dnia tego rozeszli się na spoczynek, Lasota spytał

zniecka Adama:

— Czy to prawda, że się żenisz z hrabianką?

— Skąd wiesz? Czy ci Aleksander mówił? — tamten odparł zdziwiony. — Ano tak, żenię się, tylko nie powtarzaj, to jeszcze nieoficjalne i teraz się odwlecze dla żałoby. Gizela nie chce rozgłosu.

— Więc on wiedział? — powoli jakby do siebie rzekł

Lasota. — Powiedziałeś mu...

Staął na środku pokoju, zbladł i dławiał w sobie wyrazy zgrozy, oburzenia; wściekłości.

— Nie, on mi nic nie mówił — wyrzucił z siebie wreszcie

— bo się zabił. On był dobry powiernik. Nie zdradził twego zaufania.

— Tak to dziwnie mówisz, jakbyś nierad był, żem się pierwszemu tobie nie zwierzył — rzekł trochę urażony Adam. — Przecie on był mi bliższym.

Lasota popatrzył nań z gorzkim szyderstwem, odwrócił się i zaczął chodzić gorączkowo po pokoju.

— Powiedział mu, powiedział... — szeptał do siebie.

— Nie rozumiem, co cię tak alteruje? — zniecierpliwił się 240

Adam. — Pomimo różnicy materialnej i pozycji światowej on był moim stryjecznym bratem i o rodzinnych sprawach powinien być pierwszy wiedzieć. Żeby nie ten nieszczęsny wypadek, družbowałby Gizeli.

— Tak, różnica była ogromna między wami. Dobrześ postąpił, owszem, bardzo rozumnie nawet. Życzę ci szczęścia i wierzę, że je mieć będziesz, bo masz wszystkie dane na dobrego męża. No i nie masz więcej takich braci. To szkoda!

Dobranoc ci. Jestem haniebnie zmęczony.

— Myślałbym, żeś się upił — ruszył ramionami Adam i wyszedł mrucząc — Ten sobie kartami całkiem łeb osłabił.

A Lasota rzucił się w fotel i z godzinę siedział, i myślał.

Wreszcie strzepnął rękami.

Miał rację kark skrócić, bo nie dla niego było to wszystko.

*Quelles canailles nous sommes tous, tous, tous!* \* Nie umiemy nawet zrozumieć, co zdrowe i uczciwe, nie umiemy nawet chcieć wielkiego! I ten słusznie od nas do śmierci się schronił.

\* *Quelles canailles...* (fr.) — Ale z nas wszystkich kanalie!

# Document Outline

- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
  - ??
- ??
- ??
- ??
- ??
  - ??
- ??

# Table of Contents

\*1  
je\*  
k\*  
u\*  
t\*  
!\*  
ll!\*  
py\*  
r\*  
ami\*  
t\*  
\*  
→  
?\*  
ka\*  
dit\*  
o\*  
»\*  
idolin\*.  
ne\*  
i-ni-fini!\*  
n!\*  
nt?\*  
tudbook\*  
tomboli\*  
→  
s\*.  
nu\*  
plait!\*  
e\*  
e\*  
→  
ation\*.  
le\*.  
a\*  
t\*.  
ie\*  
→  
lo\*.  
i\*.  
e\*.  
alle\*.  
infinitum?\*  
du\*.  
y\*  
fou\*

in\*

